



MARIA
WIERNIKOWSKA

reportaż

WIDZIAŁAM

Opowieści wojenne

zwierciadło

MARIA
WIERNIKOWSKA

reportaż

WIDZIAŁAM

Opowieści wojenne

Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o.

ul. Karowa 31a, 00-324 Warszawa

tel. 22 312 37 12

Dział handlowy: handlowy@zwierciadlo.pl

© Copyright by Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o., Warszawa 2014
Text © copyright by Maria Wiernikowska 2014 / Agencja Literacka Syndykat Autorów

REDAKCJA: Danuta Śmierzchalska

REDAKTOR PROWADZĄCY: Magdalena Chorebała

KOREKTA: Melanż

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Natalia Baranowska / manukastudio.pl

ILUSTRACJE: fot. Krzysztof Miller / Agencja Gazeta

ISBN: 978-83-63014-90-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Strzelanka. Ukraina

Zanim wyślemy naszych chłopców, żeby umierali za Krym: czy to nie Majdan wyrócił rosyjsko-ukraiński stolik? Nikt nie wiedział, o co grają Rosjanie? Nie o te Leniny przecież, tylko o bazę na Krymie, za którą Ukraińcy mieli tani gaz i otwarte rosyjskie rynki. Ale może jakiś oligarcha nie chciał się więcej dzielić z Janukowiczem albo z Ruskimi i pomodlił się do Europy o pomoc?

No to jak, lecimy?

Co to się działo! A rzuciłam to ledwie na fejsbuku, w gronie znajomych. Posypało się:

Myślę, Mario, że podobne pytania mogły padać we wrześniu 1939 roku we Francji i w Anglii. Są podłe, niskie, cyniczne. Nie o żaden Krym jest gra, tylko o to, czy Rosja może sobie wjeżdżać pod byle pretekstem do innego, suwerennego kraju. No to lecisz czy zostajesz?

To kompletnie bez sensu. Umowę na bazę mają do 2042 roku. Żadnego taniego gazu nie mieli – ceny miały być ustalane kwartalnie. Jaki oligarcha? Jedna rzecz jest prawdziwa: Majdan wyrócił rosyjsko-ukraiński stolik. Tak jak Okrągły Stół wyrócił radziecko-polski stolik.

Maria o Ukrainie plecie tak, że mnie aż dreszcze przejmują, bo to się nawet jej nader oryginalnym charakterem nie całkiem tłumaczy.

Może mają na to wpływ jej rodzinne związki z Rosją, bo inaczej trudno to racjonalnie wytłumaczyć.

*# My daughter is in the police station now. She was at anti-Putin-anti-war demonstration ¹. (Dmitrij z Moskwy, napisał po angielsku, żeby się moi znajomi z bukwami nie męczyli).**

Tak, mam w Rosji rodzinę i przyjaciół. Stąd wiem, jak Rosjanie umieją i kochają żyć.

Chciałabym ogłosić wszem wobec: nie życzę sobie, żeby nasi, wasi albo ichni chłopcy umierali za Krym. Ani za Majdan, ani za jakąkolwiek niepodległość. Ci tam na Majdanie stali całymi tygodniami, bo oni chcieli fajnie żyć, a nie umierać.

Mój ojciec Sybirak ma 93 lata, jest ślepy i głuchy, a codziennie się goli, wychodzi z balkonikiem na spacer, potem siada ze swoimi śrubkami i majstruje, czeka na jakiś telefon, słucha radia, a przy każdym spotkaniu każe sobie czytać informacje z Wikipedii i wyciąga jakąś swoją historię, zwyczajną, ale jeszcze nieopowiedzianą. Żyje.

Człowiek jest zrobiony na sto lat z hakiem, a jak umiera wcześniej, to szkoda. Bo życie to jest prawdopodobnie jego jedyna, niepowtarzalna szansa.

Wiem, to kolejna herezja w kraju, gdzie największym świętem narodowym jest Dzień Zmarłych, a o człowieku mówi się dobrze tylko w dniu pogrzebu. No i tak dalej – do panteonu bohaterów wchodzi się przez bohaterski koniec, a największe fetowane osiągnięcia to powstania, prawie wszystkie przegrane.

I dlatego od razu zakochaliśmy się w Ukraińcach na Majdanie, bo nie dość, że podnieśli desperacki bunt przeciw władzy, to jeszcze przeciw Roskim. A oni sami Ruscy, tylko nam akurat pasuje, że „wybijają się na niepodległość”.

Ciekawe, dlaczego Ukraińcy tak długo czekali z tym Leninem? W Tadżykistanie pod chińską granicą obalili go dwadzieścia parę lat temu. Potem dopiero zaczęła się krwawa jatka – rzuciłam na ścianę fejsa.

Moja Mistrzyni reportażu:

Coś mi się widzi, że Ukraińców to Ty nie lubisz... Czepiasz się z każdej strony. Reporterko, nagle stałaś się ślepa i głucha. Ten naród pokazał wspaniałą postawę, świetną samoorganizację, godność. Czy ty tego nie widzisz?

Reporter ma prawo mieć klapki na oczach, ale my tu przed telewizorami nie. Egzaltacja narodem... Kto ten naród uratuje/powstrzyma przed dalszą rzezią?

Nikt nie chciał mi odpowiedzieć...

Ja pamiętam, jak specnaz kroił saperkami gruzińskich demonstrantów, jak czołg rozjeżdżał ludzi w Wilnie, jak cywil w prochowcu puścił serię z kałacha w babcię z siatką w Tbilisi. W tym kraju tak rozprawiano się z ulicznymi manifestacjami. Jasne, to już nie ten sam kraj, ale kultura ta sama. A w Europie jaka policja by się cackała z tysiącami ludzi od miesięcy okupującymi centrum stolicy? Ostentacyjnie szykującymi się do tego, by dać odpór. Z jednostkami paramilitarnymi, ćwiczącymi pompki na

placu, pod dyktando tysiąca „afgańców”.

Ten malowniczy oddział kombatanów z najokrutniejszej sowieckiej wojny pokazano na Majdanie tylko na początku, a i to chyba nie w polskiej telewizji. To oni trzymali tam wojskowy ład. U nas na ekranach świeciła triumfy babcia w garnku na głowie i w ukraińskiej zapasce. Że niby taki narodowy happening. Widok eksportowy, cepelia z odrażającym, stalinowskim tłem: *U nas ludiej mnogo*. Zapala mi się pierwsza lampka.

Moja pierwsza wojna to była wojna polsko-jaruzelska. Strajki, podziemna prasa, oporniki, radio na dachu... Do Okrągłego Stołu, bo dalej zaczęła się polityka. Europa lubiła Solidarność: lewica – za stoczniovców i górników, prawica – za msze za ojczyznę (słowo „naród” było kompletnie niemodne). Nikt nie palił komitetów, budowaliśmy swoje. Nikt nie wieszał na latarniach. A tu na Majdanie bohaterowie i widownia przed telewizorami łakną krwi.

Na Majdan zjechały stada polskich reporterów, ale żeby dowiedzieć się, co się dzieje w całym Kijowie, musiałam włączyć telewizję francuską. Bo nasi dyżurowali na Majdanie. Zawsze po jednej stronie barykad. Oprócz jednego wariata, który biegał z mikrofonem między walczącymi stronami i zagadywał po polsku, o co tu chodzi w ogóle. Obsmiany przez jednych, przez innych podziwiany, bo przecież zrobił najlepszą dziennikarską robotę: on się dziwił. Tym zdziwieniem swoim próbował uratować sytuację, własnym ciałem pokazywał jej absurd.

Ale wtedy jeszcze było można, wtedy można było wierzyć, że to jakiś happening, demonstracja poglądów i postaw. Długo jeszcze powtarzano, że to pokojowa manifestacja, choć już dawno nią nie była.

Nie widziałam, żeby ktoś podetknął sitko przywódcom, dowódcom czy choćby jednemu facetowi, który ma pomysł na ten kraj. Z ekranu lały się emocje, zawołania do walki... O co? Wołam na fejsie:

Kurka siwa, przeszły dwie trzecie dziennika TVP i nic nie rozumiem: o co ci ludzie się biją? Bo że dziennikarze TVP po stronie ludu i bohaterów, to wiadomo. Swoją drogą, zobaczymy, gdzie będą, jak w Polsce lud wyjdzie na ulice... O co chodzi na Majdanie? Pytam, skąd ta nasza jasność, że oni mają rację? Oprócz tego, że nie ma racji milicja, która strzela. Ale jeśli cywile zdobędą coś więcej niż kije? Sensowna opozycja czy społeczeństwo obywatelskie nie wystawiają ludzi pod kule. O, proszę, jakiś misiek na trybunie właśnie teraz mówi: „Jak kula w łeb, to niech będzie kula!”. A ludzie krzyczą: „Zuch!”. Panowie, dokąd?

Ten „misiek” dzisiaj jest premierem. Wtedy był jednym z trzech, o których mówiono, że to przywódcy. Choć gdy wracali z kolejnej rundy rozmów z prezydentem, tłum gwizdał.

Tak jak ich wygwizdzą na koniec, po tej ostatniej, gdy wrócą z porozumieniem, podpisanym z błogosławieństwem ministrów z Europy, które okaże się świstkiem papieru.

Kim oni są, skąd się wzięli, co powiedzieli tym ludziom o Europie, co obiecali? Co im Europa obiecała? Dlaczego Europa warta jest kuli w łeb? Ja pytam, bo nie wiem. Pytam kolegów na fejsbuku, dziennikarzy fachowych, co jeździli na Ukrainę, a czasem pracowali (pracują?) dla Ukraińców. Czy ktoś mi wytłumaczy, jaka sprawa warta jest tego, by wystawiać te dzieciaki naprzeciw Berkutu?

Mańka, zapomniałaś, dlaczego znaleźli się na Majdanie? Pokaż mi drugi naród, który tyle by poświęcił dla zbliżenia się do UE. Nie pamiętasz, jak we Francji wspierano Solidarność? To nasz obowiązek wspierać ruchy wolnościowe. Tu jest ogromna determinacja, przekształca się w wojnę domową. Tym bardziej trzeba pomóc, by ten proces się nie rozszerzał.

Jakie ruchy wolnościowe? Co my w ogóle wiemy o polityce, gospodarce i myśli społecznej na Ukrainie? Oprócz tego, że „chcą do Europy”? Żeby było jasne: ja nie do nich piję, tylko do naszej propagandy, która każe nam bezrefleksyjnie wspierać jedną stronę tylko dlatego, że „duszeszczypatiel`naja”. Od kiedy to pisałaś, minęło dwanaście strasznych godzin. Wciąż ślepo popierasz tę stronę barykady, z której lecą pociski w stronę milicjantów na służbie?

Jakie pociski? Z barykad lecą kostki bruku, koktajle Mołotowa i strzały z broni myśliwskiej. To jest normalna broń strony społecznej – ulicy, która została zaatakowana przez rządzących. A jak mają się bronić? Oni narażają życie dla zbliżenia do UE i zmian w konstytucji. Czy Ty nie widzisz, że to są dwie nierówne siły? Z jednej strony władza – prezydent Janukowycz z aparatem przemocy, specjalnymi jednostkami, Berkutem, milicją, wojskiem i podporządkowanym sobie parlamentem – wszyscy w tzw. służbie społeczeństwu, które zostało pobite, kiedy pokojowo manifestowało wolę stowarzyszenia z UE. Milicjanci „na służbie” wysłani przeciwko swoim rodakom, którym powinni zapewniać bezpieczeństwo. Zupełnie Cię nie rozumiem.

A po co jakaś konstytucja, skoro każdą władzę można zmienić za pomocą kostki brukowej? Po co rząd i prezydent? Powstańcom wystarczy dyktator. Tylko mam wrażenie, że tam jacyś wodzowie kierują z tylnego siedzenia, schowani za plecami bardzo fajnych majdanowców. Szkoda każdego życia. A Europa? Wiesz, co będzie z ukraińskim przemysłem, jak wejdzie tam Europa? Posiej kukurydzę. A kasa za dzierżawę ziemi nie starczy na zasiłki dla majdanowców.

Od wielu dni nie mogłam się oderwać od ekranu, od dwóch ekranów.

Przyjaciel Rosjanin wrzucił mi pewnej nocy link: płonący Majdan na żywo. Jeszcze w listopadzie oglądało się starą pocziwą Swobodę, newsy i komentarze ze studia, a tu już tylko plac, barykady, pożar, i podpisy ciurkiem. Po trzecim obrocie już prawie wszystko rozumiem po ukraińsku. W lewym górnym rogu przykuwa wzrok (i serce) napis: „Rewolucja”. Znaczą transmisja na żywo z rewolucji! Oglądam do rana, udostępniam dalej. Hit.

Wkrótce okaże się, że trzy kanały telewizji polskiej pokazują ten sam obraz. Świeżutka, nieznana ukraińska Espresso tv ma z dnia na dzień wielomilionową oglądalność. I okazuje się, że robi ją mój kolega z Warszawy. Lajkuję, gratuluję i dopytuję – skąd się wzięła? Ukraiński oligarcha zamówił. Szkoda, miałam nadzieję, że jakaś amatorska, samodiałowa. Ale skąd by amatorzy mieli tyle kasy, żeby całą dobę mieć *stream*, tam to podobno bardzo drogie. Może przejmują już nadajniki?

Kiedy byłam na wojnie w Gruzji, największa frajda dla dziennikarzy była, gdy „nasi” zdobyli centralę telefoniczną. Prosto z poczty głównej, gdzie stały gigantyczne szafy z jakimiś dziurkami i kablami można było jednym ruchem połączyć się z Moskwą, a drugim z Warszawą, i to za friko. A jeszcze trzy lata wcześniej na poczcie w Erywaniu czekało się na połączenie dzień albo dwa. Dostawałeś karteczkę z numerem kabiny i przez dwie doby nie mogłeś się ruszyć z przepelnionej poczekalni, bo w każdej chwili mogli zawołać „Warszawa!”. Ten kraj wysyłał już ludzi w kosmos, ale gdzieś na linii telefonicznej podłączał się osobnik rozumiejący twój obcy język, żeby przerwać rozmowę w razie politycznej potrzeby. To się nazywało cenzura. Wtedy konflikty, zwłaszcza w kraju szczęśliwego proletariatu, były czymś wstydliwie ukrywaniem. Więc mój news o pierwszych starciach na granicy ormiańsko-azerskiej (jeszcze trzeba było tam jakoś dojechać i wrócić) docierał do Warszawy z kilkudniowym opóźnieniem. Więc bezpośrednia transmisja z rewolucji robi na mnie wrażenie.

Na początku wydaje się, że z jednej kamery kręcą, gdzieś na dachu, z daleka. Potem już obraz się zwielokrotnia.

Zawsze marzył mi się taki reportaż z *web cam*: rzeczywistość bez montażu, świat jak leci, w całym jego bogactwie i symultaniczności, jak na obrazach Bruegla – ktoś orze, kogoś biją, ryczy osioł. Taka harmonia wszechświata, ograniczona do pojemnego oka kamery, nieograniczona w czasie. Jeśli odejdziesz na chwilę, możesz stracić najważniejsze, bo nie ma tu skrótów, ale nie ma też powtórek. Prawda *sauté*.

Jednej nocy, żeby nie zasnąć, stałam przed ekranem, patrząc wiele godzin na Pałac Kongresów, obleżony przez napastników z Majdanu, którzy wrzucali do środka butelki z benzyną. A tam – jakiś reflektor raz czy dwa omiółł wewnątrz – stała skorupa aluminiowych tarcz zbitych ciasno, zwartych, a w czerni ich dziurek musiały być czyjeś oczy, których przecież już żadna kamera nie dosięgła. I tak przez wiele godzin, aż padłam spać i nie doczekałam się, dzięki Bogu, ani linczu, ani sromotnego wyjścia tych ze środka. Do rana trwały pertraktacje, a tłum czekał, otwarłszy szeroki korytarz na ich przejście. Ale im się upiekło, bo wymknęli się pojedynczo gdzieś bocznymi drzwiami, przegrani, ale żywi.

Innym razem nie mogłam wyjść z domu, póki nie odjechał autobus z milicjantami, który ktoś wpuścił, nie wiedzieć czemu, w tłum obrońców Majdanu, rozwścieczony, żądny zemsty, bo już poprzedniego dnia połała się krew, i wydawało się, że zgniotą ten autobus choćby naporem swoich ciał. A tam w środku (przez firanki i zbite szyby było widać) dzieciaki jakies, z poboru, już bez kurtek i bez mundurów, płakały. I wtedy batiuszka – kapłan – wskoczył na dach autobusu i robił znak krzyża, i błagał, i odgonił tego Złego, co już był blisko.

Czy chciałam zobaczyć lincz na żywo? Miałam okazję kiedyś, w erze przedinternetowej, zobaczyć i zrecenzować kasetę z filmami z egzekucji. Odmówiłam. Nigdy nie weszłam też na łatwo dostępne dziś strony z obrazami zabijania. Z osłupieniem zobaczyłam w jakimś dzienniku transmisję z mordowania bin Ladena... w oczach pani Clinton i innych gości amerykańskiego prezydenta, którym zafundowano to przedstawienie na żywo. Nam, telewizjom, na szczęście nie, mogliśmy się tylko domyślać po ich twarzach tej krwawej łaźni w sypialni, gdzie na oczach dzieci... Wyjątkowa perwersja.

A tu byłam ciekawa, jak zachowa się operator na Majdanie, jeśli przed jego obiektywem będą ten autobus rozszarpywać. Jak zachowa się ktoś w reżyserce, z której ten widok będzie szedł na cały świat.

W Kijowie szybko przestali mówić o Europie, przestali mówić o uwolnieniu pięknej Julii, choć jej portret cały czas wisiał na choince nad Majdanem. A jak już rewolucja otworzy bramę jej więzienia, to tenże Majdan litościwie nie wygwizdże jej płomiennego przemówienia. Ale nikt nie będzie niósł jej na rękach, a jej samochód zatrzymają przy pierwszej okazji, gdy będzie próbował jechać pod prąd. Bo Majdan zaczął tworzyć swoje prawo, a tamtego już nie chce.

Znany polski pisarz wydał na łamach niemieckiej prasy piękny tekst do siedzących przed telewizorami Europejczyków o pięknym, dzikim narodzie, który, może jako ostatni, gotów jest przelać krew za europejskie wartości. Naprawdę przejmujący

obraz. Tylko dla mnie dzisiejsze europejskie wartości to nie gilotyna czy Bastylia, już nie kościoły, które stały się muzeami, tylko kafejka, gdzie można z barmanem zamienić dwa zdania o GMO albo o wynikach meczu. To niebieskie okiennice domów w Prowansji, beaujolais nouveau albo partyjka w bule po pracy. Czyli spokój, piękno i dobrobyt. I gdyby ktoś zapytał tych ludzi w Kijowie, Lwowie czy Doniecku, pewnie odpowiedzieliby to samo. Może, w dużym uproszczeniu, Europa to *jewro-okna* i *jewro-remont*, na które dziś muszą charatać za granicą, płacąc łapówki nawet za polską wizę.

Ale nam bardziej pasuje wypchnąć ich na barykady, gdzieśmy sami dawno nie byli. Wcisnąć im nasz romantyzm, o którym dawno temu pani mówiła nam w szkole. Kopnąć (ich nogą) Ruskich bośmy nie zdążyli, gdyż sami wyszli. (Zresztą już nikomu nie przeszkadza, jak teraz do Polski wkraczają z wojskiem Amerykanie).

Pasuje nam przyłatać im naszą nienawiść do Moskali i komuny, nie wiedząc nic o ich wspólnej historii. Będziemy kibicować faszyzującym nacjonalistom, bo dziś nam się dobrze komponują do obrazka. Patriotyzm kiboli przestał nam przeszkadzać.

Wolimy zapomnieć, że jeszcze przed chwilą statystyki umieszczały Ukraińców na pierwszym miejscu wśród narodów, których nie lubimy – może wymarli już ci, co pamiętali rzezie na Wołyniu i dobijanie Powstania Warszawskiego. I bardzo dobrze, że złej pamięci trzeba się leczyć.

Ale zapomnieliśmy też, jakie jaja sobie z Ukrainek robił przed chwilą modny satyryk, co prawda potępiliśmy go publicznie, ale w duszy niejeden klepał się po udach ze śmiechu na ten seans pogardy wobec służących z Ukrainy. W zrywie solidarności z Majdanem dostaliśmy nagle skrzydeł, które szybko opadną, jak trzeba będzie przyjąć pod swój dach ukraińskiego uchodźcę. A nie daj Boże zadeklarować w urzędach tych, co dziś pracują u nas na czarno za psi grosz.

Nie, nie wierzę w to, że na widok Majdanu staliśmy się lepsi. Ale niech tak będzie. Tylko nie odwróćcie się od Majdanu, gdy się okaże, że przyjdzie nam za to wszystko zapłacić. Bo nie jesteśmy bez winy. Wszyscy ich do tego pchaliśmy. My, co poszliśmy na Wojnę Przed Telewizorem. To taki nowy program interaktywny. Strzelanka.

Nie taka klasyczna, gdzie siedzisz przed ekranem i zabijasz dżojstikiem rysunkowego bohatera. Tu na ekranie biegają żywi, prawdziwi ludzie, a ty, telewidz, trzymasz ich na muszce swojego pilota. Ale strzela ktoś inny, prawdziwymi nabojami, zaś ciebie ktoś prowadzi, nie pozwala ci wyłączyć telewizora, pociąga za twoje sznureczki jak chce.

Kto? Nie wiem, ale to nie dziennikarz. Dziennikarze zostali z tej zabawy wyeliminowani. Tam tylko figurant trzyma kamerę, albo pilnuje statywu, na którym ona stoi, i przekazuje w świat obraz na żywo. Jeszcze tylko w reżyserce ktoś naciska guziki, przełącza kamery, wybiera te mocniejsze ujęcia...

Jaką rolę ci przydzielono? Oprócz tego, że zapłaciłeś za ten kanał i obejrzyysz

reklamy między newsami? Pójdiesz pod ambasadę albo siedzibę rządu pokazać, że w każdej chwili też możesz wyjść na ulice i wrywać bruk. A nawet jak nie wychylisz się ze swojej norki i nie ruszysz palcem w bucie, to wciąż jeszcze z tobą się liczą. Póki jesteś podatnikiem i wyborcą. I żołnierzem rezerwy, w razie, gdyby z jakiegoś powodu wygrał wariant staroświecki.

W końcu stało się. Nadszedł dzień spektaklu.

Piękne przedstawienie? Takie sobie. Padali jak kaczki, byle jak. Nikt nie krzyczał *Za rodzinu!* ani *Za Jewropu!*, krwi mało, tyle co strużki, smugi na bruku po tym, jak kogoś ciągnęli jak worek, nie wiadomo nawet, trupa czy rannego.

Ci z drugiej strony to chociaż z fasonem, jak Rambo, karabin wprawnie podniesiony do oka, na chwilę, tyle, by wycelować, i paf! W szyję, w głowę, w tętnicę.

A ci nasi tacy śmieszni ze swoimi drewnianymi tarczami, w kaskach rowerowych, no, ostatnio pojawiły się wojskowe, zielone, chyba z jakiegoś magazynu filmowego, bo jakby spod Stalingradu. I tak fikali, gdy któryś oberwał, a jeszcze żył, obracał się, koziołka robił, może na paintballu tak wyćwiczył. Do trafionego podbiegał zaraz jakiś inny, taki sam przebieraniec, i osłaniał go tarczą, przykrywał i już nie miał siły taszczyć i ciała, i tarczy, więc jeszcze ktoś podbiegał i tak kuśtykali, póki ci z góry znowu nie puścili serii już po ratownikach.

Myśmy to oglądali w telewizji na żywo... Albo potem na YouTube, można było sobie cofnąć, jak jakiś lepszy kawalek, ale w sumie nic ciekawego, ponad czterdzieści minut właściwie w jednym planie. Nie obejrzałam do końca.

Jeden znany wojak RP napisał potem w jakimś tygodniku (pewnie przeszedł też przez wszystkie programy telewizyjne, wspominając przy okazji swoje sukcesy), że to była świetna akcja bojowa. *Bullshit*. Ile to trupów oklaskiwaliśmy w Czarny Czwartek?

Gdyby jakiś generał poprowadził swoje wojska w otwartym polu, przebrane za partyzantów, z rurkami i butelkami na przeciwnika ustawionego na wzniesieniu, uzbrojonego po zęby, więc gdyby ten generał wystawił swoich chłopców na taką jatkę, to powinien sobie w łeb strzelić.

Jeden obraz mi utkwiał, bo powtarzany po wielokroć: kulą się chłopcy pod drzewem, zasłaniają tarczami, a tu pac! Kula w drzewo, słyhać nawet to młaśnięcie, jeśli akurat w studio nie zagadają, i dziurkę widać. Ona leci z góry, zza ich pleców, z tej strony, gdzie kamera. Operator miał szczęście, bo to też zza jego pleców. Może śrut, broń myśliwska. „Obywatelska”, jak pisała moja koleżanka, może nie na dzika, tylko na zającą. Może miała tylko odstraszyć berkutowców, żeby uciekli gdzie pieprz rośnie? Ja się tylko pytam: kto wymyślił tę zabawę?

Podali, że we Lwowie „nasi” przejęli magazyny z amunicją. Że na Ukrainie są w rękach cywili dwa miliony sztuk broni.

Ile potrzeba karabinów snajperskich z lunetą, żeby posłać do nieba sotnię? Tylko kto strzelał? Bo padli zabici i ranni po obu stronach.

Potem będę przerzucać się na różne kanały w poszukiwaniu informacji. Bo to, co zachwyca mnie w telewizji Espresso najbardziej – *no comment* – zaczyna mnie niepokoić. Brueglowski pejzaż, raj dla reportera, który karmi się malowniczymi detalami plus wiadra emocji, to za mało dla obserwatora, który chce zrozumieć: kto? po co? ile?

Od początku zdenerwowałam pytaniami mojego kolegę, co tę telewizję robi.

Ty, taka rewolucjonistka...?! – odburknął mi na fejsie i zagroził, że mnie zbanuje. Jedź sama, zobacz.

Proponujesz mi pracę?

Sam pracuję społecznie :)

:) – odpowiedziałam.

Za pieniądze to bym pojechała, ale nie z miłości. Tyle że nikt mnie nie wyśle, bo ja się już nie nadam do wojennej propagandy. Kto ma pewność, że powiem, co trzeba?

Ostatni raz na wojnie byłam w Iraku i powiedziałam sobie: *chwatit*. Śmiać mi się chciało z „białej niedzieli” – prasowej pokazówki polskiej armii, co wiozła aspirynę „wyzwolonemu” narodowi. Śmiać mi się chciało z poszukiwania przez nasze wojsko zagubionej wyrzutni raketowej, którą w końcu znaleźliśmy z fotografem sami. Nie chciało mi się śmiać z koncesjonowanego przez armię przemytu pieniędzy, ustawianych przetargów i amerykańskich szabrowników. Ale tego redakcja w Warszawie nie bardzo chciała. No i w ogóle nie było mi do śmiechu, gdy wkrótce po powrocie stamtąd spotkałam Waldka Milewicza: z kościoła garnizonowego wyjeżdżał w sosnowym pudle, tabliczką do przodu. Niniejszym uznałam dziennikarskie wyścigi wojenne za zakończone.

Ale to sprawa prywatna. Zawodowo zwątpiłam w skuteczność dziennikarza na froncie, a w każdym razie w tym celu, który mi przyświecał (będzie o tym na końcu tej książki). A jeśli dziennikarz ma maszynę wojenną nakręcać, to niech lepiej nie wychodzi z domu.

Apel na FB:

Dostaję informacje prosto od szefów samoobrony Majdanu, że bardzo pilnie

potrzebują każdej liczby mundurów polowych w kolorze czarnym (spodnie + kurtka) oraz mocnych sznurowanych butów z cholewką powyżej kostki. Takie stroje są potrzebne by samoobrona Majdanu...

A może broni podrzucić??? – odpowiadam. – Taki apel jest początkiem wciągania Polaków w wojnę domową, „a ta nafta nie jest moja”. Nie rozumiem, o co w tej wojnie chodzi, kto ma dojść do władzy i dlaczego. Jestem przeciw.

Koleżeństwo zmieszało mnie z błotem.

Czy tamte zdjęcia z ulicy Instytuckiej, kiedy Berkut polował na majdanowców, leciały na żywo? Nie wiem.

Ale wiem, że wszyscy – widzowie i dziennikarze – jesteśmy za to odpowiedzialni. Tak, tylko dlatego, że to oglądaliśmy. Jak cesarz z dworem i gawieź oglądali walki gladiatorów w Koloseum.

I nieważne już, czy uczestniczyliśmy w spektaklu na żywo, czy z playbacku. Nieważne, komu kibicowaliśmy. Wszyscy dziennikarze polscy, politycy i komentatorzy byli zresztą po jednej stronie.

Mańka, nie mogę uwierzyć, że Ty, rasowa reporterka, nie czujesz Ukrainy. To, co się tam zdarzyło, jest fenomenem na skalę światową. Suweren, społeczeństwo, tysiące protestujących na ulicy weszło do gry. Mądrze kontrolują polityków. Doskonale zorganizowani. To jest przykład demokracji bezpośredniej, w formie, jakiej do tej pory nie było. Gdzie przedstawiano kandydatów na stanowiska rządowe tłumom jeszcze przed zaprzysiężeniem! Nie rozumiem Ciebie.

Fakt, demokracja bezpośrednia żywcem wzięta z *Ogniem i mieczem*. Po rokowaniach z prezydentem o przerwaniu walki facet na trybunie mówi: „Głosujmy, kto jest za?”. Na placu podnosi się wielotysięczny las rąk. „Kto jest przeciw?”. To samo. Nikt nie liczy, bo jak? Decyzja zapadła. Trwamy. Nie poddajemy się. Po czym znów szli na negocjacje, wracali, tłum gwizdał, a Janukowycz robił, co chciał. Aż uciekł.

Nowa władza nazwała to „samoodsunięciem”.

„Wyszło... jak wyszło” – mówił o masakrze na Majdanie Samoodsunięty. Cienkim głosem, ledwo nabierając powietrza, na tle złotej tapety, w świetle żyrandola (pewnie sangana do kamery nie znaleźli albo komórką kręcili), nie wiadomo gdzie. Aż trudno uwierzyć, że taki gość mógł trząść prawie pięćdziesięciomilionowym krajem.

Ciekawe, czy oglądał w telewizji, jak w tym czasie rewolucyjny lud idzie na spacer

po jego ogrodzie, zagląda do pałacu à la góralska chata, tylko w powiększeniu, w nim kryształowe żyrandole, jaja Fabergé, co się do walizki nie zmieściły, drogie trunki z podobizną władcy i tron z majoliki, na którym siadał za potrzebą. Prezydent zdążył nawet z grubsza porządkować w papierach porobić, to znaczy wrzucić do jeziora, gdzie na przystani jacht cumował, pewnie piracki, z Karaibów. Takie tam rekwizyty. Sejf pewnie oczyścił w przerwie między rozmowami na wysokim szczeblu (co mu nasz minister powiedział, że się tak zwinął – tego się nie dowiemy, choć niby w naszym imieniu tam negocjował, niby demokracja i *głasność*). Ważne, że co miał wziąć, to wziął. A rewolucjoniści spryciarze niech wyławiają i suszą żelazkiem. I teczki zakładają. Niech lud myśli, że teraz już nic się przed nim nie ukryje.

Z braku innych zdjęć telewizja w kółko pokazywała zwalistego Janukowycza, jak stoi na trybunie z mikrą prezydencką parą Putin–Miedwiediew (nie wiadomo, który wtedy był premierem, a który prezydentem, w każdym razie Putin już po liftingu), a znużony defiladą wojsk Janukowycz ssie cuxa. Często Dime, ten bierze, wyciąga do Wowy, a ten nie, odmawia, może sobie przypomina, że żaden car w tym kraju nie umarł śmiercią naturalną, a może po prostu mu się ssać nie chce. Towarzysze. Pewnie coś miał Putin na Januka, skoro ten mu Krym oddał do końca świata czy jakoś tak.

Bo i życiorys prezydenta w końcu wyszedł na jaw w Europie, choć tyle było wcześniej okazji, tylu dostojników mu dłonie ścisnęło... I nikt nie słyszał, że ma parę kradzionych miliardów na kontach, gdy go chcieli do Europy przytuścić? Nikt się nie domyślał, że skarbiec Ukrainy jest pusty, trzeba było dopiero teraz odkrywać to ze zdumieniem? Kiedy Ukraina chciała zapisać się do Europy, to nikt nie mówił, że to bankrut. Skąd ten hałas dziś? Dopiero gdy nowa władza powiedziała, że pilnie potrzebuje 35 miliardów zielonych? To wcześniej tego w kraju i za granicą nikt nie wiedział? Znaczą, gdyby prezydenta nie obalili, to co? Dorzuciłby się ze swoich? Czy koledzy by się zrzucili? Widać nie chcieli.

Teraz zrzuca się świat. Polska, choć blisko, nie zamierza się dzielić swoimi europejskimi zdobyczami. Odpaliliśmy parę łóżek w szpitalach, tego nawet księgowość nie wykaże, a ile satysfakcji! So-li-dar-ność.

Gwoli ścisłości: te 35 miliardów to nie są pieniądze na emerytury i NFZ na Ukrainie, tylko odsetki dla banków i dług wobec Rosji za gaz. Nie jest taki tani, jak myślałam, bo przecież pani Tymoszenko poszła siedzieć za to, że za drogo kupiła. Ale skoro wyszła, to może jednak wszystko jest ok? To znaczy już nie wiem. Jeśli obrażeni Rosjanie kurek przykręcą, to naprawdę trzeba będzie Ukraińcom powiedzieć, że rewolucja rewolucją, ale za gaz trzeba płacić. Zwłaszcza jeśli popłynie z Zachodu. I tu dopiero zacznie się prawdziwa rewolucja. Bolszewicka.

Gdyby dziś zrobić na Ukrainie referendum, jak w ferworze walk zaproponował proroczko Lech Wałęsa, nawet bez osłony rosyjskich komandosów zachodni model przegrywa. Co z tego, że padły Leniny? Tęsknota za szczęściem spod czerwonej gwiazdy jest tam wiecznie żywa. Zresztą wolność, równość i braterstwo to nie jest

monopol jednej, czerwonej rewolucji.

W Moskwie nie tak dawno temu widziałam oburzonych komunistów, którzy wyszli na ulice, by protestować przeciw demokracji. Wtedy w Rosji komunizm oficjalnie już się skończył. Ale tylko oficjalnie. Komunizm zostaje w genach na pokolenia. „Troszkę strasznie, troszkę śmiesznie”.

Gdzie indziej spotkałam też partyzantów, którzy uczyli się czytać z książek Marksa i Trockiego (patrz rozdział *Kurdowie*). W Bośni, której kibicowałam, gdy rozpadała się Jugosławia, dziś bezrobotni demolują urzędy kontrolowane przez europejskie instytucje.

A kiedy już Rosjanie wezmą Krym, gdy podzielą Ukrainę i opadnie zgiełk wojenny, i wylizę się rany, kto przeżyje i przypomni sobie Majdan, ten zapyta, kto pierwszy strzelił. Może ministrem informacji będzie ta dzielna dziennikarka, którą rewolucja wyniosła do władzy za to, że tropiła przekręty prezydenta? Szkoda by było, bo jako dziennikarka śledcza bardzo się przyda w nowych czasach.

Bo myślę sobie, że miejsce dziennikarzy nie na barykadach jest, zwłaszcza cudzych, nie w rządzie, a za kamerą, z mikrofonem, z długopisem. Żeby zaglądać, pytać i się dziwić. Zanim padnie pierwszy strzał. Potem to już tylko można długopisem celować w piechotę (patrz pod koniec książki).

Widziałam wojny. Wiem, jak łatwo i jak głupio się zaczynają. Faceci uwielbiają stroszyć piórka, paradować w bojowym rynsztunku, machać sztandarami, prężyć mięśnie. To piękne i pożyteczne, bo może przstraszyć przeciwnika, żeby ręki nie podniósł. Ale potem, jak już się zacznie, nikt nie lubi wojny, a zwłaszcza nikt nie lubi umierać.

Wygrzebałam moje reportaże, korespondencje, notatki – niby z wojen, ale z życia tak naprawdę. Z życia obok wojny, której nikt nie chce.

Dziś, kiedy to piszę, ludzie w nieoznakowanych mundurach zajęli kluczowe punkty na Krymie. Za chwilę okaże się, nie mam wątpliwości, że to akcja Kremla. Majdan najwyraźniej wywrócił stół, przy którym ktoś grał o duże pieniądze, z Krymem pod zastaw. Rosjanie pokazują, że rewolucja kijowska kończy się tu, gdzie zaczynają się interesy ich imperium.

Dotychczas nie padł z tej strony ani jeden strzał. To demonstracja siły, ale też szansa zatrzymania bratobójczej wojny. Zanim to skończę, wszystko już będzie inaczej. Ale chcę wierzyć, że człowiek się uczy. Módlmy się, żeby nie padł TEN strzał.

Przecież te strzały są tak śmieszne, takie archaiczne. Jak rozbiory i przesuwanie granic. Dziś mapy i granice przestały mieć znaczenie. Państwa już też są *démodé*. Jeszcze siedzą na tronach jacyś królowie i prezydenci, ale władzę dzierżą oligarchowie, te kilka procent właścicieli świata.

Kiedy niepotrzebne są szlabany, które kiedyś na chwilę zatrzymywały wojsko na motocyklach, kiedy pociski z Kaliningradu dolecają szybciej do Paryża niż samolot odrzutowy, liczy się tylko podziemna rura z gazem albo radiowe fale, którymi płynie przelew bankowy. Inwazja odbywa się bezszelestnie.

To będzie nowa wojna. Nie trzeba już zdobywać przyczółków ani bombardować miast. Nikt się nie ruszy z koszar, bo wiadomo, że wojna klasyczna, na pociski, to by był Armageddon. Takiej próby sił nie są ciekawi nawet zachłanni producenci broni. To nawet nie będzie Belgrad, na który zrzucono pod koniec XX wieku bomby grafitowe, hamujące przepływ elektryczności.

Wystarczy zakręcić kurki z gazem i ropą, odstrzelić satelitę informacyjnego, zablokować internet na giełdzie i w bankach. Paliwo i informacja są dziś krwiobiegami naszego świata, który dziś groźnie – pro forma – poszczękuje starą bronią.

A może ludzkość się uczy? Może naprawdę na Majdanie wyrosła jakaś nowa jakość: demokracja majdanowa, archaiczna, bezpośrednia. Jakaś kozacko-szwajcarska. Górzysta Szwajcaria nigdy nie miała takiego bogactwa, jakie dziś ciągle ma Ukraina. Trzeba by się tylko jakoś pozbyć oligarchów... A może już cudownie zniknęli, spakowali manatki, jak pan prezydent Samoodsunięty? (Nawet pieska zabrał, kuśtykał tam na czarno-białym filmie z kamery przemysłowej, aż dziw – nie chart rosyjski, nie york, a kurdupelek *dworniaszka*). Więc może jest takie miejsce na planecie, gdzie osiądą oligarchowie tego świata, ze swoimi jajami Fabergé, z dala od narodów, które wyszali, i będą palić kubańskie cygara... Kajmany? Syberia? Pomarzyć...

1. Moja córka jest teraz na posterunku policji. Była na antyputinowskiej, antywojennej demonstracji (ang.). [\[wróć\]](#)

Tak się zaczyna. Armenia

Powiedzieli: „Czekać” – czekamy. Mija druga godzina, jak stoimy przy schodkach do samolotu. Lotnisko w Erywaniu, dochodzi południe. Z białego nieba leje się żar.

Nasz samolot ma już dwanaście godzin spóźnienia i nie wiadomo, czy w ogóle wyleci. Azerowie zakręcili kurek z benzyną. Po całej nocy na trawniku wśród leżących pokotem „inturistów” (przyjeżdżają tu już tylko Polacy) udało nam się rano wywalczyć miejsca: polecimy do Mińska zamiast do Moskwy. Byle dalej stąd. Kiedy spałam na trawniku, głodne psy zjadły mi buty.

W mieście nie widziałam ani jednego psa. Rzadko też widać dzieci. Króciutko ostrzyżeni chłopcy bawili się przed hotelem Erebuni – całe skrzydło oddano dla uchodźców z Baku i tych, którzy uratowali się z trzęsienia ziemi sprzed dwóch lat. Chłopcy grzebali się w gruzach na placu zatrzymanej budowy: od czasu blokady nie ma materiałów budowlanych.

A dzieci pamiętam jeszcze na rozdygotanej ciężarówce koło Nojemberian: małe ręce trzymały się kurczowo burt, głowy stojących na pace dzieciaków ledwie wystawały ponad deski ziła, który ewakuował na noc kobiety i dzieci z przygranicznych wiosek. Starcy nie chcieli jechać; w gospodarstwach ostrzeliwanych przez Azerów i Rosjan w skupieniu oglądali wyrwy od pocisków armatnich.

Trzeba będzie po powrocie jakoś to wszystko spisać, wytłumaczyć.

Mojej pierwszej korespondencji nie zrozumieli w redakcji. Wykrzyczałam ją przez telefon na zatłoczonej, jedynej w ormiańskiej stolicy poczcie, po kilku dniach czekania na międzynarodowe połączenie. Nikt nie wiedział, że tam zaczyna się wojna. Armenia ledwie zdążyła ogłosić niepodległość.

W miejscowości Voskepar na granicy Azerbejdżanu i Armenii doszło w niedzielę do walk między Ormianami i Azerami.

Zaczął się od uprowadzenia jednego z ormiańskich fedainów przez oddział Azerów.

Gdy trzy grupy ormiańskie usiłowały odbić porwanego, interweniowali żołnierze radzieccy. Otoczyli szturmujących Ormian. Padły strzały, zginęło co najmniej dwóch Ormian i trzech Azerów. Wieczorem strzelanina wciąż trwała. Walczący Ormianie ślali apele o dostarczenie krwi dla rannych.

Atmosfera w Erywaniu jest ogromnie napięta. W sobotę po południu radziecki

czołg zmiądzzył na przedmieściu dwa samochody osobowe. Jeden z kierowców zmarł, pozostali pasażerowie, w tym dzieci, są ciężko ranni. Milicja nie przyjechała na miejsce wypadku. Czołgiści zostaliby niechybnie zlinczowani, gdyby nie interwencja uzbrojonych ochotników wiernych parlamentowi.

Po powrocie napiszę więc artykuł, w którym przyjdzie wszystko wytłumaczyć. Będzie miał tytuł:

Ormianie.

Pieriestrojka otworzyła narodowościową puszkę Pandory. Gdy władza centrum osłabła, w niemal wszystkich republikach radzieckich ukryte wcześniej spory etniczne przerodziły się w walki. Najkrwawsze – między Ormianami a Azerami.

Armenia żądała przyłączenia Górnego Karabachu – enklawy zamieszkaney w dużej części przez Ormian, leżącej na terytorium Azerbejdżanu. Dochodziło do pogromów i starć na granicy. W obu republikach powstały ochotnicze formacje zbrojne działające często poza wszelką polityczną kontrolą.

Walczące oddziały miała rozdzielić armia radziecka. Jednak stacjonuje tylko po stronie azerskiej, bo emancypująca się Armenia nie chce jej na swoim terytorium. Dlatego, gdy na pograniczu zaczynają się walki, Ormianie mają przeciwko sobie dwóch wrogów.

Gdy na początku sierpnia na prezydenta Armenii wybrano Lewona Ter-Petrosjana ¹ z Ormiańskiego Frontu Narodowego, niektóre ochotnicze ugrupowania podporządkowały się parlamentowi. Jednak największe – Ormiańska Armia Narodowa – nie zajęło jasnej pozycji. Zdarzały się walki między Armią a innymi oddziałami.

Kiedy 29 sierpnia poseł Wiktor Ajwazjan jedzie mediować, od strony kwatery głównej Armii pada strzał. Ormianie zastrzelili swojego posła. Polała się bratnia krew. Tak zaczyna się wojna domowa.

Władze w Armenii od początku wiedziały, że niekontrolowalne oddziały zbrojne powstałe po azerskich pogromach na długo przed ukonstytuowaniem się suwerennego parlamentu są głównym czynnikiem destabilizacji w ich młodym państwie. Milicja patrzyła na nie przez palce, KGB odmawiało aresztowania hersztów band. W parlamencie ścierały się dwie koncepcje: jedni chcieli natychmiastowego rozbrojenia, inni wierzyli, że trzeba dać im szansę wstąpienia do tworzących się legalnych narodowych sił zbrojnych. Witia należał do tych drugich.

Tego dnia parlament wprowadza w Armenii stan wyjątkowy i rozwiązuje Armię. Rozbrajanie jej oddziałów trwa.

* * *

– Kto się boi wilka, nie idzie do lasu – mówi major Szagen, wsiadając do gazika, który powiezie nas do Woskeparu. – Znają mnie już tyle lat, nie będą strzelać. Zresztą

z automatu trudno im trafić w jadący samochód. Są niegramotni i zaniedbani pedagogicznie.

Rysuje w powietrzu trajektorię kuli za pomocą czapki i pudełka zapalek. Major wykładał w szkole wojskowej i wie, że fedaini nie mają pojęcia, co to wojna i strategia. No i jakoś dojechaliśmy.

– To jest wojna, córko, prawdziwa wojna o wolność – mówił Tirgan, który został we wsi Woskepar na czele trzydziestu ludzi, z kilkoma starcami przygotowującymi jedzenie dla żołnierzy. – Tak, mamy automaty, cekaemy, armaty, a przeciwko nam regularna armia, z techniką dalekiego rażenia.

Już cztery doby nie śpi, z trudem zwleka się z leżanki, gdy dzwoni telefon. Zmęczenie eksploduje krzykiem:

– Skąd, na litość boską, mam wziąć race?! – Ci z miasta proszą o sygnały, czy droga wolna, inaczej boją się przyjechać.

A ci po drugiej stronie są dobrze uzbrojeni: w Baku mają zakłady Schmidt, z Iranu przeszło przez zieloną granicę 140 tysięcy sztuk broni. Oddziały Azerskiego Frontu Ludowego uzbrojono i zalegalizowano, przebierając je w mundury milicji.

Widziałam tych milicjantów we wsi Barchudarły, azerskiej enklawie na terenie Armenii. Z zamaskowanego stanowiska strzelniczego patrolują obie strony szosy Idżewan-Baku, która znika na horyzoncie zamkniętym srebrzystym pomnikiem przyjaźni azersko-ormiańskiej. Ta droga wiedzie już donikąd, nikt z tutejszych nie odważy się przekroczyć tej granicy. Ormianin, który nas tam przywiózł, wysadził nas w biegu i w biegu zabrał z szosy w godzinę później. Gdybyśmy się spóźnili, miał postawić na nogi oddziały fedainów. Uważał, że to idiotyzm, że kobieta wybiera się na tamtą stronę. Opowiadał, jak Azerowie gwałcą kobiety na oczach pozostałych zakładników.

Przyjęli nas nieufnie, kilkakrotnie sprawdzali dokumenty. Zapewniali, że bronią wsi przed napadami Ormian. Jeden głośno krytykował Gorbaczowa², że dotąd nie rozprawił się z „brodatymi bandytami” z tamtej strony granicy. Szybkim ruchem ktoś przykrył leżące w budce karabiny. Zgodzili się zaprowadzić nas, z automatami przy biodrze, do jednostki wojsk radzieckich. Zakłopotany jasnowłosy kapitan, który nie miał instrukcji w sprawie zagranicznych dziennikarzy, pokazał nam zamaskowane stanowiska i pojazdy pancerne.

Radzieckie BTR-y widzieliśmy później w akcji pod Nojemberian. Tłumaczono nam, że Azerowie zaczynają walkę zaczepną, ostrzeliwują samochody, porywają zakładników. Kiedy Ormianie otwierają ogień, Azerowie wycofują się, zostawiając fedainów oko w oko z regularną armią radziecką, która stoi na granicy tylko po stronie Azerbejdżanu.

W stolicy widziałam Ormiańską Armię Narodową: poprzebierani za żołnierzy chętnie wypinali się do fotografii w erywańskim sztabie, z bronią, na tle instrukcji używania pistoletów albo plakatów z Bruce'em Lee i Schwarzeneggerem. Któregoś

dnia przed sztabem żołnierze pucowali błyszczącą czajkę z białymi firankami.

– Skąd macie? – pytam dowódcę.

– Wypożyczyliśmy.

– Jak?

– Normalnie: tu kładziemy na stół podanie, tu automat i nam wypożyczają.

– Po co?

– Mam sprawę do jednego sowieckiego dowódcy – odpiera świeżo upieczony bojownik. – Chcę pojechać do niego czajką, jak generał do generała.

Spotkałam go potem na pogrzebie fedainów zabitych w bitwie pod Woskeparem. Stał między ciężarówkami z trumnami, jakby zdziwiony. „Widzisz, jaka to zabawa w wojnę...” – zdawał się mówić wzrok tego chłopaka. „Widzisz, jaka to zabawa w wojnę...” – chciałam mu powiedzieć, odchodząc szybko spod ruszającego karawanu.

„Więc to jest wojna” – powtarzałam z niedowierzaniem, patrząc na pociągnięte jakąś ciemną pastą twarze żołnierzy w otwartych trumnach. „To jest wojna” – myślałam, wyjeżdżając ze szpitala w Nojemberian, gdzie umierał kolejny mężczyzna z rozszarpanymi wnętrznościami.

A przecież tam, w górach, wyglądali jeszcze, jakby bawili się w wojnę: wychodzili zza krzaków z gwintówkami, strzelbami myśliwskimi, z nożami o zdobnych rękojeściach, w najzwyczajniejszych mundurach i czapkach. Brali ser i chleb, które przywiózł im nasz major, jedli od razu, nie chowali na później, widać nie szykowali się na długo. „Postrzelają, a jak skończą im się naboje, to sobie pójdą, a my zostaniemy” – mówili miejscowi. Kiedy rzeczywiście Ormiańska Armia Narodowa zaczęła wycofywać się z hałasem, przez Nojemberian przeciągnęły dziwne pojazdy pancerne własnej roboty, autobusy, działa przyczepione do zwykłych ciężarówek. Mieszkańcy zebrali się na placu i żądali, żeby władze dały im broń. Nie chcieli zostawać z gołymi rękami wobec wroga.

Ormianie mają kompleks bezbronnych. Cała ich tragiczna historia to litania pogromów: 1915, 1917, 1920, 1928, 1947... Między 1915 a 1918 rokiem Turcy wymordowali półtora miliona Ormian. Ostatnie pogromy były w 1990 roku – na oczach Rosjan Azerowie wyrzynali Ormian w Baku i Sumgaicie.

To wtedy chwycili za broń. „Nigdy więcej” – powtarzali, wykopując pistolety, napadając na żołnierzy i konwojentów bankowych. Nie chcą już na nikogo więcej liczyć. Stają na granicy, tworzą oddziały samoobrony w miastach, gdzie za broń chwytają bandyci opłacani przez tych, którym władza zaczęła się wymykać z rąk. Bo naród ormiański podniósł głowę wobec bezpośredniego wroga: administracji Azerbejdżanu, ale też przeciw jej mocodawcy – władzy radzieckiej.

W dwa lata po pierwszych narodowościowych żądaniach w Górnym Karabachu

Armenia ogłosiła deklarację niepodległości. Zaczął się oficjalny proces odłączania się od Moskwy, ale nikt nie ma złudzeń, że cel został osiągnięty. Armenia ma nadal 150 tysięcy zakładników w oblężonym Karabachu. Ten naród pamięta, że wielokrotnie skazywano go na zagładę i tylko siłą własnego suwerennego państwa może walczyć o przetrwanie.

– Już raz poszliśmy z Iwanem – opowiadał mi Wiktor Ajwazjan o tragedii pogromu z 1915 roku. – A jak Iwan odszedł, zostaliśmy oko w oko z wielką Turcją. Rosjanie trzymali Ormian krótko groźbą, że jak oni wyjdą, to przyjdą Turcy. Moskwa prowadzi politykę „dziel i rządź”. Nienawiść między narodami? Wojna religijna? Bzdura, to nie średniowiecze, skończyły się czasy fanatyzmów religijnych. Karabach to karta, dzięki której trzyma się Ormian i Azerów w ZSRR. My musimy się sami dogadać. Problem w tym, że teraz nie mamy w Baku partnera, musimy poczekać, aż się tam odrodzi ruch demokratyczny. Sami do tego dojdą, znajdą sposób, jak wyjść z totalitaryzmu.

Tak mówił jeden z najświetlejszych ludzi, jakich spotkałam w Erywaniu. Zginął od kuli dziesięć dni temu.

Nie wiem, czy nosił przy sobie broń (prawie wszyscy noszą). Ale kiedy deputowany Wiktor Ajwazjan poszedł o świcie do sztabu Ormiańskiej Armii Narodowej z ludźmi ze straży parlamentarnej (jeden zginął obok niego), na pewno nie brał pistoletu, żeby przemówić im do rozsądku po nocnej strzelaninie w mieście.

– Pusty garnek głośno dzwoni – mówił o armii. – Część z nich to bandy organizowane przez sekretarzy raj-komów. Są tam narkomani i przestępcy, których łatwo kupuje się bronią, odzieżą i samochodami. Bakatin powiedział ostatnio w Moskwie, że ich szef Rasmik Wosiljan jest agentem MSW. Ale są tam też i uczciwi chłopcy.

Jednak strzelili.

Wyobrażam sobie, że gdy zobaczył kątem oka podejrzany ruch w oknie, z którego padł strzał, jego dłoń nie szukała rewolweru. Raczej chciał zakręcić koniuszek śmiesznych wąsów sterczących na chudych policzkach. Nie zdążył. Może tylko zmrzył oczy, jak zawsze.

Głupia, niepotrzebna śmierć – mówi się w takich razach. Ale ten strzał był komuś potrzebny: każdy wybuch w tym kraju może oznaczać koniec kruchej demokracji. A kiedy jest tyle broni, tak łatwo sprowokować strzał: w odwecie, w desperacji, w osaczeniu.

Tego dnia stało się jasne, że nie można czekać z rozwiązaniem zbrojnych oddziałów niekontrolowanych przez władze. Parlament ogłosił stan nadzwyczajny i dał fedainom ultimatum. Dowódcy Ormiańskiej Armii Narodowej zaapelowali do swoich ludzi o złożenie broni. Duża część posłuchała. Nie wiadomo, ilu zeszło do podziemia.

I znów parlamentu pilnuje oddział komandosów, prezydent Ter-Petrosjan ma dzień i noc ośmioosobową obstawę, deputowany Samwył zapewne nadal nosi pistolet

w teczce z dokumentami parlamentu (do niedawna nosił tam swoje wiersze). Rzeźbiarz Sembat, dziś dowódca legionu wyznawców „religii krwi”, patroluje miasto w białym terenowym mercedesie (prezent od Charles’a Aznavoura), z cekaemem i granatami pod siedzeniem. A kiedy wychodzi na noc z domu, matka żegna go w drzwiach podniesioną pięścią (za jej plecami, na ścianie Chrystus namalowany przez syna). Kamerzysta Lewon wsuwa kałasznikowa głębiej między siedzenia, kiedy jedzie do telewizji. Między powrotem z Afganistanu a wstąpieniem do oddziałów Ruchu Narodowego zdążył nakręcić parę filmów.

– Dopiero teraz zrozumiałem afgańską wojnę – wyznaje pisarz i dziennikarz, piękny brodac Wazgen (przewodniczący komisji parlamentarnej do spraw obrony i nieformalny dowódca oddziałów samoobrony). Wyjmuje zza pasa pistolet i kładzie go na półce, gdy przychodzi do przyjaciół, bo ten „rdzewieje od potu”.

Amdarcum uważa, że broń deprawuje każdego przez pokusę poniżenia drugiego człowieka siłą. On sam nosił broń, dopóki jego oddział nie zabił niewinnego człowieka. Ten doktor historii i filologii chciałby zostać ministrem spraw wewnętrznych, ale uchodzi za zbyt stanowczego w kwestii rozprawienia się ze zbrojnymi bandami. Pojedzie więc do Moskwy jako konsul Armenii. Nienawidzi Gorbaczowa za to, że aresztował członków Komitetu Karabaskiego jak złodziei.

– Uratowaliśmy Gorbaczowa przed nowym Afganistanem – mówi o przedłużeniu ultimatum w sprawie rozbrojenia nielegalnych wojsk. – Wzięliśmy to na siebie. Gdyby Gorbaczow musiał sam zaprowadzić tu porządek, złamałby sobie kark.

Amdarcum reprezentował Armenię w wielu negocjacjach, także tych z Azerami za pośrednictwem Bałtów. Ci z Europy – Bałtowie, moskwiczenie – denerwują go, bo upierają się, by rozwiązywać problemy za wszelką cenę bez rozlewu krwi.

Czyżby więc inna, niższa cena życia?

– Jesteście dzicy z tą waszą bronią za pazuchą – prowokuję przyjaciela poetę.

– Myśmy chwycili za broń dopiero wtedy, gdy zaczęli nas rżnąć – odpowiada Samwył, poseł do parlamentu. – Tam nie rozumieją, co to wyzwolenie narodowe. Biorą nas za faszystujących nacjonalistów i separatystów. Zobacz: my zrobiliśmy bezkrwawy przewrót, ale jeśli trzeba będzie, sam chwycę za strzelbę. A że Zachód nie rozumie? Wolę być żywym reakcjonistą niż trupem demokracji. Ot, taka nienaturalna miłość do życia.

* * *

Na lotnisku w Erywaniu mija kolejna godzina. Góry w Nojemberian, bojownik na koniu, głosy brodatych fedainów mówiących o wolności, o wojnie wyzwoleniczej, układają się w powietrzu drgającym nad pasem startowym w jakiś narodowy poemat.

Erywań, sierpień 1990 roku

1. Lewon Ter-Petrosjan – pierwszy prezydent niepodległej Armenii w latach 1991–1998. Silnie wspierał działania Ormian z Górskiego Karabachu ukierunkowane na jego przyłączenie do Armenii. [\[wróć\]](#)
2. Michaił Siergiejewicz Gorbaczow – ostatni przywódca Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i jedyny prezydent zsr, laureat Pokojowej Nagrody Nobla. [\[wróć\]](#)

Oblężony parlament. Litwa

Radio Zet wystawiło na Nowy Świat przed siedzibę redakcji duży głośnik i puszczało na okrągło korespondencje, które nadawałam z Wilna. Najczęściej spod biurka jakiegoś gabinetu w oblężonym parlamencie, gdzie były wciąż czynne telefony, ale lepiej było doczołgać się do nich, bo szklany gmach otaczało niewidoczne radzieckie wojsko. Na wieży cerkwi po drugiej stronie rzeki siedział snajper – tak mówili. Więc nadawało się spod biurka.

Czwartek, 10 stycznia 1991 roku

Już na kilka ulic przed dojściem do parlamentu słysząc śpiew. Od przedwczoraj nieprzerwanie przed gmachem stoi kilkusetosobowy tłum z flagami i transparentami. Prezydent wezwał mieszkańców Litwy do obrony swojej władzy. Mieszkańcy Wilna schodzą się dzielnicami – prasa podała kolejność dyżurów. Stanęli obok policji, otoczyli gmach i stamtąd nie odchodzą.

We wtorek rano na parlament uderzyło około 5 tysięcy osób, ale nie przypadkowych. Ludzie proradzieckiego „Jedinstwa”, w tym sporo wojskowych, zaczęli rozbijać szyby. Zjechali pod sejm autobusami z zakładów pracy, gdzie – tajemnica poliszynela – produkuje się sprzęt na potrzeby radzieckiego wojska. To bastiony tutejszych Rosjan i Polaków, a nazwa Jedinstwo – po rosyjsku właśnie, a nie po litewsku, znaczy „jedność”. Ale najwyraźniej nie chodzi tu o jedność z Litwinami, a raczej o nierozłączność ze Związkiem Radzieckim. „Nigdzie nie odejdziecie!” – krzyczał w Moskwie Gorbaczow i próbował wziąć ich głodem. Blokada ekonomiczna nie złamała uporu Litwinów.

W atmosferze pospolitego ruszenia obraduje Rada Najwyższa, która dziesięć miesięcy temu ogłosiła niepodległość Litwy. Kryzys rządowy w pełni. Dziś jeszcze powinien być wybrany premier. Trwa walka między frakcjami: radykalnych zwolenników Landsbergisa ¹ i byłych komunistów. Trzeba się spieszyć.

Przed godziną do parlamentu dotarło posłanie od Gorbaczowa. Radziecki prezydent „proponuje” litewskiej Radzie Najwyższej, żeby natychmiast wróciła do konstytucji radzieckiej i powstrzymała „burżuazyjne tendencje” na Litwie. „Wileński parlament powinien zrozumieć rozmiary swojej odpowiedzialności” – pisze Gorbaczow.

Poprzedniej nocy do wileńskich koszar wjechały oddziały specjalne radzieckich

komandosów.

Parlament litewski od początku nie godził się z rządowym projektem reformy cen.

„Jak wprowadzić wolny rynek w kraju, w którym nie ma waluty, granic ani handlu zagranicznego? – zastanawiali się posłowie z obozu Landsbergisa. – Jak uniknąć paniki?”.

Rząd zakładał już w pierwszym miesiącu 300-procentową inflację. Od dawna sztucznie utrzymywane niskie ceny spowodowały, że sklepy kompletnie opustoszały. Ukrywany przez przedsiębiorstwa i sprzedawców towar stał się cenniejszy od rubla. Jedzenie można kupić na bazarze za potrójną czy poczwórną cenę. Ale sejm nie chciał ryzykować karkołomnej podwyżki, nie mogąc zapewnić racjonalnej kompensaty płac. Jak się spodziewali przeciwnicy podwyżki, na pierwszą, nawet nie dość konkretną zapowiedź wzrostu cen zareagowała ulica.

Tymczasem nowe grupy Litwinów zmierzają pod gmach sejmu.

Piątek, 11 stycznia

Całą noc, już czwartą z kolei, czuwają pod parlamentem mieszkańcy Wilna. Są też przyjezdni: widać transparenty z Leningradu, flagi z Łotwy, Estonii i z Ukrainy. Dziwny to festyn, kiedy ludzie, śpiewając i modląc się na głos, nasłuchują odgłosów czołgów.

Wileńska telewizja transmituje do czwartej rano obrazy spod parlamentu.

Sejm litewski nie przerywał posiedzenia, nawet w chwilach największego napięcia. W pośpiechu zatwierdził nowy rząd, który jest faktycznie starym rządem z nowym premierem. Po wtorkowej dymisji gabinetu pani Prunskiene² trzeba było jak najszybciej zażegnać kryzys rządowy.

A tylko na to czeka Moskwa. „Zrzucony ze spadochronu” Komitet Ocalenia Narodowego już jest na miejscu. Według stałego wysłannika litewskiego rządu w Moskwie Komitet zamierza przejąć władzę przy pomocy armii radzieckiej.

Prezydent Landsbergis apelował wczoraj, by nie ulec próbom zwołania nowych wyborów czy jakiegokolwiek referendum. Ogłosił to na wypadek, gdyby łączność między legalną władzą a ludnością została zerwana.

Obrady zaczęły się dziś rano przy akompaniamencie krzyków demonstrantów. Z czerwonymi flagami z sierpem i młotem stoją na placu przed socrealistyczną budowlą z kolumnami, kilkadziesiąt metrów od budynku parlamentu, podśpiewują *Międzynarodówkę* razem z taśmą, megafon zniekształca słowa, ale widać, że grożą w stronę sejmu, gdzie stoją inni ludzie. Między sobą rozmawiają po rosyjsku lub po polsku – okazuje się, że jest tu wielu tutejszych Polaków. Kolejny dzień obie grupy stoją naprzeciw siebie, w odległości 200–300 metrów. Kiedy tamci pod szklanym gmachem parlamentu wołają po litewsku: „Litwa!”, ci odpowiadają po rosyjsku:

„Sowiecka!”.

W takiej właśnie atmosferze parlament zaprzysiął po południu jedenastu ministrów – wszystkich z dotychczasowego rządu. Nieobsadzone jednak zostały kontrowersyjne resorty: rolnictwa, finansów, spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Frakcja Landsbergisa i radykałów sprzeciwia się koalicji z byłymi komunistami, których głos jeszcze się liczy w tym gmachu.

Wewnątrz budynku od wczoraj tkwi oddział litewskich czarnych beretów. Jest też litewska policja w najdziwniejszych mundurach: widać – składane z tego, co kto dał. Najważniejsze, że z Pogonią na guzikach, a nie z radziecką gwiazdą. Buty najczęściej zupełnie cywilne.

Koło północy kolumna dwudziestu czołgów pojawiła się na moście Tilty; ktoś włączył alarm, długo wyła syrena, dłużej niż grzechotanie samych czołgów o bruk.

Sobota, 12 stycznia

Dziś rano w wileńskich kioskach nie będzie gazet. Wczoraj radzieccy komandosi wtargnęli do siedemnastopiętrowego gmachu Domu Prasy. Otworzyli ogień, wyrzucili wszystkie redakcje i drukarzy. Tak więc prasy już nie ma.

Z pewnym jednak wyjątkiem. Koło północy dotarły pod parlament pierwsze, pachnące farbą egzemplarze „Echa Litwy” – wileński dziennik wydrukowano w Kownie. Bezrobotni od piątku dziennikarze przygotowują na sobotni rano pierwszy numer nowej gazety „Wolna Litwa”. Gdzie wydanej? Tajemnica.

Piątkowy bilans to siedmiu rannych, w tym czterech od kul, i piętnastu zaginionych. Są podstawy, by sądzić, że jest dwóch zabitych – podały ostatnie wiadomości.

„W Wilnie stoi armia okupacyjna” – ogłasza prezydent Landsbergis. Na Litwie do tej pory stacjonowały 92 tysiące żołnierzy radzieckich. Szef litewskiego Departamentu Ochrony Kraju, czyli litewskich oddziałów, ocenia, że w ostatnich dniach doszły trzy tysiące. Wkroczył już jeden pułk dywizji pskowskiej – specjalny oddział desantowy. Teraz napływa pułk dywizji witebskiej. Dodatkowe posiłki nadlatują samolotami.

Wojsko radzieckie, według informacji krążących w parlamencie, kontroluje główne drogi w kierunku Wilna. Faktycznie w Wilnie komandosi opanowali budynki, na które zawsze miało chrapkę wojsko lub partia komunistyczna: gmach ministerstwa obrony oraz siedemnastopiętrowy wieżowiec, gdzie mają (miały?) siedzibę wydawnictwa prasowe. Na prowincji zaatakowali też dwa inne obiekty: na granicy zniszczyli punkt kontroli celnej, przewracając barakowozy i tłukąc szyby. W mieście Alytus zajęli budynek odpowiednika naszej Ligi Obrony Kraju – ostatnio prowadzono tam kursy dla litewskich oficerów. Sowietci aresztowali piętnaście osób. „To są jeńcy wojenni – grzmi szef Departamentu Ochrony Kraju. – Oni złożyli już wojskową przysięgę”.

Na oficjalne żądanie wyjaśnień dowódca radzieckich sił zbrojnych stacjonujących na Litwie odparł: „To zwyczajne doroczne manewry”.

Minister energetyki uspokaja w związku z plotkami o przygotowywanym ataku na elektrownię jądrową w Ignalinie – ma nadzieję, że wojskowi nie będą igrać z ogniem.

Wciąż napływają nowe informacje z różnych stron kraju.

W piątek wieczorem wojsko wtargnęło do małego studia przygotowanego na wypadek zajęcia głównej redakcji. Pobito dwóch członków Departamentu Ochrony Kraju w lokalu poboru. Telewizja pokazała zdemolowane wnętrza. Tak samo po wizycie wojska wygładało Stowarzyszenie Myśliwych.

Wojsko opanowało także międzymiastową centralę telefoniczną i główny węzeł kolejowy Wilna. Na dworcu kolejowym setki ludzi, w tym 500 dzieci, wracających z ferii, śpi dziś na bocznicach w pociągach, które nie odjadą. Stało już dziesięć dużych składów, do rana będzie dwa razy tyle.

W piątek strajkowało wileńskie lotnisko i być może dlatego dwa samoloty pełne pasażerów wciąż stoją na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo. W Moskwie nie sprzedaje się też biletów kolejowych na Litwę.

Zaciska się stalowy uścisk wokół Litwy.

Grupa mieszkańców Wilna zebrała się wokół nadajnika telewizyjnego, mimo porywistego wiatru.

* * *

Nie byłam w tamtą noc pod wieżą telewizyjną. Nie widziałam, jak czołgi wgniatyły ludzi w błoto. Grupa mężczyzn rzuciła się biegiem ze skarpy i wskoczyli na czołg, próbując go zatrzymać. W białych błyskach reflektorów małe sylwetki chwilę tańczyły na żelaznej skorupie i spadały pod gaśnice. Jeszcze jeden chłopak oburącz chwycił lufę czołgu i tak wisiał, chociaż ten próbował go strząsnąć z siebie, obracając szybko wieżyczkę w prawo i w lewo. Dopiero gdy wystrzelił, chłopak wyleciał na 5–6 metrów w górę, spadł, wywinął koziołka i uciekł. Nie widziałam tego wszystkiego, ale te obrazy, te wszystkie wiadomości, które będę zbierać przez resztę nocy i w następne dni, bo długo jeszcze będą krążyć z ust do ust – mam do dziś przed oczami.

Miałam pecha: w takim momencie siedziałam, stałam raczej, przed telewizorem, nieprzytomna, wyciągnięta przed chwilą z łóżka. Tego wieczoru akurat przyszłam się umyć i przespać u ciotki na ulicy Tilto koło katedry – po raz pierwszy od kilku dni biegania po ulicach i czuwania w parlamencie.

„Wstawaj, atakują telewizję!” – wyrwali mnie ze snu. Przed telewizorem była już cała rodzina – na ekranie transmisja na żywo z desantu na nadajnik telewizyjny. Przez okno słychać strzały z czołgów z innej części miasta. Jest pierwsza w nocy.

Chwytam za telefon – działa. Wykręcam Warszawę, tam jest dopiero jedenasta, łączę się z Radiem Zet, każę, by przełączyli mnie prosto do studia. Nadaję. Bezpośrednią relację z... telewizora.

Na ekranie pojawia się Landsbergis: w napięciu cedząc słowa, wzywa mieszkańców Wilna do obrony parlamentu, jedynej prawowitej władzy. Następnie przebitka na gęstniejący tłum przed gmachem: chorągwie, podnosi się śpiew, narasta, strzały słychać tam i tu, za oknem.

Obraz ze studia: spikerka mówi (wuj tłumaczy mi rwącym się głosem), że są już na dole. Ona kazała się zaryglować od zewnątrz, żeby móc nadawać do ostatniej chwili.

Teraz kamera pokazuje korytarz: pochyleni, z automatami gotowymi do strzału, wbiegają żołnierze, rozglądają się, któryś zauważa kamerę i zakrywa obiektyw dłonią.

Znów przebitka na tłum przed sejmem, zaraz potem znika obraz, ale jeszcze słychać głos, krzyki, wreszcie i głos się urywa, a ekran śnieży.

Nie mogę oderwać wzroku. Nie wiem, co powiedzieć. Więc jeszcze „...z Wilna dla Radia Zet...” i odkładam słuchawkę.

Spałam tej nocy godzinę, poprzedniej niewiele więcej. Ale po chwili już jesteśmy w samochodzie. Mijają nas karetki na sygnale. Próbujemy dostać się do gmachu telewizji – nic z tego. Budynek otoczyli już szczelnie żołnierze, z karabinami wycelowanymi w tłum, który gwizdami zagłusza megafon. Głos z taśmy, zapętlony, próbuje przekonać ludzi, żeby się rozeszli, bo przyszła nowa władza i czas się opamiętać. Tłum odpowiada jeszcze głośniejszym gwizdem, nie bacząc na huk wystrzałów z czołgu. Pocieszają się, że to ślepe naboje, ale kto stoi blisko, łapie się za uszy, by chronić bębni, komuś spod palców cieknie krew. W okolicznych domach lecą szyby.

Łapię strzępy relacji: przed frontowe wejście podjechały autokary, jeden za drugim ciasno opasały budynek. Przycisnęły obrońców do muru, ale nikt nie wysiadał. Nagle z okien autobusów posypało się szkło: komandosi tłukli od środka okna i wyskakiwali na stojących tam ludzi. Nie mieli miejsca, by zadać cios, więc przeciwnicy napierali na siebie ciałami. Jakimiś kolczastymi tarczami odepchnęli w końcu obrońców parę metrów dalej i wtedy podnieśli lufy karabinów. I tak stoją teraz naprzeciw, dysząc.

Ktoś z tłumu intonuje pieśń, inni podchwytyją. Ktoś rzuca żołnierzowi papierosy, ten nie pochyla się po cenny prezent, tylko kopie paczkę, nie wiadomo, z pogardy, czy ze strachu. Wpadła w kałużę krwi.

Może to była krew kobiety, którą mąż znalazł w szpitalu z roztrzaskanymi pieszczelami – opowiadał mi na korytarzu, że jego Krysia, z domu Odyńcówna, pytała wciąż o nowe kozaczki, które „zgubiła” pod telewizją.

A może tej dziewczyny 23-letniej, którą ktoś pokazał mi nazajutrz na kasecie wideo: leżała naga, wydawała się gruba, a to już był obrzęk. Jeszcze coś mówiła do lekarza, na udach miała regularne ślady gąsienic. Potem kamera pokazała ją już z podwiązaną szczęką. Aż musiałam pójść sprawdzić tam, gdzie wystawiono zwłoki, ale jej twarz była już jak maska, jak wielka lalka ubrana w ślubną suknię.

Bo do kostnicy nie poszłam tamtego wieczoru, tak jak zrobili fachowi dziennikarze.

Potem wielu z nich nie trzeźwiało w hotelowym drink-barze. Ci, którzy byli wtedy pod wieżą telewizyjną, nie pchali się już do parlamentu. Wynajmowali pokoje z oknami wychodzącymi na gmach, na wysokich piętrach, żeby było dobrze widać atak. Wpadali czasem na chwilę, fotografowali okopującą się i barykadującą się szklaną twierdzą i wracali w bezpieczne miejsce.

Ja się nie bałam, bo tamtej nocy nie widziałam z bliska.

Niedziela, 13 stycznia, 23.00

Zawieszenie broni czy kolejny atak? To pytanie będzie zapewne nurtowało dziś wszystkich przez całą noc. Tych, którzy posłuchali prezydenta i odeszli z placu, i tych, co zostali w zabarykadowanym parlamencie.

Wojsko ogłosiło godzinę policyjną. Przez cały dzień Litwini mogli udawać, że ich nie dotyczy zarządzenie samozwańczej władzy. Ale na godzinę przed krytycznym momentem zaczęło się robić nerwowo. Delegacja moskiewska wyczekiwana od wielu godzin ciągle nie wraca od generałów. W rękach posłów leży los kilku tysięcy osób, tkwiących ciągle pod parlamentem. Wojskowi powiedzieli, że po dziesiątej wieczorem będą strzelać bez uprzedzenia. Poprzedniej nocy okazało się, że czołgi mogą wchodzić w ludzi jak w błoto.

Kilka dramatycznych głosów w sali wystarczyło: Landsbergis nie czekał z decyzją – wzięł ją na siebie. Kazał włączyć mikrofon i bezpośrednio z sali obrad przemówił do tłumu stojącego na placu. Mówił o wartości życia ludzkiego, o tym, że ważna jest przyszłość. Poprosił, żeby ludzie się rozeszli do domów i zabrali ze sobą przyjezdnych.

„Oto przyszła wieść, na którą czekałem – powiedział niespodziewanie. – Wojskowi zgodzili się nie wyjeżdżać dziś w nocy z czołgami, jeśli uda nam się was przekonać, żebyście się rozeszli”.

On sam musi zostać, bo ma dużo roboty. I pożegnał się ze wszystkimi. Został z garstką najwierniejszych i kilku setkami straceńców w czarnych mundurach.

Nikt tej nocy nie ma pewności, na ile prawdziwa okaże się obietnica wojska. A kto był w tej sali, zastanawiał się, czy prezydent nie zblefował, by uratować tłum przed masakrą.

Poniedziałek, 14 stycznia

Niedługo trwał spokój w Wilnie. Za piętnaście dwunasta desant radziecki zajął lokalną stację radiową, która przekazywała kablem bieżące informacje z wolnego radia w Kownie i z nadajnika parlamentarnego. W domach i w zakładach pracy zamilkły „kołchoźniki” z niezależną informacją.

„Wydaje się, że akcje wojsk nie są kontrolowane przez żadną cywilną władzę – skomentował ten nowy atak prezydent Landsbergis. – Ale dezinformacja organizowana

jest na najwyższym poziomie”.

Po wczorajszych negocjacjach armia obiecała, że zaprzestanie wszelkich działań zbrojnych na Litwie. Niejasna jest rola pośredników w tych rozmowach. Dopiero dziś przed południem w czasie pierwszej rozmowy telefonicznej Landsbergisa z Gorbaczowem okazało się, że delegaci Rady Rosyjskiej Federacji mają pełnomocnictwa prezydenta z Moskwy. Oni sami przedstawiali się dotychczas jako pośrednicy. Były wicepremier Ozolas ³ powiedział mi przed chwilą, że jego zdaniem komisja ta przyjechała z cichym zadaniem, żeby zebrać argumenty pozwalające na wprowadzenie stanu wojennego na Litwie.

Do centrum informacyjnego parlamentu doszły w ciągu ostatniej godziny następujące wiadomości:

W rosyjskich zakładach Vilna zbierają się ludzie na wezwanie Jedinstwa, by przyjść pod parlament.

Dwie 20-osobowe grupy wyjechały z radzieckich garnizonów w cywilnych przebraniach. Tajniacy? Prowokatorzy?

Wileński parlament jest oblężoną twierdzą. Morze ludzi, zbity tłum – na placu, na ulicach – czeka. Czekają też posłowie w sali posiedzeń, niektórzy drzemią, są tu przez całą noc, na pulpitach leżą rozrzucone maski gazowe.

Przyjechali posłańcy z Moskwy. Rozmawiają teraz z prezydium parlamentu.

Dwaj księża odprawiają msze przez okno z gmachu sejmu. Inni księża spowiadają żołnierzy.

Jeszcze jedna noc w niepewności: Landsbergis poprosił dziennikarzy, a szczególnie kobiety, o opuszczenie parlamentu. „Jest duże prawdopodobieństwo, że w nocy będzie zrzucony desant” – powiedział. Szef Departamentu Ochrony Kraju Audrius Butkevicius spodziewa się, że komandosi zaatakują gmach z powietrza. Mimo to przygotowuje się też klasyczną obronę: dźwigi rozstawiają dookoła 8-tonowe betonowe bloki. Cały nowoczesny budynek ma duże, przeszklone ściany. Oparto o nie żelazne kraty. Zabarykadowano okna i drzwi.

Od środka wzmacnia się barykady z worków z piaskiem i z mebli. Oszklone ściany zasłonięto fotelami i stołami. Wieczorem wynoszono komputery.

Młodzi ludzie wyglądają dziś mniej groźnie. Butkevicius dał rozkaz, by zdjęli czarne mundury. „Człowiek w mundurze będzie pierwszym celem napastników”.

Te maski gazowe, butelki z naftą i żelazne pręty wydają się śmieszne po tym, jak ktoś widział wczoraj w nocy czołgi w akcji. Z samochodu osobowego został placek, a przez ciężarówkę z piaskiem, która blokowała dojazd do wieży telewizyjnej, ciężki tank T-80 przeskoczył jak przez zabawkę.

Na pytanie, czy jest w parlamencie broń palna, Butkevičius odpowiada: „Tajemnica”. Ale zdaje sobie sprawę, że wobec regularnej armii jego ludzie są praktycznie bezbroni.

„Nie wątpię, że wydarzenia na Litwie mają bezpośredni związek z wydarzeniami w Zatoce Perskiej – powiedział. – To ostatnia próba sił ze strony wojskowych, którzy chcą pomóc Husajnowi ⁴”.

Na kilka godzin przed możliwym wybuchem w Zatoce atmosfera w Wilnie jest szczególnie napięta. Dookoła budynku płoną ogniska: chwycił mróz, grupy ludzi grzeją się przy ogniu. Okna w pobliskich domach zaklejono taśmą.

Ostatnia litewska radiostacja jeszcze nadaje z Kowna – w różnych językach apeluje o pomoc. Brakuje środków przeciwbólowych dla rannych. W szpitalach jest 108 osób, niektóre walczą ze śmiercią. Nocą od strzałów pod gąsienicami czołgów zginęło 12 osób.

Z zajętego przez wojska radzieckie radia nadaje tak zwany Komitet Ocalenia Narodowego, który podaje się za oficjalną władzę na Litwie. Działa rzekomo w imieniu i w obronie ludu pracującego. A także w obronie parlamentu przed chuliganami i prowokatorami. Dlatego ogłasza stan wojenny, godzinę policyjną, zabrania używania aparatów fotograficznych i kamer, przeszukuje samochody. Samozwańczy, anonimowy Komitet ustami jakiegoś nieznanego generała żąda, żeby posłowie i ochotnicy opuścili parlament.

Tymczasem tu, w parlamencie, panuje pełna determinacja.

Radio Zet ogłasza zbiórkę pieniędzy na pomoc Litwie. Na Nowym Świecie, przed siedzibą radia, wystawiono urny oraz głośniki, przez które bez przerwy nadaje się wiadomości.

Trzy tysiące ludzi manifestowało w południe w Szawlach. Autobusy odjechały stamtąd w stronę Kowna, wioząc tych, którzy gotowi są bronić tamtejszej telewizji. To jedyny punkt, z którego nadaje się jeszcze informacje. Telewizja kowieńska odbierana jest na Zachodzie bezpośrednio przez satelitę.

Trwają mityngi solidarności z Litwą w Tbilisi, w Moskwie, w Rydze, w Kijowie. Poinformowano też o demonstracji warszawiaków pod ambasadą radziecką. Przeszedł telegram z Puńska od polskich Litwinów. „Oglądamy telewizję z Kowna. Płaczemy razem z wami. Modlimy się”.

Nie nadawałam od kilku godzin, bo poszłam w to miejsce, gdzie Wilno żegna się ze swoimi zmarłymi. Zwłoki dziesięciorga zabitych leżą w Pałacu Sportu. Tysiące ludzi z kwiatami czekają godzinami w kilkukilometrowej kolejce, żeby ostatni raz na nich

spojrzeć. Otwarte trumny toną w kwiatach. Dookoła czuwają – siedząc, stojąc – najbliżsi. Zmarli leżą pięknie ubrani, na piersiach złożone woskowe ręce. Tylko zmasakrowane twarze noszą ślady tragedii. Leży wśród nich ta dziewczyna w białej ślubnej sukni...

Wśród wielu innych ujęć, których nie mogę opisać, były też zwłoki radzieckiego komandosa, z kulą w plecach. Doktor Olekas⁵, minister zdrowia, demonstrował dziś w czasie konferencji prasowej pociski wyjęte z ran ludzi przywiezionych spod telewizji. Są to ostre kule bojowe. Identyczną wyjęto z pleców radzieckiego żołnierza. Minister Olekas, wbrew obietnicy Gorbaczowa, nie mógł wejść do wieży telewizyjnej. Wojskowi wpuścili go tylko na parter. Są podstawy, by sądzić, że na górze są jeszcze ranni albo zabici: ochrona wieży broniła się przez półtorej godziny.

Ostatni bilans: trzynaścioro zabitych, 230 rannych i wielu zaginionych bez wieści. Specjalny punkt zbiera zgłoszenia od rodzin.

„Jeśli dostaniesz rozkaz »strzelać«, strzelaj w powietrze, nie strzelaj wcale, rób cokolwiek, byleby nie przelać krwi” – taki apel po rosyjsku, do żołnierzy armii radzieckiej, nadaje radio kowieńskie. To już ostatnie w Wilnie źródło niezależnej informacji, jeśli nie liczyć zagranicznych rozgłośni. Na ulicy widać czasami ludzi, którzy śpieszą z radiem tranzystorowym przy uchu. W lokalnym radiowęźle już odezwała się proradziecka propaganda tajemniczego Komitetu Ocalenia Narodowego.

Jest to jednak tajemnica poliszynela. Szef Departamentu Ochrony Kraju powiedział po rozmowie w radzieckim garnizonie: „Jestem przekonany, że Komitet to struktura stworzona przez wojsko”.

Butkevičius ma przykłady na podziały w łonie lokalnych sił zbrojnych. Wszystko wskazuje na to, że działają tu przyjezdni, bez poparcia od dawna stacjonujących na Litwie wojskowych. Akty agresji organizują obcy ludzie – służby specjalne. Mityngi prosowieckie, zdaniem Butkevičiusa, też organizuje wojsko. Przed wiecami uczestnikom sprzedaje się tanią wódkę i namawia ich do strajków za podwójną zapłatę.

„Cel tamtej strony to prowokacja i dezinformacja – mówi Butkevičius. – Szykuje się powtórka scenariusza z '40 roku: będą symulować rewolucję, by wkroczyć z wojskiem jako obrońcą porządku (...)”.

„To już jest wypowiedzenie wojny – powiedział dziennikarzom prezydent Landsbergis. – Być może Związek Radziecki wyprzedza wypadki w Zatoce Perskiej. Może też chodzi o ułatwienie sytuacji Husajnowi. W takim kraju jak Związek Radziecki wszystko jest możliwe, skoro można było saperkami zarębać kobiety w Tbilisi...”

Vytautas Landsbergis opowiedział grupce dziennikarzy zebranych w jego gabinecie, że dwa razy dzwonił dziś do Gorbaczowa – bez skutku. Poprosił więc sekretarza, by przekazał, że podległe prezydentowi radzieckiemu wojska przelały krew w Wilnie.

Poprosił, żeby prezydent swoim rozkazem powstrzymał te działania. „Oni już przekroczyli granice – mówił dalej Landsbergis. – W sposób godny mafii opanowali budynki, do których wcześniej już pretendowały wojsko lub partia. Ale też zawładnęli obiektami, które bezsprzecznie należą do państwa litewskiego. Chodzi o odpowiednik polskiej Ligi Obrony Kraju i urzędy celne na granicy. W Wilnie stoi armia okupacyjna” – podkreśla z naciskiem litewski prezydent. Na pytanie, jak przyjmie ewentualny atak na parlament, prezydent-pianista odparł: „JA z kwiatami”.

Czy parlament będzie się bronił?

„W razie ataku wydam odpowiedni rozkaz” – odpowiada szef Departamentu Ochrony Kraju Butkevicius. Zigmas Vaišvila, przewodniczący parlamentarnej komisji do spraw obrony, mówi wręcz: „Mamy mało broni, ale co mamy – użyjemy. Choćby symbolicznie”.

Na razie napięcie opadło w kuluarach parlamentu po tym, jak ochotnicy złożyli przysięgę. Od tej pory są żołnierzami i z determinacją czekają na atak wojsk radzieckich. Całe ich uzbrojenie to żelazne rurki, które zaczęli znosić od wczoraj, często zawinięte w gazetę, żeby nie wyslizgiwały się ze spoconych rąk. Rozdano maski gazowe. Koktajle Mołotowa już przygotowane – jeszcze wisi w powietrzu zapach benzyny. Na parterze w stronę głównych drzwi pełzają trzy strażackie węże, przykręcone do hydrantów, gotowe do chluśnięcia wodą w napastników. Ale milicjanci patrzą na nie krzywo – uważają, że we wtorek woda tylko dodatkowo rozjuszyla atakujących z grupy Jedinstwa, kiedy ruszyli na gmach. W Domu Prasy radziecki desant otworzył dziś w południe ogień do obrońcy budynku, kiedy ten próbował oblać wodą z hydrantu oddział szturmowy.

Po dzisiejszych akcjach wojska jest czterech rannych, ale trudno ustalić, w jakich okolicznościach. Mówi się o seriach z karabinów maszynowych, o starciu komandosów z ochroną gmachu wydawnictw, o ciężarówce zmiażdżonej przez czołg na skrzyżowaniu, o pobitym dziennikarzu. Co jakiś czas wpada wiadomość o przemieszczaniu się kolumny pancernej ulicami, ale jak dotąd, do osiemnastej czasu warszawskiego, tu, w parlamencie, nic się nie stało. Ochotnicy mogli więc się wyciągnąć na fotelach i podłogach.

Wtorek, 15 stycznia

Nie było godziny policyjnej w Wilnie, a przecież wojsko patrolowało ulice, kontrolowało w nocy dokumenty i samochody. Minister zdrowia otrzymał obietnicę, że będzie mógł wejść do wieży telewizyjnej, a skończyło się na obietnicach pustego parteru. Przypuszcza się, że w kilkusetmetrowej wieży są jeszcze ludzie, żywi lub martwi. Obrońcy mogli zabarykadować się pancerną płytą, na której jak na talerzu leży panoramiczna restauracja na szczycie budowli. Z otoczonego przez wojsko obiektu

dochodzą odgłosy robót – być może komandosi próbują przebić się przez żelazną zaporę.

Wreszcie jeszcze jeden znak zapytania: co robi moskiewska delegacja, która godzinami pertraktuje z wojskiem? Dotąd nie wyjaśniono, jakie naprawdę ma kompetencje. Landsbergis we wczorajszej rozmowie z Gorbaczowem zrozumiał, że czterej członkowie Federacji Rosyjskiej – Ormianin, Rosjanin, Białorusin i Ukrainiec – mają pełnomocnictwa prezydenta z Kremla. Oni sami zaprzeczają. Landsbergis prosi ich usilnie, by nie wyjeżdżali z Wilna. Panuje przekonanie – czy raczej przecucie – że ich obecność powstrzymuje armię przed drastycznymi krokami.

Dookoła parlamentu jednostajny warkot – wielkie łapy koparek drążą 6–8-metrowe okopy. Góry wydobytej ziemi zamykają horyzont. Dźwigi układają betonowe zapory przeciwczołgowe. Parlament przygotowuje się do prawdziwego oblężenia.

Cóż, kiedy oczekiwany każdej nocy atak ma przyjść z powietrza. Dlatego po zabarykadowaniu szklanych ścian zabrano się do dachu. W boazerii okalającej schody robi się dziury, by przeciągać przez nie metalowe druty, które mają zagradzać drogę spadochroniarzom.

W korytarzu nie czuć już nafty – kazano wycofać koktajle Mołotowa ze względu na bezpieczeństwo. Widać więcej broni palnej – pojawiły się jakieś śmieszne, starodawne strzelby myśliwskie. Poza tym obrońcy uzbrowili się w żelazne rurki i pręty – kawałki instalacji gazowej albo bagażników samochodowych. Jakiś starszy pan znosi na górne piętro kwiaty w doniczkach – to ma być jego broń.

W środku mężczyźni drzemią na noszach i na śpiworach – najwyraźniej jakiś dar z zagranicy. W eleganckiej do niedawna restauracji poselskiej z kotłów wyławia się parówki i rozlewa cienką herbatę.

Prezydent Landsbergis nie zdejmuje granatowej kamizelki kuloodpornej. Za dowódcą Departamentu Ochrony Kraju krok w krok chodzi jego goryl. Nawet tutaj, w parlamencie, nie mogą czuć się bezpiecznie, chociaż do budynku wchodzi się już przez bardzo wąskie gardło kilku kontroli między betonowymi blokami.

Na kilka godzin do końca ultimatum w Zatoce Perskiej napięcie wśród obrońców wileńskiego sejmu dochodzi do zenitu.

Pod wieżę telewizyjną ciągle schodzą się mieszkańcy Wilna i przyjezdni z całej Litwy. Podnoszą ręce do oczu i wpatrują się w kilkusetmetrowy betonowy słup. Tam, gdzieś między rzadkimi otworami, mogą jeszcze tkwić ludzie. Może jakiś ruch, jakiś znak życia... Ponad sześćdziesięciu ochotników z ochrony zaginęło bez wieści. Wiadomo, że przez półtorej godziny odpierali strzałami atak desantu. Wśród rannych i zabitych są tylko ludzie stojący pod wieżą – ze środka nikt nie wyszedł.

Nakręcono film, na którym widać, jak żołnierze radzieccy wynoszą duże, ciężkie

worki. Ale możliwe, że obrońcy wieży jeszcze żyją. Mogli zablokować się zaporą przeciwpożarową, która żelaznym talerzem odcina dostęp do wyższej części wieży. Ludzie szeptem zastanawiają się, co może dzieć się w betonowym więzieniu. Całą wieżę w promieniu 200 metrów otaczają gęsto rozstawione czołgi. Żołnierze dla zabawy mierzą lufami w ludzi stojących po drugiej stronie siatki, którą rozciągnęli naprędcie. Któryś pstryka zdjęć amatorskim aparatem. Nie odpowiadają na obelgi tych zza siatki. Kobiety w czarnych chustkach i kapeluszach rozstawiają świeczki na skarpie, gdzie tamtej nocy cywile padli od strażów i pod gąsienicami czołgów.

Jedenastu oficerów z pułku pskowskiego przysłanego na operację w Wilnie odmówiło posłuszeństwa dowódcom. Żądają wyjaśnienia sprawy ataku na nadajnik telewizyjny. Reakcja natychmiastowa: buntowników zamknięto w areszcie domowym. Przez radio kowieńskie płyną apele do żołnierzy radzieckich. Parlament drukuje w Kownie ulotki do ludności z prośbą o przyjmowanie i ukrywanie ewentualnych dezertersów. Kobiety wybierają się do „Miasteczka Północnego” – tak nazywa się osiedle wojskowe – żeby roznieść ulotki do skrzynek pocztowych i rozmawiać z żonami oficerów. Chodzi o to, żeby uspokajać tamtą stronę. Propaganda moskiewska przekonuje, że Litwini zagrażają życiu Rosjan.

Do sejmu wróciła delegacja moskiewskich mediatorów. Najwyraźniej ich misja u dowódców armii nie odniosła skutku. Pewien deputowany białoruski powiedział na forum mińskiego parlamentu, że desant ma być dziś.

Środa, 16 stycznia

Parlament w Wilnie uczcił minutą ciszy ofiarę wojsk radzieckich w Rydze. O siedemnastej tamtejszego czasu komandos w czarnych beretach ostrzelali grupę ludzi dyżurujących przy moście Vecmīlgrāvis. Mieszkańcy podjeżdżają tam samochodami, gotowi w każdej chwili zablokować most w razie ataku czołgów. Komandos niespodziewanie podjechali i otworzyli ogień do stojących. Postrzelony zmarł w szpitalu. Informację tę podała łotewska telewizja, a ja dostałam relację przez telefon z Rygi. Mój rozmówca powiedział mi, że tłumy mieszkańców stolicy i przyjezdnych czuwają ciągle na barykadach.

Przed urzędami pocztowymi ciągną się kilometrowe kolejki – Łotysze ślą telegramy do Gorbaczowa. To ich odpowiedź na jego ostatnie oświadczenie, jakoby dostawał dużo telegramów od przeciwników łotewskiej władzy w Rydze. Tam także pojawił się tak zwany Komitet Ocalenia Kraju, brat bliźniak litewskiego Komitetu, który żąda rozwiązania rządu i parlamentu. Jego wezwania do strajku przyniosły małe efekty, ale ludzie często opuszczają pracę, by stanąć w obronie zabarykadowanych gmachów publicznych. Wczoraj prezydent Gorbunovs ⁶ dostał od generała Kuźmicza słowo, że armia nie będzie atakować, ale najwyraźniej jak w Wilnie, tak i w Rydze ludzie nie

wierzą i budują barykady. Gotowi są gołymi rękami bronić legalnej władzy.

Pogrzeb ofiar w Wilnie był wielką manifestacją solidarności. Tego słowa właśnie użył polski senator, przemawiając nad trumnami poległych. „Litwini to nasi bracia w drodze do niepodległości”, powiedział Łotysz. „Litwo, jesteśmy z tobą w żalu i w walce”, czytano list estońskiego premiera. „Dziś w Gruzji strajk”, donosił wysłannik z Tbilisi. A Mołdawianin krzyknął: „Wygramy!”.

Do chóru małych republik dołączył dziś w Wilnie głos z Rosji: „Litwini zginęli w walce o wolność narodów całego upadającego imperium”.

To bezprecedensowe spotkanie odzwierciedla równie niezwykłą sytuację w różnych punktach Związku Radzieckiego. W odpowiedzi na uderzenie wojska na Litwie w innych republikach wybuchły masowe strajki i manifestacje, podniosły się głosy protestu. Na dziś jednak, jak się zdaje, największe nadzieje kieruje się w stronę Moskwy, do Jelcyna. Przywódca Rosji podpisał układ z republikami bałtyckimi i zaapelował do żołnierzy rosyjskich, by nie brali udziału w antyniepodległościowych walkach. W jego rękach w dużej części leży materialny los armii radzieckiej. Rosyjski parlament rozważa właśnie sytuację swoich sił zbrojnych. Być może to właśnie ostatnie posunięcia Jelcyna wstrzymują armię przed uderzeniem w republikach.

Tak politycznych przemówień nie słyszeliśmy nawet w polskich kościołach. Nad trumnami poległych kapłani litewscy jasno wskazali winnych: Komitet Ocalenia Narodowego i proradzieckie Jedinstwo.

„Przeciwko nam stanęło imperium oparte na kłamstwie i krwi – mówił arcybiskup Julijonas Steponavičius. – Nasi bracia i siostry ginęli na Syberii i tu, na Litwie”.

Sędziwy Steponavičius, głowa litewskiego kościoła, sam dopiero dwa lata temu wrócił z zesłania na Żmudzi.

„Fałszywa propaganda Moskwy nie pokazuje prawdziwego sojuszu na Litwie – głosił w katedrze archidiakon Chrystostom, przywódca kościoła prawosławnego. – Ta krew to próba umocnienia komunizmu metodami stalinowskimi”.

„Litwin umie przebaczyć i modli się, kiedy go biją i zabijają – to znów słowa arcybiskupa Steponavičiusa. – Ale prosi: »Boże, oświeć rozum mojego wroga, żeby zrozumiał naszą walkę o niepodległość. Staliśmy się narodem dzięki ich krwi. I nic nie zmieni naszych uczuć, dopóki nie odzyskamy niepodległości«”.

Słowo „walka” jest wyjątkowo mocne w ustach księdza Grigasa, który po pogrzebie wróci do zabarykadowanego sejmku, by zostać z żołnierzami ochotnikami do końca.

„Nie chcemy żyć w żałobie, chcemy walczyć dalej – mówił dziś w katedrze. – Już nigdy nie będzie tak jak przedtem” – zauważył młody kapłan.

Prawdziwy szpital polowy powstał dziś w podziemiach parlamentu: dwa prymitywne stoły operacyjne, urządzenia do transfuzji krwi, stały dyżur chirurgów i anestezjologów.

– Można tu przeprowadzić nawet poważną operację – mówi doktor Vidugiris, który nas oprowadza. – Możemy ratować 20–30 osób na godzinę.

Ten doświadczony chirurg nie robi sobie jednak złudzeń: jeśli atak nastąpi z powietrza, ci chłopcy, z gołymi rękami przeciw regularnej armii, nie będą bronić się dłużej niż godzinę.

– Drugi wariant ataku, klasyczny, pozwoli nam zostać na przykład tydzień w oblężeniu. Wtedy będziemy mieć czas na udzielanie pomocy. Wyjście jest na razie zablokowane. Będzie można ewakuować rannych, jeśli uda się to wynegocjować. Sowieci jednak mogą przypuścić taki szturm z użyciem gazów, że nikt z nas stąd nie wyjdzie.

Zapytałam lekarkę, panią Natalię Zaks, czy się nie boi. Odpowiedziała mi słowami swojego męża, który tamtej nocy ewakuował rannych pod wieżą telewizyjną:

– Kiedy pierwszy raz strzelają, padasz na ziemię, tak jak uczyli. Zaraz potem wstajesz i już na oślep biegniesz do leżących. Czujesz tylko złość, że nie masz broni.

Dookoła parlamentu powstaje kolejna betonowa ściana.

Czwartek, 17 stycznia

Przed chwilą w wileńskim sejmie wystąpił Jacek Kuroń.

„My też jesteśmy małym krajem i nie możemy zagrozić wielkiemu mocarstwu, które wam zagraża. Co możemy zrobić, to być z wami. Tu bije serce Litwy – mówił Kuroń. –

Wyście powiedzieli: »Naprzód trzeba nas zabić«. I sprawa stała się głośna na cały świat. Więc myśmy sobie powiedzieli: chcemy być z wami. Nasi posłowie są z wami dzień i noc, bo jeśli trzeba będzie zginąć, będziemy ginąć razem z wami. Dziękuję wam bardzo”.

Tak mówił Jacek Kuroń w litewskim parlamencie, który dziś już otacza szczelny betonowy mur. W podziemiach urządzono wczoraj szpital polowy.

Jeszcze jedna niesamowita noc w zabarykadowanym parlamencie. Obrona jest już gotowa. W oknach podwójne warstwy worków z piaskiem, o ścianę oparte strzelby, tu i ówdzie maski gazowe, tam floret i... telewizory.

W korytarzu, gdzie się umościłam, z jednej strony leci Sky News z satelity – oczywiście non stop, z drugiej niezależna telewizja wileńska, którą dziś udało się uruchomić na dachu parlamentu.

Dookoła odbiornika śmiechy i tupanie – to relacja z konferencji prasowej u wojskowych. Tłumaczą, że musieli przyjść z pomocą Rosjanom na Litwie, którzy

boją się o swoje życie.

W jeszcze innym telewizorze program z Leningradu: Anatolij Sobczak wystąpił z niebywałą krytyką Gorbaczowa i Jazowa^Z w związku z wydarzeniami w krajach bałtyckich.

„Kto jest za to odpowiedzialny?” – pyta retorycznie mer Leningradu, a chwilę potem dziennikarka z oburzeniem cytuje propozycję Gorbaczowa, by przywrócić cenzurę.

Jeszcze jest niezależne radio z Kowna, na ścianach wiszą pierwsze satyryczne samizdaty i gazety z innych miast radzieckich ze zdjęciami z Wilna. Jacek Kuroń rozwiesza na poręczy krzesła swoją koszulkę, żeby wyschła po gorącej rozmowie z Mychajłem Horyniem z Ukrainy, i parzy mocną herbatę. Jan Lityński podpisuje petycję, a Zbyszek Janas rozkłada koc, który sobie przywiózł z hotelu, choć zamierzał tam odsypiać drogę z Warszawy.

W głównej sali obrad psycholog skończył odprężający seans dla chłopców, zamkniętych tu od dziesięciu dni. Lekarz z podziemnego szpitala grzecznie poinstruował ich w kwestii mycia, jakby tu przyjechali na kolonie. Ten sam lekarz, który nam, dziennikarzom, powiedział, że w razie ataku nikt może stąd nie wyjść.

Piątek, 18 stycznia, 13.00

Choć oficjalnie nie ma w Wilnie stanu wojennego, wojsko patroluje skrzyżowania, kontroluje ludzi i samochody. Poseł Pavilionis trzy godziny przestał z rękami na karku, pod karabinem, na drodze w stronę Kowna. Żołnierze rozbroili patrol litewskiej milicji – wszystko to bez jakichkolwiek wyjaśnień ze strony dowództwa. Przyciśnięci wczoraj w czasie konferencji prasowej generałowie przyznali, że oni sami decydują o tych posunięciach, ale cała konferencja była pokazem arogancji i lekceważenia prawa.

Kolejna misja z Moskwy najwyraźniej nie przynosi rezultatów. Człowiek Gorbaczowa, Tarasewicz, rozmawia z wojskowymi, ale na razie nic z tego nie wynika. Prokuratura bada sprawę zaginionych bez wieści w czasie ataku na telewizję – z tym samym skutkiem.

Nadchodzą kolejne sygnały o rozłamach w wojsku radzieckim – kilkunastu oficerów z dywizji witebskiej odmówiło podporządkowania się rozkazom i przeniosło się razem z rodzinami z miasta do koszar.

W Wilnie trzyma lekki mróz. Dookoła parlamentu palą się ogniska, ludzie grzeją ręce o kubki z herbatą rozlewana z kuchni polowych. Z każdym dniem coraz bogatsza jest wystawa orderów, czapek wojskowych i sowieckich paszportów, przyczepianych za żelazną kratą, która zamyka parlament. Litwini najwyraźniej już ich nie chcą.

Marijonas Misiukonis od tygodnia nie wychodzi ze swojego ministerstwa. Szef

litewskiego msw miał przeciek, że wojsko zaatakuje jego resort. Na to ten stary komunistą powiedział „Niet” i to najwyraźniej powstrzymało desant wojska. Pytanie: na jak długo?

W nocy kolejny już raz wojsko rozbroiło patrol milicji, ale rano oddało zarekwirowaną broń, jakby chodziło o jakiś test.

W środę generał Gromow powiedział prezydentowi Landsbergisowi, że wycofuje wojska desantowe, a na ich miejsce przyśle wojska ministerstwa spraw wewnętrznych.

– Nie chcemy atakować parlamentu, bo nie jest nam już potrzebny – powiedział w Wilnie generał, który wyprowadzał Armię Czerwoną z Afganistanu.

– On wie, że jeśli Sowieci zaczną wojnę o parlament, ludzie będą do nich strzelać z każdego dachu – powiedział mi szef Departamentu Ochrony Kraju Butkevicius.

Perspektywa wojny domowej mogła więc skłonić Moskwę do zmiany strategii.

Sobota, 19 stycznia

Przyjazd generała Walentina Wariennikowa niczego dobrego nie wróży. Jako młody żołnierz Armii Czerwonej zatykał flagę na Reichstagu. Pod tą flagą był wszędzie tam, gdzie jego armia – w misjach oficjalnych i tych tajnych, mrocznych. Pojawił się w Tbilisi tuż przed uliczną masakrą, widziano go też przed pogromem w Azerbejdżanie...

Więc kiedy wiceszef radzieckiego msw pokazał się w sobotę wieczorem na ekranie litewskiej telewizji, zdobytej przez wojsko, powiało grozą.

W krótkich żołnierskich słowach potępił Vytautasa Landsbergisa, który powinien ustąpić jako winny prowokacji. Armia Radziecka czuje się na Litwie zagrożona, szczególnie po tym, jak parlament wezwał do pospolitego ruszenia. Generał, niepomny na ogłoszenie przez Litwę niepodległości, stwierdził, że obowiązuje radziecka konstytucja i posłuszeństwo prezydentowi na Kremlu. Wreszcie ostrzegł, że niewykluczone są „poważne wydarzenia”, a plan i ultimatum są już gotowe.

Miał je przedstawić Litwinom wysłannik z Moskwy Tarasewicz, ale prezydent Landsbergis nic o tym nie wie.

„Może w poniedziałek się dowiem...” – powiedział, jak zwykle z chytrym uśmiechem, jakby przewidując wolną niedzielę, czego sobie i Państwu życzę.

Niedziela, 20 stycznia

Gdzie jest pani premier? Wyjechała w nieznanym kierunku, zostawiając kartkę: „Jadę po pomoc dla Litwy”. Być może jednak pojechała ratować własną skórę. Kazimiera Prunskiene` dziesięć dni po upadku swojego rządu zwołała konferencję prasową, by oświadczyć, że radykalni nacjonałiści litewscy zagrażają jej życiu. Dostała więc ochronę od litewskiego msw. Ale fragment jej wypowiedzi z prośbą o pomoc

zacytowany przez moskiewski dziennik telewizyjny *Wriemia* postawił ją w dwuznacznym świetle.

W dodatku wczorajsza pani premier uważa, że należy zdjąć barykady wokół parlamentu, żeby uniknąć kolejnych ofiar. Poza tym – przestrzega – będą przeszkadzać tym, którzy zechcą wyjść w chwili ataku. Polityka Gorbaczowa jest jej zdaniem skompromitowana, ale Litwa będzie mogła pertraktować z tym, kto wkrótce będzie rządził w Moskwie – tu pani Prunskiene` nie wyjaśnia, kogo ma na myśli.

Podkreśla, że jej przeciwnicy próbują ją skompromitować.

Poseł Kazimieras Uoka, naczelny kontroler Litwy, od listopada domagał się zdjęcia pani Prunskiene` ze stanowiska premiera, przedstawiając dowody na jej udział w małwersacjach. Razem z wicepremierem Brazauskasem, byłym pierwszym sekretarzem partii komunistycznej, narazili skarb młodej litewskiej republiki na straty od 25 do 50 milionów rubli. Nieprecyzyjność bierze się stąd, że nie ma jasnych przepisów prowadzenia ksiąg. Główny grzech pani premier to podpisanie nieoprocentowanych kredytów – 100 milionów rubli – dla litewsko-niemieckiego joint-venture Interlita. Z Niemiec płynęły komputery, a z Litwy konie i biżuteria. Część obrotów nie znalazła się w ewidencji, więc nie płacono podatków. Do spółki należy kwiat nomenklatury. Nie ma dowodów na to, by pani premier osobiście ciągnęła zyski.

Jednak Prunskiene` i Brazauskas nie staną przed sądem za korupcję, dopóki chroni ich immunitet poselski. Parlament uznał, że są ważniejsze sprawy, i nie kwapi się z rozgrzebywaniem tej. Kontroler republiki Uoka uważa, że czerwona nomenklatura chciałaby przemalować się na białą. Niejeden polityk mógł ostatnio dużo zarobić – minister handlu Sinevičius kazał schować towary wartości 30 milionów rubli, na 19 dni przed podwyżką.

Ostatnie posunięcie gabinetu Prunskiene` to właśnie chybiona, nieprzygotowana podwyżka, która weszła w życie na niespełna trzy godziny, ale dała początek całemu kryzysowi na Litwie. Nie był to zbieg okoliczności: tego samego dnia wojskowych w Wilnie poinstruowano, że na Litwie szykuje się przewrót.

Według ostatnich doniesień pani premier schroniła się za granicą. Kazimieras Uoka twierdzi, że w Szwecji otwarto specjalne konto w banku na pomoc Litwie. Jediną osobą, która ma do niego dostęp, jest właśnie pani Kazimiera.

[Wkrótce potem ujawniono dokumenty wskazujące, iż była agentem KGB. Parę lat później sąd okręgu wileńskiego uznał ją za współpracownika tej służby, nakazując zamieszczanie tej informacji w jej materiałach wyborczych. Rozstrzygnięcie to uchylił w 2004 roku litewski Sąd Najwyższy, który stwierdził brak dowodów jej współpracy z KGB. Okazało się, że zaginęły obciążające ją archiwalne dokumenty, a główny świadek oskarżenia odwołał swoje zeznania].

Oficerowie Armii Radzieckiej wiedzieli już 9 stycznia, że na Litwie szykuje się przewrót wojskowy. Opowiedział o tym porucznik wojsk wewnętrznych Oleg Kriuczok.

Przed zapowiedzianym wiecem Jedinstwa zebrano oficerów sztabu dywizji i uprzedzono, że będzie to ostatnia kropla przepełniająca czarę, którą stało się litewskie państwo. Możliwe są dwa warianty: albo rządy prezydenckie z Kremla, albo zmiana porządku „innym sposobem”.

Kriuczok, dziennikarz wojskowy, zrozumiał to jednoznacznie: będzie przewrót. Poszedł więc do radia i wszystko opowiedział.

– Nie było innego wyjścia – powiada.

Tego dnia tak zwany lud pracujący ruszył na parlament.

Tymczasem nasz porucznik stanął przed sądem wojskowym, oskarżono go o zdradę, zdegradowano i skazano na... izolację. Wsadzono go do samochodu i wywieziono do Leningradu. Tam go przesłuchali i kazali wracać do Wilna. Oficer eskortujący go wolał zostać nad Newą, bo miał tam rodzinę.

Po powrocie Kriuczok dowiedział się, że stracił pracę i mieszkanie. Przyszedł więc znowu do radia, tym razem już parlamentarnego, i chce być dziennikarzem. Ma dwadzieścia cztery lata, żonę w mieście i niewielką nadzieję, że uda mu się dotrzeć głosem do kolegów. Może rozumieją, że Litwinów nie trzeba się bać.

Sam jest Rosjaninem, ale obie jego babki były Polkami.

Poniedziałek, 21 stycznia

Telewizja w rękach wojska nadaje program z Moskwy.

Zdaje się, że wydarzenia w Wilnie zachwiały centralą. Parlament Rosji głosował nad rezolucją potępiającą użycie armii w krajach bałtyckich – niestety zabrakło pięciu głosów.

Deputowany Baburin, obrońca nienaruszalności Związku Radzieckiego, krótko skwitował dramat w Wilnie: „Lepszy straszny koniec niż strach bez końca”.

Zachwiał się znak markowy Gorbaczowowskiego systemu – „Głasnost”. Ta „jawność” skończyła się najwyraźniej w telewizji TSN, która za dużo powiedziała o konflikcie w Wilnie i za dużo pokazała, więc zaczęły się cięcia i zawieszono prezenterów. Powróciła cenzura.

Zdjęto z ramówki słynny program polityczny *Wzglad* (Punkt widzenia), choć jego autor Aleksandr Lubimow miał płomienne wystąpienie na forum parlamentu Rosji w obronie pieriestrojki i prawdomówności. Zakneblowano go z powodu nagłośnienia tematu Eduarda Szewardnadze. Sensacyjne odejście Gruzina ze stanowiska szefa MSZ komentatorzy nazwali końcem pieriestrojki w polityce zagranicznej ZSRR.

Tymczasem radziecka telewizja wysłała do Wilna gwiazdę z Leningradu,

Aleksandra Niewzorowa. Jego skandalicznie kłamliwy „reportaż” z Litwy do tego stopnia zbulwersował widzów, że głos zabrali nawet przedstawiciele radzieckiej kinematografii. Ogłosili, że program Niewzorowa był oczywistą manipulacją. Telewizyjny gwiazdor zainscenizował masakrę pod wileńską wieżą telewizyjną: pokazał, jak to Litwini napadają na radzieckich komandosów, używając kobiet jako żywych tarcz.

Dziennik telewizyjny *Wriemia*, a i w ogóle cały 1 Program TV, wrócił do najgorszych tradycji sprzed lat. W dniu, kiedy cały świat nadawał informacje o ataku armii w stolicy Litwy, z ekranu głównego państwowego programu ZSRR płynął wielogodzinny program rocznicowy z okazji śmierci Lenina.

Zaś gdy w Rydze OMON strzelał do dziennikarzy, prokuratura w Moskwie ogłosiła, że „nadużywanie wolności słowa godzi w radziecką konstytucję”.

Wtorek, 22 stycznia

Kiedy Michaił Gorbaczow znieacka zapowiedział swoje wystąpienie, wszyscy w Wilnie oczekiwali, że ogłosi rządy prezydenckie, to znaczy przykręcenie śruby przez Moskwę w zbuntowanych republikach. Rzeczywiście zagrzmał: potępił nieodpowiedzialne pomysły o utworzeniu narodowych armii, brak dyscypliny i dokuczanie Rosjanom. Ale to jakby nic nowego. Zaskoczyło natomiast to, że Gorbaczow potępił strzelanie do ludności cywilnej i samowolne akcje ze strony wojska.

W stolicy Litwy trudno sobie wyobrazić, żeby takie decyzje zapadły za plecami radzieckiego przywódcy. Gorbaczow potrzebował jednak dziesięciu dni, by spróbować się od nich odciąć. Zapewne popchnęły go niespodziewanie ostre reakcje Zachodu, pół miliona demonstrantów na ulicach Moskwy, groźba powstania niezależnej armii w republice Jelcyna, czy wreszcie rada jego najbliższego doradcy, Szatalina: żeby... podał się do dymisji.

No nie, do tego się nie posunął... Wolał zbesztać Bałtów i potępić armię, tłumiącą narodowe wystąpienia. Zdaje się jednak, że człowiek złotego środka zostaje pośrodku sam, wszyscy inni chcą drastycznych rozstrzygnięć.

W rozmowach z politykami w Wilnie powtarza się tajemnicze słowo „pucz”.

Wygląda na to, że od dwóch tygodni w Wilnie na naszych oczach zaczęło się sypać radzieckie imperium.

Wilno, styczeń 1991 roku

1. Vytautas Landsbergis – polityk i muzykolog, głowa Państwa Litewskiego w latach 1990–1992. [\[wróć\]](#)
2. Kazimira Danutė Prunskienė – pierwsza premier Litwy (1990–1991) po ogłoszeniu niepodległości 11 marca 1990 r. [\[wróć\]](#)
3. Romualdas Ozolas – litewski polityk, filolog, były wicepremier i poseł na sejm. [\[wróć\]](#)
4. Saddam Husajn – dyktator Iraku w latach 1979–2003. Utracił władzę w wyniku ataku USA i ich sojuszników na

Irak wiosną 2003 r. Skazany przez iracki Trybunał Narodowy na karę śmierci w 2006 r., został powieszony na szubienicy. [\[wróć\]](#)

5. Juozas Olekas – litewski polityk, lekarz, minister zdrowia w latach 1990–1992. [\[wróć\]](#)
6. Anatolijs Gorbunovs – Od 1988 do 1995r. przewodniczący łotewskiego parlamentu. W 1991r. Łotwa odzyskała niepodległość. Jako przewodniczący parlamentu Gorbunovs został pełniącym obowiązki prezydenta republiki (do 1993r.). [\[wróć\]](#)
7. Dmitrij Timofiejewicz Jazow – radziecki dowódca wojskowy, ostatni mianowany marszałek Związku Radzieckiego, minister obrony zsr. [\[wróć\]](#)

Kałach zza kosza na śmieci. Gruzja

„Zwi-a-dy, Zwi-a-dy!”, „Sa-kart-welo!” – tłum skanduje imiona wodza i ojczyzny. Ulicami Tbilisi idą manifestanci żądający powrotu prezydenta Zwiada Gamsachurdii ¹. W stolicy Gruzji zbierają się codziennie w południe na placu przed dworcem. Większość to kobiety w średnim wieku. Tutejsi kpiarze twierdzą, że przystojny prezydent w nich właśnie ma najsilniejsze oparcie. Niosą portrety Gamsachurdii – czasami ze świeczką, jak święty obrazek. Krzyczą, podnoszą w górę pięści, wygrażają. Pozdrawiają tych, którzy stoją na balkonach, albo kłócą się z nimi.

Zwaśnił naród, zrujnował miasto, uciekł, by wrócić po dziesięciu dniach i ogłosić wojnę domową – mówi druga strona. Władzę zbrojnie przejęła opozycja i okrzyknęła Gamsachurdię dyktatorem. Prezydent zabarykadował się w parlamencie, a oddziały pospolitego ruszenia, skrzyknięte przez Radę Wojskową, zacieśniają okrążenie. Centrum miasta płonie. Na zgliszczach starego Tbilisi mówią o Zwiadzie „szaleniec”.

Ulica kipi nieufnością i agresją: kto wątpi w Zwiada, pracuje dla KGB. Powtarzają argumenty swojego wodza: „Opozycja, a dziś samozwańcza władza, to bandyci i agenci Kremla”. Wietrzą spisek: „Szewardnadze (komunistyczny poprzednik Gamsachurdii) to Judasz – jego długie ręce pozwoliły dojść do władzy złodziejom i kryminalistom”. Opowiadają, że Joseliani ² (jeden z przywódców obecnego przewrotu) siedział za gwałt i morderstwa, a kobietom odbierał kolczyki razem z uszami.

Idą z determinacją: ktoś niesie flagę, ktoś nosze, w ślad podąża karetka pogotowia – te demonstracje najczęściej kończą się strzelaniną.

Tego dnia na moich oczach ludzie padali jak kaczki. Z cywilnego samochodu wysypała się bojówka w maskach i puściła serię w tłum. Przypadliśmy do ziemi. Jedyne schronienie to cienkie drzewo, kosz na śmieci i plecy człowieka, który tuli się do ciebie. Kiedy drżysz razem z nim, marzysz, żeby być listkiem, śmieciem, żeby ten z karabinem na ciebie nie spojrział. Jakaś przysadzista kobiecina nie chciała się chować. Stała naprzeciw tamtego i rozłożyła ręce w geście „strzelaj”. Strzelił. Prosto w brzuch, z odległości metra. Upadła na plecy, obok potoczyła się torebka. Nie było słycać jej krzyku, bo wszyscy krzyczeli. Zerwał się lament, ktoś szarpał Krzysia Millera za kurtkę: – Fotografuj, fotografuj wszystko!

Ktoś podpełza z noszami. Zostaje kałuża krwi. I to zdjęcie, na którym jest wszystko, a przecież śmierci nie widać.

Kto strzelał?

„Oczywiście oni, ta nowa demokracja!” – krzyczą manifestanci, zaciskając pięści.

Prowokatorzy! – grzmi nowa władza. Garstka dziennikarzy ze świata, skoszarowanych w wieżowcu hotelu bez wody i prądu, doczekała się konferencji prasowej. Premier Sigua nie wie dokładnie, kto strzelał, ale kategorycznie sprzeciwia się rozpędzaniu manifestacji przy użyciu broni palnej. Tyle że prawo i porządek nie należą do kompetencji premiera, ale do Rady Wojskowej. Jej szef, Kitowani, żałuje, że nie ma „cywilizowanych” środków przeciwko nielegalnym wiecom. Dlatego Joseliani wysłał kilkunastu zamaskowanych „Mchedrioni” z karabinami maszynowymi. Na pokaz są puste naboje, ale po akcji zbierałam na ziemi łuski od prawdziwych.

– Aresztujemy te wszystkie rozhisteryzowane baby! – mówi podniesionym głosem Joseliani, kiedy kładę przed nim te łuski. – Niech siedzą w domu. Po co wychodzą na ulice? Przecież zakazaliśmy demonstracji. A one dalej wychodzą, żądają powrotu swojego wodza, padają w kałużach krwi, lamentują.

– Jak humanista i demokrat decyduje się na walkę zbrojną? – pytam Dżabę Joselianiego. Wiceprzewodniczący Rady Wojskowej jest poetą.

– Niech pani uważnie przeczyta deklarację praw człowieka – tłumaczy mi. – Powstanie przeciwko despotycznej władzy tyrana to demokratyczne prawo. Społeczeństwo musi się bronić... Teraz trzeba znaleźć rozwiązania polityczne i przelać trochę krwi. Jeśli on zrozumie... Ale on niczego nie rozumie.

Dżaba od '76 roku współpracował z Gamsachurdią, redagowali nielegalną gazetę „Sakartvelos Muambe”. Rzeszli się po wystąpieniu Zwiada w telewizji, w '78, po jego słynnym „pokajaniu”.

– On skompromitował cały proces helsiński. Od tego dnia zacząłem z nim walczyć. To była aberracja i zdrada zasad: naszych i jego. Gdy został prezydentem i zaczął tępić opozycję, występując na wiecach, jako pierwszy nazwałem go faszystą. Dlatego mnie wsadził do więzienia. (Po jedenastu miesiącach Joselianiego odbiły z aresztu wojska opozycji, a gdy na ich czele wkroczył do stolicy, Gamsachurdia zabarykadował się w parlamencie).

– Ja tu teraz siedzę w Akademii Nauk, a on dokonał samoaresztowania w bunkrze – śmieje się 65-letni dramaturg, otoczony cywilami z karabinami. – Chronią go ludzie oszukani albo podkupieni. Ma w ręku bogaczy z joint-ventures, którym rozdawał licencje. Wziął władzę z rąk komunistów: Sowietom wiedzieli, że lepiej zachować imperium, obsadzając tu przy władzy bohatera narodowego. Naród lubi męczenników. Ale Gamsachurdia nigdy nie siedział w więzieniu, zafundowano mu specjalne traktowanie: zesłanie, karę nigdy dotąd niestosowaną na Kaukazie. Siedział w bibliotece domu kultury dla pastuchów. Potem wystąpił w Moskwie jako świadek KGB przeciwko dziennikarzom amerykańskim. Po jego zeznaniu wydano ich ze Związku Radzieckiego za rozpowszechnianie literatury antysowieckiej. To zdolny

provokator i intrygant. Żądny władzy i nie całkiem normalny. Tchórz.

– Tak, naród wybrał go jednogłośnie – przyznaje Gieorgij Gongadze, nauczyciel angielskiego. – Głosując na Gamsachurdię, Gruzini głosowali przeciwko komunizmowi. Ale o prezydencie świadczą jego dzieła. Zerwał wszystkie porozumienia z sowieckimi przedsiębiorstwami, zakazał importu i eksportu, huta w Rustawi stanęła z braku żelaza. To jest albanizacja kraju.

To, co komuniści robili przez lata, on zrobił w ciągu miesiąca: wszędzie wymienił władze lokalne, stawiając swoich ludzi. Oni wiedzą, że to może potrwać krótko, dlatego biorą łapczywie. Łapówki i korupcja są większe niż za komuny. To głupia wojna. Po obu stronach walczą moi koledzy z klasy. Gdyby on oszczędził, nie byłoby tego.

– Każdy naród musi sam walczyć ze swoim faszyzmem – mówi Gieorgij Gouadze, profesor Uniwersytetu Tbiliskiego, teolog. – Jako wierzący nie chciałem strzelać. Ale od jutra biorę broń.

– Ten naród żyje w konwulsjach, musi przez to przejść – tłumaczy mi aktor Rusłan Mekaberidze. – Kiedy przez tyle lat żyje się w niewolnictwie, w dodatku tu, w Azji, powstają dwa kompleksy: niewolnika i tyra. Gamsachurdia skupił wokół siebie tych, którzy pragną wódza. Wojna o Osetię jest tak samo przegrana jak ormiańska wojna o Karabach. Kiedy to powiedzieliśmy, okrzyknął nas zdrajcami. Gamsachurdia swoimi demagogicznymi hasłami rozpętał nacjonalizm i właśnie wśród narodów od wieków zżytych ze sobą.

– Prowokuje nastroje antyrosyjskie – mówi Waża Adamia, jeden z przywódców opozycji. – Wezwał do odbierania od wojska, co się da, siłą. Napad na radzieckiego majora przed miesiącem to prowokacja jego ludzi.

Za wysokim murem i szczelnie zamkniętą bramą kilka kilometrów od centrum Tbilisi stacjonuje pułk Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego Armii Radzieckiej. Pułkownik Bielczenko nie ma co do tego wątpliwości, że Gamsachurdia chce wciągnąć armię do konfliktu.

– Prosił nas, żebyśmy przerwali wojnę między Gruzinami. Nie zgadzamy się: musielibyśmy strzelać do obu stron. Powtórzyłaby się sytuacja z 9 kwietnia '89. Wtedy też Gruzja poprosiła nas o ochronę, a potem cały świat opluł nas... – przekonywał zabarykadowany w swojej jednostce pułkownik, częstując wódką, tuszonką i suszoną rybą na cynowych talerzach. Wielkie żarcie, bo tam za murem chleb już był rarytasem. – Gruzja jest w katastrofalnej sytuacji gospodarczej, wyjściem może być tylko porozumienie z Rosją i z Zachodem. Ale główną przeszkodą jest Gamsachurdia. Proces demokratyczny może zacząć tylko opozycja. Oni nie są szaleńcami.

Udało mi się przemknąć przez linię frontu w środku miasta do gmachu parlamentu, gdzie od wielu dni ostrzeliwał się zabarykadowany prezydent. Po wielu godzinach

oczekiwania w podziemnych korytarzach pojawił się wysoki szpakowaty mężczyzna w nienagannym czarnym płaszczu. Przeszedł w milczeniu z niewidzącym wzrokiem, a ja nie wiedziałam, po co miałabym go zatrzymywać ani o co go spytać.

Następnego dnia od rana żołnierze strzelali w powietrze na wiwat: prezydent uciekł. W „zdobytym” parlamencie zbierali butelki z dziesięcioletnim ormiańskim koniakiem Ararat.

W noc sylwestrową niebo rozświetlały amarantowe pociski „trasirujuszczije”, a żołdacy piekli prosiaka na korytarzu luksusowego niegdyś hotelu w centrum stolicy.

Demokraci obalili siłą pierwszego wybranego w wolnych wyborach prezydenta. „Naród się pomylił” – tłumaczą, zaprowadzając porządek rewolucyjnymi metodami. Demokracja w Gruzji ma przed sobą jeszcze długą drogę. A nowo powstające na gruzach Związku Radzieckiego państwa – niebezpieczny precedens.

Tbilisi, grudzień 1991–styczeń 1992 roku

Nie chciało mi się wtedy dzwonić do redakcji, a tym bardziej pisać. Dzwonić nie było jak, bo linie telefoniczne przerwane, hotel bez prądu... Raz tylko mogłam zadzwonić, gdy „nasi” zdobyli centralę telefoniczną, wpuścili mnie i pokazali: całe piętro zajmowały gigantyczne szafy z jakimiś dziurkami i kabelkami. Jednym ruchem można było połączyć się z Moskwą, a drugim z Warszawą. Jednak do tego potrzebny był fachowiec, ale poszedł gdzieś z karabinem.

Więc łaziliśmy z fotografem po mieście, szukaliśmy dobrych fot. Się żyło.

Odnazdy ruskij gienierał... – śpiewał starą pieśń wąsaty Gruzin, częstując nas winem z pięciolitrowego słoja i słodkimi czurczhele z orzechów i winogronowego soku. Za jego plecami, w mrocznym pokoiku wśród książek wisiał Józef Stalin. W walczącym Tbilisi panował głód, a na ruszcie zrobionym z żelaznego łóżka piekło się mięso. Mówili, że to królik, ale skąd w mieście w środku zimy królik? Nie mogłam przecież odmówić, bo to był Nowy Rok i wznoszono toast za gości, znaczy za nas, korrespondentów. Zamiast sylwestrowych fajerwerków w Warszawie czy Nowym Jorku mieliśmy wybuchy klimatyzatorów na murze poczty, która zamykała podwórze na linii miejskiego frontu. Jęzor ognia metr po metrze pełzał w stronę sąsiednich kamienic z drewnianymi krużgankami, a mieszkańcy dzień i noc polewali dachy wodą, żeby się nie zajęły. Kto miał przerwę, schodził na dziedziniec do ogniska i wznosił toast. Tam też schodzili się dziennikarze, bo to ostatnia brama, z której można było wychynąć na ulicę Rustaweli, a dalej już tylko świstały pociski. Tak znalazłam się w obiektywie CNN: ze szklanicą wina w jednej ręce, kością jakiegoś zwierzęcia w drugiej, wtórowałam pieśniarzowi. I tak mój synek w Moskwie, w dzienniku amerykańskiej telewizji zobaczył, że żyję.

1. Zwiad Gamsachurdia – gruziński polityk, pierwszy wybrany w wolnych wyborach prezydent Gruzji. Odsunięty od władzy w styczniu 1992 r., zbiegł do Czeczenii. Latem 1993 r. wrócił, mając nadzieję na przejęcie władzy. Próba się nie powiodła i Gamsachurdia zbiegł do Abchazji. Zmarł w bliżej nieznanych okolicznościach 31 grudnia 1993 r. [\[wróć\]](#)
2. Dżaba Joseliani – gruziński polityk, twórca i przywódca nacjonalistycznej organizacji paramilitarnej Mchedrioni (Jeźdźcy). [\[wróć\]](#)

Czołgiem, na pace, konno, przez pole minowe. Podróże z Radiem Zet

Byłam na końcu świata. Pociągiem, samolotem, helikopterem, czołgiem, konno... Naprawdę, do dziś mam spuchniętą kostkę po tym, jak w Karabachu wskakiwałam na ormiańskiego konia bez siodła, a ten wierzgnął, bo akurat leciał pocisk artyleryjski. Trochę wam już opowiadałam na gorąco – dzwoniłam, jeśli były telefony. Czasami czekałam na połączenie cztery dni, więc niektóre korespondencje przez ten czas się zdezaktualizowały. Kiedy indziej strzelanina polskich gangów czy trzaskanie tajnych teczek robiły tu w kraju tyle hałasu, że mimo uszu puszczało się moje opowieści o dalekich wojnach. Dlatego gdy po miesiącu nieobecności koleżdy z radia pytali mnie „Gdzie byłaś?”, zrozumiałam, że muszę opowiedzieć wszystko od początku.

Czasami z przyzwyczajenia mówię „byliśmy, widzieliśmy”, bo na tej wyprawie byłam jak zwykle z Krzyśkiem Millerem, fotografem. Od Kurdystanu przez Jugosławię i byłe sowieckie imperium przejechaliśmy razem parę ładnych tysięcy kilometrów, więc mogłam się przyzwyczaić.

Wyruszyliśmy zatem na kraniec radzieckiego imperium pod chińską granicą, gdzie lud tadżycki próbował się pozbyć jednego z ostatnich czerwonych władców. Chłopi w czarnych czapczkach i turbanach schylali głowy w stronę Mekki i wznosili śpiewy, zapowiadając świętą wojnę. Tym razem jednak odpuścili, bo musieli wrócić do domów na południu, żeby karmić jedwabniki.

Stamtąd już przez rzekę był Afganistan, gdzie Lenina na dobre zastąpił Allah. Oglądaliśmy zardzewiałe złomowisko po Armii Radzieckiej, ciągle straszące miny i kaleki kraj wchodzący z jednej wojny w drugą. A skoro już tam nas zaniósł (bilety tanie, bo na lewe sowieckie paszporty, pożyczone w Moskwie za 50 dolarów sztuka), to czemu by nie zahaczyć o gorące Zakaukazie, gdzie Ormianie z Azerami biją się o Karabach? Po czterech latach blokady Ormianie wywalczyli wreszcie „korytarz życia”.

Nie ma dnia bez pogrzebu. Karabach

Jeszcze tydzień temu byłam w Szaumianie. Dziś może po tym miasteczku, czy raczej dużej wsi na granicy, zostało pogorzeliisko. Azerowie zaatakowali Górski Karabach,

kolebkę Ormian, która na skutek międzynarodowych targów została na terytorium Azerbejdżanu, ale walczy o powrót do macierzy. Agencje donoszą o setkach ofiar.

Nieprędko dojdą stamtąd wiadomości, bo dotychczas jedyną łącznością Szaumianu ze światem było wojskowe radio w sztabie. Zanim Ormianie się wycofali, sztab zaminowali i mieli go wysadzić w powietrze. Nie było czasu, żeby wynieść stamtąd arsenał amunicji, a nie chcieli, żeby zmuszenie zbierane skarby dostały się w ręce wroga. Tak w każdym razie opowiadał mi wczoraj przez telefon Aleksiej, fotograf z Moskwy, którego poznałam tam przed tygodniem, a teraz ewakuował się z Szaumianu ostatnim helikopterem.

Mówi, że przeżył w Szaumianie dwie i pół godziny bombardowania i nie chciał zostać ani chwili dłużej. Choć na swój życiowy materiał czekał przez miesiąc.

– Zrozumiałem, że nie mógłbym dłużej tam chodzić z aparatem. Musiałbym wziąć karabin i zostać pewnie już na zawsze.

Alosza uważa, że informacje o setkach zabitych to bzdura i wojenna propaganda. On sam widział dziesięć–dwanaście trupów w szpitalu i byli to śmiertelnie ranieni żołnierze. Fakt, że trupów z frontu do szpitala nie zwozili.

Nikt w Szaumianie nie spodziewał się ataku. To oni, Ormianie, mieli któregoś dnia pójść do przodu i odepchnąć Azerów tak daleko, żeby ich pociski artyleryjskie nie wpadały codziennie do domów.

W piątek jednak na ormiańskie wioski uderzyły dziesiątki czołgów, bombardowało lotnictwo i pociski „grad” – nowoczesne katusze. Mówi się o broni chemicznej. Wyobrażam sobie, że na początku chowali się, jak co dzień, do piwnic, do ziemianek wygrzebanych w glinianych zboczach. Spali już tylko pod ziemią.

– Wieczorem szedłem już po zupełnie pustym miasteczku – opowiada fotograf. – Domy stały w ogniu.

Trzydzieści tysięcy ludzi, z dziećmi i chudymi krowami uciekło w góry. Siedemnaście kilometrów na piechotę. Tam, w Giulistanie, już koczowało drugie tyle kobiet z dziećmi. Mężczyźni, którzy od czterech lat spali w okopach, osłaniali uciekających i pośpiesznie oddawali pozycje, żeby zmniejszyć straty. Najważniejsze to ewakuować wszystkich do Giulistanu.

Ostatnim helikopterem odleciał z okrążenia moskiewski fotoreporter. Jeszcze nie wie, że następnej nocy Azerowie wzięli Giulistan. Może dlatego mówi, że setki zabitych to bzdura.

* * *

W rejonie szaumiańskim na granicy Karabachu nie było dnia bez pogrzebu. Pod wieczór Azerowie zaczęli ostrzał artyleryjski. W niedzielę w Wereszynach pocisk „grad” trafił w małżeństwo – starzy akurat pracowali w ogrodzie. Nie mieli już tam

nikogo, pochówek zorganizowała więc gmina. W poniedziałek do szpitala przywieźli kobietę z odłamkiem w mózgu – zmarła na stole operacyjnym. We wtorek po bombardowaniu Karaczinaru znaleziono zwłoki wieśniaczki w drzwiach zagrody. Pocisk urwał jej nogi. Umarła z upływu krwi, zanim ludzie dobiegli jej na pomoc. Pogrzeby trwały krótko, bo cmentarze leżą na odsłoniętych zboczach. Bez modlitwy, bez śpiewu i bez księdza, bo księdza nie było.

W rejonowym szpitalu spotkałam Karmen, kiedy zdejmowała z łóżka zakrwawioną pościel. Jej męża wzięli do sali opatrunkowej – kawał żelastwa z bomby rozpruł mu udo w polu. Wyprowadzał właśnie jałówkę, którą mieli zarznąć na panichidę – stypę w czterdziesty dzień po pogrzebie. Akurat czterdzieści dni temu w tym szpitalu umarło dwóch ich synków. „Grad” trafił chłopców, gdy bawili się na podwórku.

Karmen ma na głowie czarną chustkę z koronki. Bez słowa sięga do kieszeni żakietu: w paszporcie owiniętym w aluminiową folię nosi kolorowe zdjęcie dwóch chłopaczków ostrzyżonych na jeża. Dotąd spokojna, nagle upada na łóżko i zaczyna krzyczeć, a raczej śpiewać.

– „Niech będą szczęśliwe dzieci innych matek” – tłumaczą mi kobiety przy innych łózkach, gryząc rąbki chustek. Potem Karmen wstaje i znów mechanicznie zaczyna poprawiać pościel.

Ta młoda kobieta mamrocze jak staruszka, że więcej nie chce tu żyć. Inne ustawiają piecyki z rurami w wilgotnych ziemiankach wygrzebanych w zboczu góry i przygotowują posłania – najchętniej nie wypuszczająby stamtąd dzieci dzień i noc.

O szkole nie ma mowy. Wartan, dowódca oddziałów samoobrony w Manasiszen, dawniej dyrektor szkoły, pokazał mi stertę ławek na dwóch piętrach budynku bez ścian. Bomba spadła 6 września, na dwie godziny przed uroczystym rozpoczęciem roku szkolnego.

– Całe szczęście! – mówi. – Inaczej byłaby tu hekatomba 350 dzieci.

* * *

Kiedy tam byłam, właśnie przyjechał z Erywania pierwszy czołg. Wielkie święto! Kilka starych trofiejnych BTR-ów stało w garażu – nie używali ich, bo szkoda było cennego paliwa i amunicji. Zresztą obrońcy Karabachu dopiero uczyli się z nich strzelać.

Do tej pory, przez cztery lata blokady, jeśli cokolwiek docierało tu z ich kraju, to helikopterami ostrzeliwanymi przez Azerów i Rosjan. W połowie maja Ormianie wyrwali 6 kilometrów drogi, po której przyjechał pierwszy transport mąki i ten nowiuteńki czołg.

Zastanawiam się, gdzie dziś może być Siergiej, 25-letni pułkownik. Na polowym mundurze nie nosił żadnych dystynkcji, ale dowódcę wojsk w rejonie szaumiańskim

znali wszyscy. Uczył ich, czym się różni karabin od strzelby, do czego służy granat, reperował zdobyte na „turkach” (czyli Azerach) BTR-y (w garażu stoi jeden z turecką flagą i emblematem „Szarych wilków” ¹) i ustalał z artylerzystami dokładną pozycję działa w krzakach. Na razie tkwią dzień i noc w okopach, czekają na paliwo i sprzęt, przewożą z miejsca na miejsce jedną armatę i trochę strzelają, żeby zniechęcić Azerów do ostrzeliwania „gradem” ich wsi. Jak będą gotowi, poprowadzi ich na Getaszen. Wezmą go w dwa dni.

Niewielu zna jego twarz (nie pozwala się fotografować), ale pod ksywką „Wąsacz” kryje się jakaś legenda. Znają ją ci, którzy razem z nim służyli w oddziałach dywersji i specnazu w Niemczech.

Siergiej był jedynym fachowcem w okolicy, a przeszedł dobrą radziecką szkołę. Po siedmiu miesiącach walk w Afganistanie przywieźli go do połowy usmażonego w czołgu. Jego tank wjechał na dwie miny, prawdopodobnie własne, sowieckie. Dachował.

Widziałam to cmentarzysko czołgów, porzuconych wzdłuż drogi przez przełęcz Salang. Stamtąd rzadko wychodziło się żywym.

Nie wiem, czy teraz mu się udało. Atak Azerów w ostatni piątek na Szaumian był kompletnym zaskoczeniem. To raczej oni, Ormianie, mieli przepędzić tamtych ze wzgórz, skąd dzień w dzień posyłali „grady” na ormiańskie wioski. Kiedy? Tajemnica wojskowa. Ale widać było, że nieprędko.

– Jak zdobędziemy Getaszen, to chłopaki będą mogli się żenić – mówił Siergiej i mrużył w uśmiechu miodowe oczy. Na niego nikt nie czekał, tylko czerwony opel, pamiątka po czterech latach służby w Niemczech. Wyobrażam sobie spojrzenia polskich dziewczyn na widok jego kruczoczarnej czupryny i mocnych rąk, gdy robił sobie rajd po Polsce. Rozumiem, że można było stracić głowę dla sprawy ormiańskiej. Ale Polska i samochód były daleko, a teraz Siergiej z trudem przełyka ślinę, gdy zwierza mi się, że od roku nie widział kobiety...

Siergiej chciałby się ożenić, ale najpierw musi zdobyć Getaszen. To on z trzema kumplami z Afganistanu ustalił obecną granicę Karabachu. Przeszedł przez bojową szkołę na drodze Salang (to tam na wpół spalonego wyjęli go z przewróconego czołgu, który wjechał na miny) i kiedy tu, na granicy ormiańsko-azerskiej, przez sześć godzin czołgał się pod ostrzałem z sowieckiego helikoptera, krzyczał do nich: „Chłopaki, nie wygłupiajcie się, jesteśmy z tej samej armii!”. Łatwiej mu było zresztą czołgać się, niż biec, bo tydzień wcześniej złamał nogę i na akcję musiał zdjąć gips. Od tej pory pożegnał się ze sprintem (miał 10,09 na setkę), a od czasu Afganistanu drżą mu ręce, gdy pisze.

Przyjechał do Szaumianu równo jedenaście miesięcy temu. Miał zabrać matkę, nazajutrz wywieźć ją helikopterem. Ale okazało się, że akurat z Erywania przyjechała jakaś broń, którą tylko on umiał obsługiwać.

– Odlecimy następnym śmigłowcem – powiedział matce, która po tygodniu z powrotem rozpakowała rzeczy i wróciła do pracy w ogrodzie.

Właściwie jest szczęśliwa, bo wreszcie widzi syna codziennie. Siwa pani częstuje mnie kawą i francuskimi cukierkami, które Siergiej przywiózł z Erywania. Raz jeden, od kiedy tu przyleciał, wybrał się do stolicy, ale musiał wracać tej samej nocy, bo Azerowie zaatakowali. Jego helikopter miał przymusowe lądowanie, pułkownik ruszył przez góry pieszo, tylko założył drugie spodnie, żeby z całego ładunku zagranicznych darów wziąć tyle, ile weszło w zawiązane nogawki. Stąd te francuskie cukierki.

Kiedy Siergiej był w Afganistanie, matka nawet o tym nie wiedziała. Teraz wpada po czystą bieliznę, czasami tylko przysyła kogoś ze sztabu po jedzenie. A raczej przysyłał, bo teraz nie ma już sztabu – wycofując się, wysadzili go w powietrze – i może nie ma Siergieja. Ostatni raz widziano go w sobotę w nocy, gdy wskakiwał do luku BTR-a. Żołnierze do ostatniej chwili osłaniali tłum kobiet i dzieci, znikający w ciemności w górach nad Szaumianem.

* * *

Zawsze, kiedy wracam z wyprawy, wszystkim najbardziej interesuje, co jadłam, gdzie spałam... W Karabachu spaliśmy w sztabie, pod stołem pingpongowym. Trudno było się położyć przed drugą w nocy, bo partyzanci po całej dobie w okopach lubili pograć w ping-ponga. W dodatku okazało się, że Krzysiek został mistrzem Szaumianu, a tam jest taki zwyczaj, że kto wygrywa, zostaje przy stole, więc mecze trwały, dopóki starczyło paliwa w generatorze. Światło gasło więc o drugiej, a było to jedyne miejsce w miasteczku, gdzie w ogóle było światło. Nawet w szpitalu proste operacje przeprowadzano przy latarkach, generator włączało się tylko na skomplikowaną chirurgię.

W sztabie tymczasem odchodził ping-pong dla bojowników, a w gabinecie przewodniczącego gminy, gdzie zresztą też ktoś zawsze spał, grał telewizor. Oprócz Moskwy i Baku odbierał kanał włoski i turecki, bo jakiś tutejszy „złota rączka” sklecił antenę satelitarną. Telegrafista spał w pokoiku, gdzie stało wojskowe radio: miał stały dyżur, bo tylko on umiał obsługiwać to urządzenie – jedyne kontakty ze światem.

A jadło się to, co przynieśli ludzie: chleb, zsiadłe mleko, kawałek bryndzy i różne zielone trawki – pietruszkę, szczypior, miętę i estragon. Takimi trawkami zagryzało się ryż albo makaron z olejem. Bez obżarstwa.

Raz przeszedł nam koło nosa prawdziwy obiad, bo piękny pułkownik, o którym wam już opowiadałam, zapałał do nas sympatią i kiedy nieogolony kucharz przyniósł garnek z rozgotowanym wermiszlem, dowódca posłał do swojego domu żołnierza po jakieś specjalności mamusi. Ale akurat w tym czasie zarządziłam mycie w rzece (wody w kranach też nie było, bo rury potrzaskane), no i jak wróciliśmy, nasz obiad kończyli artylerzyści. I jeszcze tego wieczoru nadjechał pierwszy prawdziwy czołg, poszliśmy

na powitanie, każdy chciał się przejechać... Potem się okazało, że Polak bardzo głodny jest bardzo zły, że wszystko przeze mnie, bo mi się kąpieli zachciało, i tu mój partner podróży ostatecznie zatęsknił do domowych warszawskich obiadów, a ja do dziś żałuję straconej uczyty u pięknego pułkownika.

* * *

Śmigłowiec przylatywał do Szaumianu, żeby przywieźć amunicję, benzynę i pojedynczych bojowników, a zabierał ciężko rannych. Nikogo więcej. Mimo to na lądowisku zawsze tkwiła grupka, najczęściej staruszek, które czekały cierpliwie na paczkach, a nuż się uda podać chociaż trochę kartofli dla rodziny w stolicy – przecież tam w Erywanu głód.

Tego dnia, kiedy doczekaliśmy się wreszcie na helikopter (przez cztery poprzednie dni nielotna pogoda), nie można było do niego wsiąść. Wnętrze kadłuba kompletnie zapchane: okazało się, że stoi tam już stara wołga, która ma lecieć do Erywanu, bo tu, w Karabachu, i tak nie ma paliwa, a tam się przyda. Kilkanaście osób tłoczyło się na zderzakach, na masce i oczywiście w środku auta. Nagle wybucha awantura: żołnierze, w tym jeden z opaską lekarza...

(– Dentysta – wyjaśnia mi ktoś. – Przed rokiem zostawił jedyną tu bormaszynę, wziął karabin i poszedł w góry).

...więc żołnierze z krzykiem wyciągają jakiegoś faceta z głębi samochodu. Drzwiczki nie mogą się otworzyć, bo za ciasno, więc wyszarpują go przez okienko. Ten jeszcze się czepia, poci się czy płacze, już przecież prawie mu się udało, helikopter zapuścił już silnik – ale nie, wszyscy krzyczą:

– Symulant, do domu! – i gość wylatuje po aluminiowych schodkach. Nikt już za nim nie patrzy, bo trafiają na drugiego. Scena powtarza się, z tym że ten na oczach żołnierzy podciąga nogawkę i szarpie z nogi bandaże. Akurat spojrzałam, gdy zrywał gojące się strupy. Ale dentysta przejął się umiarkowanie i ten pasażer też wylądował obok babci z tobołkami, na klepisku.

Upiekło się za to kobiecie z dwójką malutkich dzieci, chociaż też krzyczeli, że nie ma zezwolenia na wyjazd.

– No bo gdybyśmy każdego puszczali, to dla kogo byśmy bronili tych wsi? – tłumaczył mi w drodze zmieszany człowiek w mundurze. – Zresztą tam, w Erywanu, też nie mają dokąd iść.

To był jeden z ostatnich transportów, które zabrały ludzi z rejonu szaumiańskiego, zanim zaczął się zmasowany atak wojsk azerskich.

* * *

Babcia klozetowa na lotnisku w Erywanu ma 52 lata i jeszcze niedawno była

inżynierem. W styczniu 1990 roku uciekła z Baku z trójką swoich ormiańskich dzieci. Wymknęły się z domu między nogami azerskich oprawców, gdy zarzynali ojca. Na próżno pisała do władz, żeby oddali chociaż ciało.

W Baku zostało trzypokojowe mieszkanie i dorobek całego życia. Teraz w Erywaniu Anna dzieli pokój w internacie dla uchodźców z siostrą i jej siedmioosobową rodziną. Dzieci uczą się na Ukrainie i marzą o powrocie do siebie, do wielkiego miasta. Ale Baku jest już tylko stolicą Azerów („To my i Rosjanie zbudowaliśmy im metropolię” – mówi pani inżynier), po pogromach i wojnie o Karabach Ormianin nie odważy się postawić tam nogi. W Rosji i innych republikach patrzą krzywo na „czarnych”, więc dzieci Anny też przyjadą do Armenii, choć najlepiej mówią po rosyjsku. Nie wiadomo, gdzie będą mieszkać i czy znajdą pracę. Z niej też się tu śmieją, bo po ormiańsku mówi z „wsiowym” akcentem: ojczyzną Anny jest Karabach.

Po zdobyciu Szuszy, w maju, Ormianie wygrali czteroletnią wojnę o Karabach, odepchnęli Azerów poza administracyjne granice autonomicznej republiki i dalej, do rejonu szaumiańskiego. Ale trzeba ustalić granicę etnograficzną – powiedział mi minister obrony w Erywaniu. Za linią ognia leżą ormiańskie wsie wysiedlone przez Azerów: Getaszen i Martunaszen. Baku grozi, że Karabachu nie odda. Codziennie pociski z wyrzutni „grad” (nowy model „katuszy”) spadają na ormiańskie domy i pola. W rejonie szaumiańskim nie ma dnia bez pogrzebu. Ormianie chcą zepchnąć azerską artylerię tak daleko, żeby nie sięgała ormiańskich wsi. Szykują się do ostatecznego boju.

* * *

Prawdziwa wojna jest właściwie okropnie nudna. Wieczorem artylerzyści przy słoikach z wódką do znużenia opowiadają o swoich sukcesach, o jakichś „zdjętych” armatach, a nazajutrz godzinami okopują nowe stanowisko. Wreszcie pod wieczór mokną, ładując co minuta działo, strzelają, nie widząc odległego celu, mierzą, jak im każe dowódca przez walkie-talkie. Czasami im mówi, że trafili.

Abstrakcyjnie wygląda bitwa artyleryjska, gdy stoisz na wzgórzu i liczysz czas od ognistego błysku do słupka pyłu, który wznosi się tam, gdzie padł pocisk. Dopiero po chwili słychać huk, jeśli blisko, czujesz go na przeponie. Czasami pocisk ze 122-milimetrowej haubicy leci ze złowrogim świstem bomby, czasami w ciszy – zależy, czy z naszej strony, czy z tamtej.

Dziś nad Karaczinarem krzyżował się ogień z czterech stron. Po kilkunastu domach na chwilę uniósł się pył. Ze wzgórza nad wsią nie widać ludzi, nie słychać krzyków dzieci ani zwierząt.

Zupełnie inaczej, gdy jesteś w oborze, gospodyni właśnie wydoiła krowę, zdmuchujesz ciepłą piankę z mleka pod łakomym spojrzeniem dziatwy i nagle wszyscy rozpierzchają się gdzieś. Ktoś w biegu przypomina sobie o tobie i krzyczy po rosyjsku:

„Do schronu!” i dopiero wtedy zaczynasz rozumieć, że to „grad”. Latają pojedynczo albo seriami po czterdzieści, ale ty słyszysz ten jeden, gwizdzący nie wiadomo skąd, kiedy lecisz z idiotycznym wiadrem mleka, nie za szybko, żeby nie uronić tego skarbu, który ma wyżywić tego dnia całą rodzinę.

„Tędy” – ponaglają cię w stronę jakiejś czarnej dziury. Jeszcze uderzasz głową w rurę przechodzącą niżej niż niemożliwie niskie wejście, potykasz się, podtrzymują cię jakieś ręce, wreszcie wyprostowujesz ostrożnie plecy i oto jesteś w schronie. Powoli z ciemności wyłaniają się kształty żelaznych łóżek i białej pościeli. Słychać tylko szybkie oddechy i kaszel dzieci. Pachnie piwnicą i żelaznymi rurami. Tu śpią od dwóch lat.

Ksiądz raz przyjechał ze Stepanakertu, w sierpniu zeszłego roku, i ochrzcił 160 osób w Karaczinarze (dorosłych i dzieci) w starym kościółku, gdzie do tej pory był magazyn. Zdążyli wtedy postawić krzyż, ale w niszy okiennej, nie na dachu, żeby Azerowie nie zestrzelili. W środku już nic nie urządzili, tylko czasami stawiają świeczki za dusze nowych zmarłych.

* * *

W stolicy rejonu szaumiańskiego oprócz sztabu działa tylko szpital.

– Jest tu lepsze zaopatrzenie niż w Erywaniu – mówi szef ekipy wolontariuszy, którzy przyjechali na miesiąc z Armenii. Kuchnia dla lekarzy rzeczywiście świetna.

– Musimy ich dobrze karmić, inaczej kto by tu chciał przyjechać – tłumaczą mi w sztabie. W szpitalu nie ma szyb, w oknach tkwią worki z piaskiem. Pacjenci leżą tylko na parterze, a w czasie bombardowania wynosi się ich na korytarz, z dala od okien. Operuje się przy latarkach (prądu nie ma od półtora roku), tylko na poważną chirurgię włącza się w nocy generator. Był nawet dentysta, ale przed rokiem wziął karabin i poszedł w góry.

Wioski w rejonie szaumiańskim mimo ciągłego ostrzału są pełne ludzi. Uchodźcy z innych terenów, wysiedleni przez Azerów, koczują w szkole, na poczcie, w budynku milicji. Ludzie ze zbombardowanych domów przenoszą się z tobołkami do sąsiadów. Wszystkie pomieszczenia jeszcze stojących domów wypełniają łóżka i worki: worki z piaskiem w oknach, worki z dobytkiem, worki z zapasami. Do opuszczonych domów przez dziury w dachu czasami wchodzą złodzieje: kradną tylko jedzenie.

* * *

Po czterech latach blokady do jedzenia jest już tylko to, co wyrośnie w ogrodzie: cebula, rzodkiewki, natka od rzodkiewki, pietruszka, natka od pietruszki... Może w tym roku będzie mąka – pod bombami udało się obsiać trochę pól. Większość bydła wyrżnięto, żeby zimą nie zdychało z głodu. Ale już chodzą po wsi cielęta, które walczą

z dziećmi o mleko. Drugiego czerwca po raz pierwszy gmina wydała kartki: w sklepie otwartym na tę okoliczność po raz pierwszy od dwóch lat rozdawano po 30 deka cukru, pięć kilo mąki i kilogram makaronu na głowę. Na ile czasu – nie wiadomo. To był pierwszy transport samochodowy, od kiedy Ormianie przebili sześciokilometrowy korytarz między Karabachem a Armenią. Ale tam też magazyny są puste – Azerowie od lat trzymają ich w kleszczach blokady, przez walczącą z Osetią Gruzję nie dociera osetyński gaz... Wojska Baku ostrzeliwiają granicę od wschodu i z Nachiczewania, od zachodu. Cztery rok wojny o Karabach i rozpad radzieckiego systemu paraliżuje ormiańską gospodarkę. W stolicy trudno o chleb, więc kto może, wysyła tam z Karabachu chociaż suche owoce. Czereśnie nigdy tu nie dojrzeją: dzieci opychają się zielonymi, co ledwie odrosły od pestek.

Azerowie zaatakowali Szaumian w piątek, 12 czerwca, w tydzień po naszym wyjeździe. Używając lotnictwa, wozów pancernych, czołgów i wyrzutni „grad”, zajęli przygraniczne wsie, potem doszli do Giulistanu, pierwszego etapu schronienia ludzi z Szaumianu. Pod osłoną wojska 15 tysięcy osób uciekało do lasów. Agencje piszą o setkach ofiar.

Uciekali więc dalej, do Mardakertu. Według ostatnich doniesień wojska Baku właśnie tam podchodzą. Erywań alarmuje, że Azerowie masakrują cywilną ludność. Na południu być może już odcięli „korytarz życia” – drogę łączącą Karabach z Armenią.

Nie wiem, kto z Szaumianu przeżył. Wiadomości przyjdą nieprędko: jedynym połączeniem ze światem było wojskowe radio w sztabie. Ale sztabu już nie ma. Siergiej kazał go zaminować i wysadzić w powietrze, żeby w ręce Azerów nie dostała się żmudnie zbierana amunicja. Powiedział mi to moskiewski fotograf, który odleciał z wyludnionego i płonącego Szaumianu ostatnim helikopterem.

– Nie mogłem dłużej z nimi zostać i chodzić z aparatem – wyznał. – Musiałbym wziąć karabin.

Szaumian, Karabach, 1992 rok

Lenin i jedwabniki. Tadżykistan

Nad placem Szachidon, ponad tysiącami pleców mężczyzn klęczących z czołem na ziemi, bieleje ośnieżony Pamir. Po tamtej stronie gór zaczynają się Chiny. Gdzieś pomiędzy – siedmiotysięczniki: Pik Lenina, Pik Marksa i Pik Komunizmu.

Tu, na dole, nad klombem, gdzie czerwone petunie zasadzono w kształcie gwiazdy, ciągle stoi pomnik Dzierżyńskiego, a w parku, za postumentem obalonego wielkiego Lenina, nietknięty mały Lenin. Podobno pierwszy w Sowietach, przywieziony tu przez góry na osiołkach.

O tego wielkiego właśnie zaczęła się cała awantura, kiedy demokraci, ogłosiwszy

niepodległość od Związku Radzieckiego, usunęli pomnik, na co komuniści w parlamencie – a posiedzenie transmitowała na żywo telewizja – zażądali stanu wyjątkowego i ukarania winnych. Wtedy naród się zdenerwował i zaczął ściągać do stolicy – na jednym placu zwolennicy, a na drugim przeciwnicy czerwonego prezydenta. Ten dał nogę z parlamentu i schował się w KGB.

Zrobił karierę za Breżniewa, a poleciał za Gorbaczowa. Ale wkrótce wrócił, legalnie wybrany dzięki wsparciu krajan. Wszak przez innych niechciany w czasach, kiedy w całym Sojuszu skończyła się pogoda dla czerwonych.

Poląła się krew na ulicach. Nie wiadomo dokładnie, kto zaczął strzelać, ale między demonstrantami a milicją szybko stanęli rosyjscy wojskowi i kazali Tadzynom się pogodzić. Przy zamkniętych drzwiach u rosyjskiego generała ustalili podział władzy między demokratów, komunistów i islamistów. Cudem udało się uniknąć krwawej jatki, do ubiegłej soboty. Ale wtedy w Duszanbe zdawało się, że wojnę domową zażegnano.

Komuniści wsiedli do autobusów i odjechali za góry, do Leninabadu.

Kiedy przyjechaliśmy w maju do stolicy Tadżykistanu, zostało po nich jedynie oryginalne muzeum: na placu Wolności, dawniej Lenina, wystawiono broń ostatnich bojowników za ideę równości i braterstwa: drewniane pałki, potłuczone butelki i sponiewierane transparenty – pośmiewisko.

Kazi, religijny przywódca muzułmanów, powiedział, że jeszcze nie czas na utworzenie państwa islamskiego, i namówił wiernych, żeby rozjechali się do domów. Dali się przekonać, że Allah wysłuchał ich modłów, a władze – przemówień, więc komunizm odejdzie w niepamięć.

Z Duszanbe wyjeżdżaliśmy razem z tadżyckimi rewolucjonistami. Na wielkim błękitnym łożu zarzuconym na pakę ciężarówki chłopcy wracali do siebie po pięćdziesięciu dniach okupowania placu Szachidon. Wracali zwycięscy, w każdym razie jak zwycięzców pozdrawiały ich mijające samochody, a oni odpowiadali jeszcze bardziej entuzjastycznie.

Tymczasem w stolicy rozplątywano barykady ze szpagatu, odjechał jedyny bodaj czołg, który blokował drogę do parlamentu, a w gmachach publicznych na bramce z powrotem zasiedli milicjanci.

Uprzątno resztki namiotów z płacht i sznurków, w których koczowali przez dwa miesiące, drzemiąc na drewnianych podestach pod jurtami ze skór lub plastiku i popijając z czajników herbatę. Dyskutowali o polityce. Odpoczywali po wielogodzinnych mityngach na placu, gdzie słuchali przemówień przywódców, wznosili pięści z okrzykiem „Dżihad – święta wojna”. Potem sami występowali, ustawiając się w kolejce do mikrofonu, a ich mowa przechodziła w przeciągły śpiew. Pięć razy dziennie odwracali się w stronę Mekki i modlili się, stojąc, siedząc na piętach, dotykając czołem ziemi. Uwierzyli, że ich modły otworzyły drogę do demokracji, dlatego zwinęli namioty, łoża i czajniki i ruszyli w drogę powrotną do

domu.

Wracali więc: zmęczeni i wygnieceni, spieszyli do żon z gromadami dzieci i do swoich kołchozów, bo pora karmić.

Kiedy przyjechaliśmy w środku nocy do Kurgan-tube, chłopci prosto z ciężarówki rzucili się do ścinania gałęzi, żeby dorzucić strawę jedwabnikom. Idąc za nimi, znaleźliśmy się w auli domu kultury o drewnianych podłogach. Pod ścianami, na półkach, czy raczej piętrowych łózkach, układali te gałęzie i już po chwili wszystko ucichło i słychać było tylko mlaskanie. To łakome białe robale pożerały szeleszczące morwowe liście.

U tadżyckiego kołchoźnika siedzieliśmy po turecku na kolorowych chodniczkach, oparci o kwieciste poduchy, wśród połączonych mebli jak w jaskini wschodniego rozbójnika. Były ziemniaki z jednej miski, kwaśne mleko, cebula, kiszony pomidor i herbata bez cukru.

Obowiązkowa uczta o czwartej rano, po trzech godzinach snu, bo pierwsza modlitwa zaczyna się przed świtem.

Przyszedł muła i rozmawialiśmy o demokracji i swobodzie religijnej. W kuchni na klepisku żona kołchoźnika – „mat` gieroini”, udekorowana medalami za płodność – kolebała w kołysce dziesiąte dziecko, zasłaniając twarz przed obcymi.

Na bazarze w Kurgan-tube sprzedawali już truskawki, a było to na początku maja – zaczynały się upały. Kupowaliśmy wschodnie przyprawy i tradycyjne czarne czapeczki z białym haftem, które składają się w harmonijkę na płasko, jak naleśnik. Handlarze mówili po rosyjsku słabo albo wcale, choć monetą obiegową jest rubel. Mogli wreszcie stać spokojnie przy straganach, nie narażając się, jak za komuny, na miano prywaciarza i spekulanta. Tu zresztą nigdy nie ustał handel z przydomowych ogródków. Ale już kupujący musieli mieć się na baczności, żeby nie rzucać się tu w oczy w porze, kiedy w kołchozie robota wre. A przynajmniej teoretycznie, bo na bazarze panował ścisk.

Oprowadzał nas kołchozowy kierowca, dorabiając z nami dzięki benzynie, którą czerpał za darmo z kołchozowej stacji. Komunistyczne obyczaje najdawniej zawitały do tej prowincji na kresach imperium i najdłużej tam przetrwały. Car niegdyś zsyłał tam rewolucjonistów, stamtąd wychodziły pokolenia komunistycznych przywódców. Więc komuniści łatwo nie zrezygnują ze starego reżimu.

Już przed wjazdem do Kurgan-tube zatrzymała nas milicja, żeby uprzedzić jednego z wracających demonstrantów, że przed jego domem już czekają komuniści, żeby dać mu nauczkę.

Nie widziałam na placu Szachidon broni, bojownicy w muzułmańskich opaskach na czołach najwyżej mieli nunczako. Defilada ich „armii” w szlafrokach i w kapciach wyglądała po prostu śmiesznie. Ale wiadomo, że obie strony zbroiły się, napadając na

jednostki radzieckie, i że obie strony nie dadzą za wygraną.

Duszanbe, Kurgan-tube, 1992 rok

Wkrótce potem się zaczęło. Kilkuletnia wojna domowa pochłonęła życie stu tysięcy ludzi, po obu stronach.

Dziś w Duszanbe panuje niepodzielnie ten sam komunistyczny prezydent. Co jakiś czas robi obławy na swoich dawnych przeciwników. Opozycji nie ma, a więzienia są pełne. Jedyne opozycyjny portal internetowy został zlikwidowany osiem lat temu.

Ten kraj na granicy radzieckiego imperium, najbiedniejsza z republik, nabrał nagle znaczenia, gdy Amerykanie uderzyli na Afganistan. To tamtędy szło zaopatrzenie dla ich sojuszników w wojnie z talibami. Jednak nie udało się im zbudować tam swoich baz. Podkupili ich Rosjanie. Za kilkaset milionów dolarów Tadzycy pilnują granicy przed islamistami z Afganistanu, a ze swoimi już się rozprawili. Pod hasłem światowej walki z Al-Kaidą wszystkie chwytły reżimu są dozwolone, tylko przemytu opium z Afganistanu na Zachód jakoś nie daje się zatrzymać. Produkcja zresztą kwitnie po drugiej stronie rzeki Pandż, pod okiem wojsk amerykańskich i ich sojuszników.

A Rosjanie spod Szczytów Lenina i Komunizmu patrzą w niebo – w tadżyckich górach mają gigantyczne obserwatorium kosmosu. Pokażną część swojego terytorium Tadzycy oddali w dzierżawę Chińczykom, Irańczycy budują tunele przez góry. Ale większość Tadżyków nadal je kwaśne mleko z ziemniakami i pije herbatę bez cukru. Dożywwiają ich krewni, którzy za chlebem wyjechali do Rosji. Lekarze i inżynierowie z Duszanbe dorabiają tam na czarno jako dozorczy.

Miny zabawki. Afganistan

Szczęśliwe afgańskie dzieci, którym udało się przeżyć. Sześcioletni Raszid jest najmłodszym robotnikiem w fabryce dywanów Ewaza Baghissi w Kabulu. Ostrzyżony na zapałkę, jak wszyscy chłopcy tutaj, siedzi w kucki na glinianej podłodze i próbuje wiązać supełki. Trochę większe dziewczynki świetnie sobie radzą. Małe palce śmigają między sznurkami osnowy, przeciągając kolorowe nitki.

Starsi chłopcy i mężczyźni pracują oddzielnie, na piętrze ustawionym z żelaznych kontenerów, pod okiem nauczyciela nadzorcy. Dyrektorka, 22-letnia córka właściciela, nie ma prawa tam wchodzić, nawet z nakrytą głową. Zastępuje ojca, który połowę roku spędza w Duszanbe.

Ewaz Baghissi sprzedaje swe dywany z kandaharskiej wełny, barwione skórkami z granatów z Dżalalabadu, do Ameryki i Europy. Tkane za bezcen w Kabulu przez sieroty, przynoszą wielki zysk. Półtorametrowy jedwabny kilim pójdzie za 1200 dolarów. Mały pracownik zarabia miesięcznie dolara.

Dyrektorka, którą wożą toyotą, zapewnia, że dzieci pracują cztery godziny dziennie, dostają obiad i idą do szkoły. Ale byłam tu wystarczająco długo, by przekonać się, że to nieprawda.

* * *

Na kabulskich ulicach na każdym kroku spotyka się pracujące dzieci. Na bazarze mali sprzedawcy siedzą w kucki nad mydłem, cukierkami czy cebulą i ochrypłymi głosami zachwalają towar. Inni na nosidłach targają wiadra z wodą, którą sprzedają na kubki. Albo nadstawiają sprytnie plastikowe torebki na mięso akurat w momencie, gdy sprzedawca zdejmuje z wagi towar. Jeszcze inni uwijają się między samochodami, łapiąc taksówki – biada, jeśli zamykając drzwi za pasażerem, naganiacz nie zdąży wyciągnąć ręki po należny mu bakszysz. Wyrwie go inna mała ręka.

Dzieci lepią placki chleba w piekarni. Czasami wpadają do pieca wkopanego w ziemię. Jeśli nie przeżyją poparzenia, powiększają statystykę, w której Afganistan bije rekordy: jedna czwarta dzieci umiera, zanim dożyją piątego roku.

* * *

W szpitalu łóżko pięcioletniej Szaimo jest puste – ojciec zabrał ją, żeby umarła w domu. Lekarze nie mogli małej pomóc. Odłamek pocisku, który trafił w ich mieszkanie, uszkodził mózg Szaimo.

Farida miała pięcioro dzieci. Dwoje zmarło od chorób, dwoje zginęło od bomby, a teraz ostatni wszedł na minę. Farida musi sama zdecydować, czy przyzwolić lekarzom, aby ucięli mu obie nogi. Mąż nie wrócił z gór. Kobieta się godzi – widać Allah tak chciał.

Małeńka Szakila maluje coś w zeszycie opartym na plecach matki, która zasnęła skulona w nogach szpitalnego łóżka. Na jednej rączce ma plastikowe bransoletki, a na drugiej, zamiast dłoni, białą bułę z bandaża.

* * *

W kabulskim ośrodku rehabilitacji szwajcarski terapeuta dobrotliwie poklepuje młodocianego pacjenta, który nieudolnie stawia pierwsze kroki z nową protezą.

– Dlaczego chodzisz jak mała?

Ten się uśmiecha, może dlatego, że mu nikt nie przetłumaczył, albo po prostu jest

szczęśliwy, że może iść.

Na łózkach siedzą mężczyźni i chłopcy z białymi kikutami. Czekają pogodnie na swoją kolej. W dwa miesiące po amputacji będzie przymiarka sztucznej nogi. Potem jeszcze kilka dni ćwiczeń i wychodzą, o kulach albo bez. Wychodzą niechętnie, bo w Czerwonym Krzyżu są łóżka, jedzenie, dach nad głową.

W Afganistanie żyje 60 tysięcy osób po amputacji. Tylko w Centrum Medycznym Czerwonego Krzyża od marca 1989 r. przeprowadzono ich pięć i pół tysiąca. Nawet w czasie gdy nie ma walk, codziennie przyjmuje się przeciętnie dwudziestu nowych pacjentów.

Nogi traci się wskutek wybuchów min. Najczęściej ofiarami są dzieci, także ludzie powracający do domów po latach emigracji w Pakistanie. Nie są obcy z małymi zielonymi pułapkami, które zostawili po sobie Sowieci.

* * *

Po czternastu latach sowieckiej interwencji i wojny domowej w liczącym 17 milionów mieszkańców Afganistanie jest 10 milionów min. Oczyszczanie będzie trwało dwadzieścia–trzydzieści lat, a i to tylko w najważniejszych punktach, gdzie chodzą ludzie. Wszystkich min nigdy się nie znajdzie. Będą jeszcze latami kaleczyć ludzi.

Byłam na polu minowym. Wiecie, po czym można je poznać? Biała czaszka z rogami szczyrzy zęby do słońca. Dookoła strzępy zardzewiałych blach. Przy wejściu do doliny pod Pule Chumri pracują ekipy angielskich specjalistów od rozminowywania. Pod ich okiem afgańscy żołnierze przeczesują teren. Bardzo ogólne plany pól minowych dostali od Rosjan. Idą tropem rozlokowania wojsk i punktów strategicznych. Ale najpewniejszą wskazówką są informacje od ludzi o wypadkach i czaszki kóz czy baranów, które wyleciały w powietrze na pastwiskach.

* * *

W Afganistanie można znaleźć cały asortyment min: od wielkich zielonych talerzy przeciwczołgowych, także produkcji polskiej, poprzez miny przeciwpiechotne, czyli na człowieka, reagujące już na pięciokilogramowy nacisk, po małe „motyłki” z płynnym materiałem wybuchowym. Te plastikowe zabawki zrzucone z helikopterów najczęściej eksplodują, gdy znajdują się w rękach dzieci.

Szliśmy ostrożnie przez pole minowe, ani o krok nie schodząc ze ścieżki wyrysowanej kupkami kamieni. Pelengatory saperów piszcza, a kiedy milkną, to znaczy, że jest mina. Sanitariusz drzemał w kamienistej dziurze pod parasolem z noszy. Na wszelki wypadek.

Na gwizdek oznajmiający dziesięć minut przerwy afgańscy saperzy siadają natychmiast do gry w karty. Strach przed śmiercią? Ci chłopcy nie znają życia bez

wojny.

Mazar-e-Szarif, Kabul, Pule Chumri, 1992 rok

Nie chciałam pojechać do Afganistanu, od kiedy Polska wysłała tam swoją armię. Nie wiem, ilu Afgańczyków zginęło od kul polskich żołnierzy. W pewnym momencie zainteresowałam się losem małej Zary, którą nasze wojsko przywiozło do Polski na operację. Zebrano na zabieg pieniądze, ale na rehabilitację już nie starczyło. Dziś dowiaduję się, że po powrocie do Afganistanu Zara została zabita przez kuzyna za kontakt z obcymi. Informacja nie jest pewna.

1. Szare Wilki – ultranacjonalistyczna, neofaszystowska turecka organizacja młodzieżowa, nieoficjalne skrzydło i bojówki Partii Akcji Narodowej. Szare Wilki oskarżane są o terroryzm. [\[wróć\]](#)

Troszkę strasznie, troszkę śmiesznie. Moskwa

Tego dnia mieliśmy z Krzysiem Millerem ruszyć do Chorwacji, gdzie pod moździerzami armii jugosłowiańskiej ginął średniowieczny Dubrownik. Ale przed siódmą rano pobudkę zrobił nam mój przyjaciel z Paryża. Dzwoni Jacek i mówi: „Marysiu, w Moskwie pucz”. Andrzejowi Woyciechowskiemu, mojemu szefowi w Radiu Zet, wystarczyło powiedzieć: zmieniam kierunek. Przy Moskwie wszystko jest mniej ważne. Ale w gazecie, dla której pracował Krzysiek, potrzebowali kilku godzin na decyzję, więc nie zdążyliśmy na samolot Aerofłotu na jedenastą. Dlatego moją pierwszą korespondencję z Moskwy nadałam z Czerskiej ¹I taki był już cały ten wyjazd – troszkę strasznie, a trochę śmiesznie.

Na moskiewskiego molocha jeden reporter jest zawsze za mały. Zanim dojedziesz z jednego kawałka miasta do drugiego, mogą ominąć cię największe rewolucje. Na szczęście między ambasadą polską, gdzie się zwykle stawało, a gmachem parlamentu, przy stacji metra Barykadna mieszkały moja teściowa i szwagierka – centrum światłych komentarzy, gorąca zupa (w sklepach i barach pustki) i całodobowy telewizor. Bez telewizora nie masz szans, żeby objąć galopujące informacje.

Żeby zrozumieć skalę rosyjską, trzeba spojrzeć na mapę, i to na mapę świata. Bo rozruchy w jednym kwartale Moskwy uruchamiają natychmiast zdarzenia w miejscach oddalonych o tysiące kilometrów. Taki jest rozmiar imperium, ale też zasięg idei i międzynarodowych powiązań tego państwa.

W stercie kartek i świstków z tego pobytu (papier był też deficytowy, więc notowałam na czym popadło, najczęściej na odwrocie depesz agencyjnych) znajduję taką korespondencję z tych dni:

„Tysiące osób manifestuje na ulicach Kalkuty przeciwko Gorbaczowowi i Jelcynowi. Zachodni Bengal ze stolicą w Kalkucie to ostatni bastion komunizmu tych rozmiarów. Zwolennicy Marksa rządzą tam od 1977 roku. Warto zauważyć, że w tym stanie Indii mieszka 67 milionów ludzi.

Indyjska partia komunistyczna wszczęła kampanię na rzecz ratowania marksizmu po tym, jak ich moskiewscy koledzy ponieśli sromotną klęskę w nieudanym puczu. Jelcyna i Gorbaczowa oskarżają o obalenie demokracji (chodzi im prawdopodobnie o jej specjalną odmianę, znaną też nad Wisłą, tak zwaną demokrację socjalistyczną). Niosą portrety Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. »Nie jesteśmy sami – wołał jeden z przywódców komunistycznej partii Indii. – Za marksizmem i leninizmem opowiedzą

się Chińczycy, Wietnamczycy, Kubańczycy i Koreańczycy z północy«”.

Saddam Husajn i Kadafi ²wysłali listy gratulacyjne do puczystów, a i Lech Wałęsa o mało się nie wygłupił. W Polsce stała jeszcze radziecka armia.

To dziś wiemy, że moskiewski pucz był wydarzeniem operetkowym. „Apel do ludzi radzieckich” ogłaszany z ekranu telewizora na przemian z kiczowatą inscenizacją Jeziora Łabędziego, głowa państwa na wczasach w krymskiej rezydencji beszta swoich ciemiężców, armia pije czaj z ludem na barykadach... Ale wtedy kula ziemską zatrzeszczała w posadach na groźbę przewrotu na Kremlu.

Solidny zagraniczny dziennikarz w Rosji nie odchodzi od telewizora, gazet i informacyjnych agencji (dziś internet), żeby „ogarnąć”. Ale jak się jest reporterem, a w dodatku dziewczyną fotografa, to się świat ogląda z bliska i w parterze, prawie z perspektywy psa. To i zapach lepiej czuć.

Pucz

19 sierpnia, przed północą

W smrodzie spalin i huku silników wdziera się w tłum pierwszy czołg. Ludzie rozstępują się w biegu. Mężczyźni robią z rąk łańcuch, żeby w euforii nikt nie wpadł pod gąsienice.

– *Spasibo, spasi Bog!* – niech wam Bóg wynagrodzi.

– Rosja wam tego nie zapomni! – tak moskwiczanie witają pierwszy czołg, który przeszedł na ich stronę. Ma z boku biały numer 122. Pod biało-niebieską flagą zatkniętą na wieżyczce uśmiecha się zakłopotany takim przyjęciem dowódca, lejtnant Kola. Z boku czerwono-żółty znaczek gwardii – to słynna dywizja tamańska, która w czterdziestym drugim obroniła Moskwę. Jest ich dziesięć, może dwanaście. Maszyny stanęły na straży parlamentu Rosji. Szybko znalazły się kwiaty i jedzenie dla tankistów. Dwóch gitarzystów wdrapało się na czołg, by dać koncert patriotycznych pieśni. Radosne święto przerywają głosy rozsądnych: że czołg to nie zabawka, po co zaraz po nim łązić i brudzić... Ale już przez resztę nocy czołgiści będą ścisnąć wyciągnięte do nich ręce, brać kanapki i jabłka. I odpowiadać na niekończące się pytania, wycierając kropelki potu z twarzy.

Oleg przyjechał swoim BMD (bojowym wozem desantowym) z Riazania. Wyszli o szóstej rano w poniedziałek. Powiedzieli im tylko, że do Moskwy, ale po co? Zresztą nie pytali, rozkaz jest rozkaz. Łączą się z dowództwem przez radio – to łączność jednostronna. Słyszą tylko w słuchawkach, co mają robić.

– A co wam mówią?

– Normalnie, skręt w prawo, skręt w lewo, uważaj, nie wjedź w ludzi.

– Na jakich falach?

– 375 koma 8 – podaje jakiś ciekawej dziewczynie, która próbuje przebić się na tę częstotliwość, pewnie do chłopaka.

– Czy sami zdecydowaliście, żeby stanąć po stronie Jelcyna? Czy czujecie się buntownikami?

Oleg się uśmiecha:

– Nie, dostaliśmy dobre rozkazy. Między nami a oficerami nie ma rozbieżności.

– Czy to znaczy, że jest rozłam na górze?

– Czy oficerowie odmówili posłuszeństwa Jazowowi?

To już za trudne pytania. Od wielu godzin w słuchawkach cisza. Najważniejsze, że oni są przekonani, że przyszedli tu bronić słusznej sprawy i na pewno nie będą strzelać – ani w jedną, ani w drugą stronę. Ale ludzie stojący żywym murem wokół Białego Domu są przekonani, że pułk rizański przeszedł na ich stronę. Więc siedzą razem na czołgach i w napięciu słuchają radia.

19/20 sierpnia

Co godzina wokół parlamentu cichną rozmowy i rozlega się sygnał Radia Swoboda albo Głosu Ameryki. Ludzie zbijają się w kupki i pochylają głowy nad trzeszczącymi radioodbiornikami. Ktoś klnie, waląc pięścią w trzeszczące pudło stojące na czołgu.

Tłum przemieszcza się, gdy odzywa się jakiś głos w megafonie – przemawia ktoś z gmachu Rady Najwyższej. Prosto z Paryża przyjechał do parlamentu wielki wiolonczelista Mścisław Rostropowicz.

Sekretarz Jelcyna, który tkwi gdzieś na górze, mówi, że dookoła parlamentu zebrało się 20 tysięcy ludzi.

Przedstawiciel górników z Donbasu ogłasza, że kopalnie będą pracowały do rana, a potem zaczną się strajki.

W tłumie pod parlamentem pojawiają się załóżki jakiejś organizacji: najwyraźniej spontanicznie co bardziej energiczni osobnicy próbują zaprowadzać porządek. Komendant oddziału studentów kieruje budową barykad. Śmiesznie wyglądają te poskręcane z żelaznych płotów i desek zapory, przez które na razie nikt nie przejeżdża. Ale już pojawił się pierwszy dźwig, który ustawia betonowe klocki. Groźnie kręci się tam ktoś na chwiejnych nogach.

– Wyprowadzać pijanych! – wołają ci z organizacji. – Ale bez mordobicia.

Ktoś nawołuje, żeby kobiety szły do domów, bo może być niebezpiecznie. Kobiety odpowiadają śmiechem.

Jakiś wojskowy w cywilu doradza z powagą, żeby zaopatrzyć się w maski gazowe.

– Na pewno będzie atak chemiczny.

– Tak, tak... – kiwa z politowaniem głową Sasza, komendant samoobrony (sam tak mówi o sobie). I odsyła oficera do akademii, niech lepiej tłumaczy swoim studentom, gdzie tkwi prawda. Sasza („nie trzeba podawać nazwiska, po co?”) szuka radioamatorów.

– Przydadzą się małe nadajniki, jak znikną niezależne radio i prasa.

Radzi powieleć ulotki, jak kto potrafi. I przyznaje, że na razie żadnego sprzętu nie mają.

Miękka junta, przewrót z ludzką twarzą czy – jeszcze lepiej – chcą mieć ciastko i zjeść ciastko. Niby stan wojenny, ale bez godziny policyjnej. Są czołgi w mieście, ale nie strzelają.

– Na razie nie strzelają – podkreślają pesymiści. A niektóre w ogóle przejeżdżają na stronę przeciwną i nikt ich przy tym nie traktuje jak dezertersów.

– W mieście, gdzie ogłoszono stan wyjątkowy i władzę przejął komendant, panuje spokój, aż się sami dziwimy – mówi zootechnik Walerij. Podkreśla groteskowość sytuacji.

– O szóstej rano kosiłem na daczce trawę, kiedy podbiega staruszka i mówi, że wojna.

Do wieczora nikt nic nie wiedział i Walerij będzie musiał tam, na prowincji, o 30 kilometrów od Moskwy, wszystko wszystkim tłumaczyć. On sam powtarza:

– I wstyd, i śmiech, że jesteśmy Sowietami.

I zaraz sypie się litania o kradzionych ziemniakach, o świniach męczonych w kołchozie... Opowiada, że tam na wsi można spotkać głodnych ludzi, którzy uwierzą każdemu, kto im obieca jedzenie. Ci nowi, których nikt nie zna, też zrozumieli, że narodu nie da się już zastraszyć. Stąd stan wojenny bez prawdziwej wojny, wiadomości telewizyjne pokazujące przeciwników nowej władzy obok – o paradoksie! – Litwinów pochwalających stan nadzwyczajny.

Choć na razie to nocne czuwanie wokół ognisk, z kawą rozlewaną z kotła i podawaną czołgistom, ma w sobie więcej z happeningu niż wojny domowej. Kilka tysięcy ludzi młodych i starych woli zostać na noc na placu pod Białym Domem, bo tu wszystko jeszcze może się zdarzyć.

21 sierpnia

Przedstawiciele junty przyjechali do Foros na Krymie, gdzie w areszcie domowym siedzi Michaił Gorbaczow, ale prezydent nie chce ich przyjąć. Kazał im czekać w salonie. Zażądał przywrócenia łączności. Zaraz po włączeniu telefonu zadzwonił do Jelcyna.

Gorbi z radia wiedział, że pod eskortą czterdziestu pułkowników z automatami leci delegacja z Rosji. W końcu przyjął Iwaszkę i Łukjanowa i zrobił im awanturę: „Dlaczego nie zwołaliście Rady Najwyższej?”.

Po południu prezydent Rosji posłał na Krym samolot po prezydenta Związku Radzieckiego.

Jedna zabłąkana kartka z teleksu – depeşe jakiejś rosyjskiej agencji informacyjnej

15.00 Leningrad – demonstracja; przejście garnizonu OMON na stronę Rosji; w mieście działają dwie radiostacje. 15.20 Orsza – formuje się oddział ochotników; do Moskwy rusza delegacja deputowanych i matek celem prowadzenia agitacji między żołnierzami; 15.25 po Leningradzkim Prospekcie przemieszcza się kolumna dywizji tamańskiej; 16.00 według niepotwierdzonych informacji (telefon ze sztabu wojsk raketowych) zastrzelił się Jazow ³; Dywizja kantemirowska przy wyjściu z miasta porzuciła na ulicach Moskwy osiem czołgów z pełnym wyposażeniem bojowym, siedem znaleziono, jednego nie mogą; 16.15 wiadomości z „Litieraturnej Gaziety”: aresztowano siedmiu puczystów; 18.40 rozkazem Jazowa nr 1312/1/0179 wojska postawiono w stan gotowości bojowej od 21 sierpnia '91 (wojsko normalnie zawsze jest w stanie gotowości bojowej); 20.15 Łuzkow ⁴ spotkał się z Jazowem, który już nocą zaczął wprowadzać wojska z Moskwy w związku z tym, że nie można na nie liczyć.

Jednostka specjalna KGB, Grupa Alfa, miała nocą desantować się na budynku Rady Najwyższej ZSRR, ale piloci helikopterów stanowczo odmówili. Według wstępnych danych chodzi o sześciuset ludzi dobrze uzbrojonych, ubranych po cywilnemu; 20.30 według informacji świadków na lotnisku Czkałowskoje co pięć minut lądują samoloty BTA; 20.30 Gorbaczow rozmawiał z George'em Bushem ⁵, powiedział, że wraca do władzy i że dziś jest dobry dzień. Gorbaczow zmierza do Moskwy i koniecznie chce się spotkać z Bushem.

22 sierpnia

Feliks Dzierżyński padł. 10 minut przed północą legł na dźwigu marki Krupp. Wcześniej przez całe 20 minut symbol terroru, postać zasłużona dla sowieckich tajnych policji, dyndała na podnośniku z pętlą na szyi ku uciesze tłumu.

Zegnali go Rosjanie, którzy nadciągnęli z szampanem i gitarami spod parlamentu, Ormianie obok Azerów, Kozacy śpiewali na sześć głosów, a nieliczni Polacy zachowywali się dyskretnie – wiadomo, ktoś mógłby im wypomnieć, że rodak. Przemawiały znane osobistości, z Jeleną Bonner ⁶ na czele, która wytknęła Gorbaczowowi, że ciągle jeszcze chce ulepszać komunistyczną partię.

Dwa rzędy ludzi trzymały półmetrową flagę Rosji. Stało wojsko i milicja. Na

obalenie pomnika wydał zezwolenie Mossowiet – rada miasta. Akcją usuwania pomnika kierował oficer. Bałaganu nie było, tłum trzymano na bezpieczną odległość. Tuż obok, w oknach KGB na Łubiance, panowała ciemność.

O ile wiem, nie obalono jeszcze pomnika Lenina na placu Październikowym. W każdym razie wódz rewolucji stał w najlepsze na cokole jeszcze godzinę temu. Rzeczywiście był projekt zwalania go stamtąd. Rzeczywiście znaleźli się ludzie gotowi do akcji, ale wbrew temu, co podawały agencje, w nocy na placu stały nie tysiące osób, a mniej więcej tuzin, w tym siedmiu Polaków. Złośliwi mówili, że chcieli się zemścić za obalony pomnik Feliksa Dzierżyńskiego.

Z obalania Lenina nic nie wyszło, bo nie było pieniędzy ani zezwolenia. Tak w każdym razie tłumaczył zebrany przedstawiciel Mossowietu. Pomijając wszystkie ideologiczne opory, obalenie ręczne jest niewskazane, bo niebezpieczne. Zaś zdemontowanie Feliksa Dzierżyńskiego na Łubiance za pomocą trzech dźwigów Kruppa kosztowało 12 tysięcy rubli, których dziś rada miejska nie ma. Może będzie miała w poniedziałek. Zniecierpliwieni dziennikarze, żądni newsa, zastanawiali się nawet nad zrzutką. 400 dolarów to nie fortuna. Ale na razie gigantyczny Władimir Iljicz spogląda z wysokości...

23 sierpnia

Jak z cichutko i dyskretnie upada komunizm... Wszyscy bali się rewolucji w morzu krwi, a tu po prostu władze miasta zapieczętowały gmach KC. Aparatczycy, wygwizdywani przez kilkaset osób, wymykają się z budynku, w którym na wszelki wypadek wyłączono wodę i prąd. Ludzie otaczają żywym łańcuchem budynki partii, żeby nie wyniesiono stamtąd dokumentów. Ale tak naprawdę nikt nie ma złudzeń: cała dzielnica może być podszyta bunkrami i podziemnymi korytarzami. W spokoju i z techniczną precyzją zdemontowano w nocy pomnik Dzierżyńskiego. Lenin stoi nietknięty, a na Marksie anonimowa ręka dopisała: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się w walce z komunizmem”.

Zdaje się, że ostatnią osobą, która przyznaje się do partii, jest Gorbaczow. Jeszcze przed dwoma dniami ku zdumieniu świata, wyszedłszy z aresztu, do którego wsadzili go partyjni towarzysze, mówił o potrzebie odnowy w partii.

Naród chce, by ukarano winnych, ale jak dotąd nie robi tego własnymi rękami.

23/24 sierpnia

„Gorbaczow wymienia dziwki w burdelu, a tu trzeba rozwalić cały burdel” – wyraził się znany politolog Arbatow. Krócej nie można było nazwać tego, o czym mówią dziś wszyscy. Oprócz oczywiście tych, których to najbardziej dotyczy. Choć teraz okazuje się, że wszyscy byli za Gorbaczowem, a przeciw juncie: i partia, i wojsko, i telewizja.

W pośpiechu szuka się winnych i tu nieuchronne pytanie wraca do Gorbaczowa: dlaczego otoczył się takimi ludźmi?

Nawet jeden z bliskich doradców prezydenta, Wolski, powiedział w zaimprovizowanej na ulicy konferencji prasowej, że największym błędem Gorbaczowa jest fakt, że nie odciął się od KPZR.

To pierwsza rzecz, jaką Michaił Siergiejewicz powinienem był zrobić, żeby uratować resztki respektu wśród rodaków. Działa jak jaszczurka, której przytrzaśnięto ogon. Ale cóż innego mu pozostaje, gdy władze Moskwy opieczętują mu Komitet Centralny, odłączając tam prąd, wodę i telefony? Co zostaje z jego partii, gdy jeszcze na dwa tygodnie przed puczem prezydent Rosji Jelcyn wykurzył ją z rosyjskich zakładów pracy, a przedwczoraj z armii? Gdy mózg komunistycznej informacji –

Agencja TASS – dyskretnie obwieszcza, że właśnie pozbyła się partii. Gdy po korytarzach leningradzkiego KC już chodzą społeczni kontrolerzy, a na Litwie partia komunistyczna jest delegalizowana.

Telewizja rosyjska przypomniała rzeź w Tbilisi i Sumgaicie – krwawe akcje OMON przeprowadzone, jeśli nie z błogosławieństwem Gorbaczowa, to przecież za jego panowania. Dzisiejsza rewolucja, być może najważniejsza w historii 72 lat tego państwa, kosztowała życie tylko trzech osób, ale tej zasługi już nie przypisuje się Gorbaczowowi.

Choć zdawało się, że zmartwychwstały prezydent znów panuje nad sytuacją, Jelcyn pozbawił go złudzeń: na oczach milionów widzów i niemile zaskoczonego samego genseka podpisuje dekret o zawieszeniu partii komunistycznej w Rosji. Pokazał, kto tu naprawdę rządzi. Gorbiego zatkało, ale co miał odpowiedzieć Jelcynowi, który przecież uratował go z żoną i córką, i wnuczką?

24 sierpnia

Od wczoraj Moskwa przygotowuje się do tego pogrzebu. Zapowiada się zmiany w komunikacji, nadzwyczajne środki ostrożności, telewizja i radio podają trasę przejścia pochodu. Zacznie się na placu Maneżowym, a po drodze na cmentarz Wagańkowski zatrzyma się na miejscu, gdzie trzech mężczyzn własnymi ciałami zagroziło drogę czołgom. Być może zginęli przypadkowo: jednego trafiła kula prerażonego żołnierza, gdy zajrzał do luku czołgu. Drugiego rozgniotły gąsienice, kiedy próbował wyciągnąć ciało tego pierwszego.

Na długo zostanie zagadką, czy ruchy BMP – bojowej maszyny piechoty, która staranowała barykadę, były tym przygotowywanym atakiem na parlament, czy po prostu żołnierzom nie wytrzymały nerwy. Dramat w alei Kalinina był punktem zwrotnym w starciu obu sił. Ujawnił z jednej strony, jak przypadkowe i nieobliczalne były posunięcia armii, a z drugiej pokazał całą determinację ludzi, którzy wyszli przeciw czołgom z gołymi rękami. Dziś największa w historii 72 lat tego państwa rewolucja ma

swoich trzech bohaterów.

25 sierpnia

Moskwiczanie, jeśli obszedł już pamiętne miejsca wydarzeń minionego tygodnia, nie odchodzi od telewizora. Każdy kolejny program przynosi nowe rewelacje. I tak w niedzielę wieczorem Wzгляд pokazał wideo – gryps Gorbaczowa.

– Jest godzina druga w nocy, Foros, 20 sierpnia...

Na taśmie nagranej potajemnie w tymczasowym areszcie na Krymie prezydent mówi narodowi, że jest zdrowy i wypoczęty, a samozwańczy komitet działa bezprawnie. Wprowadzenie stanu nadzwyczajnego grozi wojną domową. Internowanemu Gorbaczowowi zaproponowano, by ogłosił stan nadzwyczajny albo dobrowolnie przekazał swoje kompetencje Janajewowi⁷, czyli po prostu podał się do dymisji. Odebrali mu słynną walizkę atomową, a dokładnie kod do aparatury z wiadomym guzikiem, który znał tylko on. Żądali też, żeby nie podpisywał zaplanowanego na 20 sierpnia rozwiązania Związku Radzieckiego.

Nieugięty prezydent powiedział „nie”.

Został pod osłoną 32 najwierniejszych, uzbrojonych w pistolety i sześć karabinów maszynowych. Odcięty od świata, szybko jednak mógł usłyszeć radio i telewizję, bo chłopakom udało się coś wykombinować z drucikami. Zaczął oszczędnie jeść, gdy zdecydowano się nie dotykać nowych dostaw. Zapasów mieli na trzy dni. Raisa Maksimowna mianowała się ministrem do spraw bezpieczeństwa i czujności. Gdy rozmawiano o czymś ważnym, kazała wychodzić na balkon.

Więźniowie w Foros na Krymie najmocniej odczuli stan nadzwyczajny.

– Wróciłem z Krymu do innego kraju – mówi dziś Gorbaczow. – Wiele przemyślałem.

Okazuje się, że po sześciu latach pieriestrojki aparat jest ciągle poststalinowski, a zmiany demokratyczne niepełne. Do gospodarki rynkowej daleko. KGB nie było reformowane. Siły zbrojne są niekontrolowane – i przyznaje, że poczuwa się do winy.

Ale trzydniowy zamach stanu pokazał też pozytywne przemiany. Doborowe oddziały Alfa, które miały zaatakować rosyjski parlament, odmówiły wykonania rozkazu. Przestępcom nie udało się popchnąć wojska przeciwko narodowi.

– To dowód – mówi Gorbaczow – na ile zmienił się naród, który nie da się prowadzić jak stado.

To poczucie podmiotowości w narodzie Gorbaczow na pewno może zapisać sobie jako sukces swojej pieriestrojki i głośności. I jeszcze jedno: ostatnie lata rozbudziły w narodach Związku Radzieckiego ich tożsamość. Gorbaczow na próżno próbował zwolnić lawinę niepodległościowych dążeń – dziś z rezygnacją mówi: kto chce odchodzić ze Związku, niech odchodzi.

Zresztą co mu pozostaje, gdy ruszył się świat, który lada dzień uzna niepodległość republik bałtyckich? To paradoksalnie najbardziej namacalny efekt sierpniowego puczu.

Oto kolejne etapy rozpadu Związku Radzieckiego. Rosja uznaje niepodległość Litwy, Estonii i Łotwy. Przywódca Litwy uważa, że uznanie niezależności państw bałtyckich przez Zachód to już tylko kwestia dni. Po Ukrainie Białoruś ogłasza swoją niezależność polityczną i gospodarczą. Coraz bardziej alienuje się Rosja. Na Kremlu zawisła rosyjska flaga. Za kilka godzin zbiera się Rada Najwyższa Związku Radzieckiego, która może postanowić o samorozwiązaniu, o nowych wyborach do parlamentu i na prezydenta. Krąży plotka, że Michaił Gorbaczow może zrezygnować z tego stanowiska. Nie ma premiera, szefa dyplomacji ani przewodniczącego parlamentu. Rozpad państwa, opartego na ideologii komunistycznej, idzie w parze z lawinową rozsypką partii.

Smolny⁸, historyczna kolebka Kraju Rad, stanął zapieczętowany. Przyszła kolej na Białoruś, Kirgistan, Republikę Czeczeno-Inguszetii – wszędzie tam zawieszona jest działalność Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i przejmuje kontrolę nad jej dobrami. W Groznym padł pomnik Lenina, w Kiszyniowie Marksa i Engelsa. Lecą głowy, ale nie dosłownie. Wbrew wszelkim przepowiedniom cała ta rewolucja przechodzi bezkrwawo, jeśli nie liczyć trzech zabitych na barykadzie w Moskwie i dwóch samobójców: generała Pugo i marszałka Achromiejewa, bardzo zasłużonych dla Kraju Rad. Jelcyn nie chce być bohaterem Związku Radzieckiego – prezydent ZSRR Gorbaczow ofiarował mu ten tytuł, prezydent Rosji grzecznie podziękował.

Moskwa, sierpień 1991 roku

Dwa szaga na lewo, dwa szaga na prawo...

„Bój to jest nasz ostatni...” – zaintonował tłum rozgoryczonych, zrywając z głów futrzane czapy. Srebrny balon, który miał unieść radziecką flagę, zaplątał się przy starcie, ale gdy w końcu wzniósł się w powietrze i zabłysnął na tle czerwonych murów Kremla, zwycięskie „Uraaa!” wyrwało się z dziesiątków tysięcy piersi.

Zbiórkę zorganizowano na Wale Krymskim, skąd ruszył pochód z portretami Lenina i Stalina, z transparentami Związku Komunistów, Rosyjskiej Partii Komunistycznej i Pracującej Moskwy. Na dykcie był też Comandante Castro, był karminowousty Gorbaczow w hitlerowskim mundurze, Jelcyn z Gwiazdą Dawida i, nie wiedzieć czemu, „Leningrad, miasto-bohater”. Orkiestra dęta przygrywała do marszu. W *Śmiało pójdziemy w bój* dobrze poszła tylko pierwsza zwrotka, więc przerzucono się na

Szeroką ojczyznę mą. Później skandowano hasło „Niech żyje Związek Radziecki”.

Na placu Zubowskim boczne ulice zagrodziła barykada z ciężarówek, autobusów i uczniów średniej szkoły milicyjnej. Za tą zasłoną wyraźnie nudzili się omonowcy w hełmach i kamizelkach kuloodpornych, z tarczami, pałkami, maskami gazowymi i bagnietami.

Demonstranci spokojnie podreptali na plac Maneżowy, gdzie pod stalinowską bryłą hotelu „Moskwa” czekała już trybuna, otoczona żelazną barierą, delegaci z najdalszych stron kraju, a nawet grupa robotników tureckich, którzy przyszedli wyrazić klasową solidarność z uciśnionymi. Próżne okazały się groźby „bić handlarzy, spekulantów i rekieterów”, zwłaszcza że tego dnia wywiało wszystkich tych, którzy u wylotu Twerskiej, pod sklepem Lancôme’a, sprzedają co się da, od francuskich kosmetyków po margarynę.

Grożono też Jelcynowi – faszyście, który zabrał ludziom emerytury i tani chleb, a sowiecką ojczyznę wyprzedaje za brudne kapitalistyczne pieniądze. Współ z Gorbaczowem rozwalił Wielką Niezwycięzoną i najpotężniejsze państwo świata. Dlatego trzeba zwołać zjazd deputowanych ZSRR (który zresztą sam się niedawno rozwiązał) i wskrzesić państwo radzieckie. Wyznaczono daty kolejnych mitingów w tej sprawie, i jeden, 23 lutego, na święto armii. Zapraszał sam Wiktor Ałksnis, słynny „czarny pułkownik”, rześcicie oklaskiwany. Nie zabrakło popa: święty ojczulek Wiktor Piczużkin napomknął od niechcienia o związkach swego kolegi po fachu, Gleba Jakunina (występującego w tym samym czasie na konkurencyjnej trybunie pod parlamentem) z CIA i Mossadem. Ałksnis stwierdza: „Lenin to rozum, cześć i sumienie naszej epoki”. Co wierniejsi poszli na nocne czuwanie pod mauzoleum Wodza. Inni długo jeszcze śpiewali wraz z koślawą babcią, która na harmoszce wygrywała pieśni bojowe i patriotyczne.

Nikt stąd nie poszedł pod Biały Dom. Niepotrzebne okazały się barykady i „żywy łańcuch”, który od rana szykował się na atak „brunatno-czerwonych”. Trzy tysiące weteranów – obrońców parlamentu z czasu sierpniowego puczu, z pamiątkowymi opaskami i odznaczeniami – na próżno krzyczało „Nie przejdą!”. Nikt nie chciał przechodzić. Toteż wielotysięczny tłum, pomityngowawszy kilka godzin, rozszedł się do domów na niedzielny obiad. Ale że stoły demokratów też nie są suto zastawione, i tu oberwało się władzom: nie za rynkową reformę, ale za zbyt opieszale tempo przemian. Na placu Wolności kolorowe portrety Jelcyna szły za pięć rubli, a metalowe znaczki z narodową flagą – za dwa. Papierosy „Jawa” proponował za dziesięć wytworny emeryt – żywy symbol gospodarki rynkowej.

Na placu Wolności obok zabiedzonych babuszek – bliźniaczek tych z Maneżowego, była młodzież: punki z barwami Rosji na irokezach i na policzkach, dzieci Kriszny w pomarańczowych szatach, które swoimi bębenkami chciały nieść ukojenie waśniom (ale zgubiły się gdzieś po drodze między obiema demonstracjami). Z niejakim rozdrażnieniem przecież spoglądano na prowokacyjną parkę, która przechadzała się

z czerwoną flagą. Nie wiadomo też na pewno, czy plakat z napisem „Przekłęci stalinowcy – pederasci” to był żart.

„Borys, nie bojsia” – zachęcał plakat. Inny się gorszył: „No i co, obywatele, sprzedajecie wolność za tanią kiełbasę?”. Na jeszcze innym nuta nadziei: „Rosja bez komunistów”, na drugim błaganie: „Panie, uchroni Rosję od komunistycznej dżumy”.

Na placu Wolności największe odium też skupiło się na faszystach, tyle że dla odmiany tych z Maneżowego. Zwolennicy władzy rozkręcili się tak naprawdę, krzyząc „Hańba” i „Dymisja”. A chodziło przecież o drugiego po Bogu, o wiceprezydenta Ruckoja. To jego i jemu podobnych powinien pozbyć się Jelcyn. 40, a może 80 procent aparatu – różnie, w zależności od mówcy – to stara gwardia. Tymczasem Ruckoj pojawił się na Zjeździe Patriotów. Pod flagą monarchistów, w otoczeniu Kozaków z nahajkami wezwał do ogłoszenia „stanu wyjątkowego w gospodarce”. Choć nikt dokładnie nie zrozumiał, o co chodziło w półgodzinnym wystąpieniu Ruckoja, przedrukowanym następnie przez „Prawdę”, a prasa śmiała się z jego przejęzyczeń, to niespodziewanie bohater z Afganistanu stanął na czele pierwszej niekomunistycznej opozycji wobec prezydenta.

9 lutego spolaryzowała się polityczna Rosja. Jeszcze płacze się krok – kto na lewo, kto na prawo. Pytanie, czy pod naciskiem ulicy sam prezydent zrobi krok w przód, czy dwa do tyłu.

Powstań, kraju ogromny... Słuchowisko radiowe

Wstawaj strana ogromnaja,
wstawaj na smiertnyj boj!
S faszystskoj siłoj tiomnoju,
s priakljatuju ordoj!

„Ja matka zabitego, pomóżcie! Bezdomna, bez żadnych uprawnień od pięciu lat, moje życie się skończyło, patrzcie, to moja książeczka zatrudnienia! Na chleb nie mam! Pomóżcie! Syna mam inwalidę, chcę wolności! Samotna matka!”.

Pust` jarost` błagorodnaja
wskipajet kak wołna
Idiot wojna narodnaja

Swiaszczennaja wojna

Wiktor Anpiłow, lider Komunistycznej Partii Rosji (*krzyczy gardłowym głosem, megafon zwielokrotnia echem*): – Wczoraj przysła do mnie moja wyborczyni i mówi: „Wiktor Iwanowicz, koło restauracji Praga leży człowiek, po nim chodzą gołębie, był martwy, kiedy go obróciłam. To straszne, nawet w czasie blokady Leningradu zbierali trupy, a dziś władza Popowa, Jelcyna i Sobczaka nie zbiera zmarłych”.

Tłum: – HAŃBA! HAŃBA!

– Moskwićzanie! Wiedźcie, że dziś na ulice wyszło 15 tysięcy ludzi w Nowosybirsku, Krasnodarze, Rostowie, Tomsku, Omsku... Chwała im!

Tłum: – CHWAŁA! URA!

– Przysięgamy: 23 lutego będziemy tu razem z naszą kochaną armią, 15 marca przyjdziemy jak jeden mąż pod Zjazd Deputowanych Ludowych, żeby pokazać nacisk ludu i żeby ani jeden deputowany stamtąd nie wyszedł, dopóki nie zatwierdzi woli narodu wyrażonej w referendum 17 marca 1991 roku. Związek Radziecki musi istnieć!

Tłum: – SOJUZU BYT`! SOJUZU BYT`!

– Jeszcze pokażemy naszą siłę, gdy uda nam się odebrać radio i telewizję i zmusimy je, by służyły ludowi roboczemu!

Tłum: – URAAAA!

– Przypomnijmy sobie nasz hymn.

Z megafonów popłynęła *Międzynarodówka*, ludzie zrywają z głów futrzane czapki. Stoją w milczeniu. Pojedyncze głosy dołączają do chóru z megafonów. Ktoś zna melodię, ktoś słowa. Zwisają na drągach czerwone flagi.

O Boże, w poru zakriczat`

A gdzież sowietskije, radnyje?

– *Czyj to wiersz?* – pytam deklamującą sobie a muzom kobietę, najwyraźniej niewidomą.

– Mój, sama piszę. Doprowadzili nas do ostateczności. Straciłam wszystko. Majaczy tylko widmo głodu. Jestem nauczycielką muzyki. Nadzieję straciłam, wiarę w sprawiedliwość.

– *W komunizm? Dziś przecież zebrali się tu komuniści.*

– To patrioci, nie komuniści.

– Co tu mają do rzeczy komuniści? – mężczyzna z opaską porządkowego bełkocze, bardzo pijany, po twarzy spływają mu łzy. – Ja całe życie tymi rękami pracuję, ślusarz jestem. Za emeryturę nie przeżyję, 250 rubli. Na Zachodzie to ja bym zarobił... A tu jestem żebrakiem, a nie komunistą.

Dama z futrzanym kołnierzem:

– Nie widzi pani, co się u nas dzieje? Przyszliśmy tu dziś, żeby przywrócić radziecką władzę. Żadnego kapitalizmu nie chcemy.

– *A dlaczego radziecką władzę?*

– Bo dobrze żyliśmy.

– *A teraz co pani robi?*

– Na emeryturze jestem. Tak, młoda jestem. 45 lat. Latałam na krajowych liniach, potem kosmetyczką byłam. Nie jest mi źle. Ale naród cierpi. To partokraci napartaczyli, partyjni przywódcy, nie prawdziwi komuniści. Prawdziwego komunizmu jeszcze nie znamy.

– A co do tego ma komunizm? – Z tyłu pchają się do mikrofonu. – My chcemy dobrze żyć, tak jak na całym świecie. A czy to będzie komunizm czy socjalizm, czy kapitalizm, to już wszystko jedno.

– A teraz przyszła nowa władza, za nimi żule i spekulanci. Wzbogaciła się elita. Zlikwidowali władzę Sowietów, nie pytając narodu o zdanie. Naród oszukali, Jelcyn zdradził naród. On pierwszy obiecywał, że nie pójdzie na liberalizację cen. Zapomniał o obietnicach, a u władzy utrzymują się kapitaliści i spekulanci.

– Wyprzedaje Rosję. Do władzy przyszedł na plecach komunistów, a teraz zrobił to co Hitler w Niemczech: nielegalnie zniszczył partię komunistyczną. Z komunisty przemałował się na faszystę.

– *A pani była członkiem kpzr?*

– Ja nie, ale moi rodzice oddali życie i zdrowie za partię. Od pierwszych lat władzy sowieckiej służyli i ostatnią koszulę z biednymi dzielili. Tatuś był przewodniczącym sądu ludowego, a mamusia nauczycielką, w czerwonej chuście dzieci na wsi uczyła. Ja specjalnie nie wstępowałam do partii, kiedy stała się sposobem robienia kariery. A teraz jest nabór. Prawdziwi komuniści wstępują do partii nie dla wygody, a za sprawę narodu. Do takiej partii wstąpię.

– Ja uważam, że ta rewolucja, która miała przyjść w 1917, nastąpi teraz – kobieta w szarym płaszczu mówi szeptem. – Dzieło Lenina, za które walczyli robotnicy i chłopi, zwycięży w tym roku albo w przyszłym. Cała władza przejdzie dopiero teraz w ręce ludu pracy. Proletariat rośnie na naszych oczach. Lenin uczył: „Dajcie nam silną grupę, a przewrócimy Rosję”. I rzeczywiście, jeśli naród pójdzie za tą grupą, to będzie wszechświatowa rewolucja. I naród już zdecyduje, czy to będzie z użyciem przemocy, czy bez.

– Ja z Dagistanu przyjechał. – Słyszać po akcencie, widać po kaukaskich rysach. – U nas ludzie mają po ośmioro dzieci. Za dzień roboty 7 rubli dostajesz, nawet na chleb nie starczy. 10–12 rubli za bochen. Litr mleka: 17,50. Do czego to doszło? Tego Gorbaczowa pod sąd trzeba postawić i już.

Tłum: – FASZYZM NIE PRAJDIOT!

Z megafonu: – Przyszła wiadomość z ministerstwa spraw wewnętrznych, że tu, na placu Maneżowym, jest 120 tysięcy ludzi. Radio Rossija podaje, że przed Białym Domem zebrało się 17 tysięcy pracowników agencyjnych toalet, żulików i handlarzy, przekupionych za pieniądze burżujów (tłum ryczy ze śmiechu). Żeby następnym razem było nas więcej, uczcie się walczyć. Organizujcie się, wstępujcie do jaczejek Trudowej Rossii, dzwońcie do Związku Oficerów, telefon: 971 07 37, młodzież: 206 84 74. Prenumerujcie gazetę „Sowietskaja Rossija”.

Tłum: – SOWIETSKIJ SOJUZ! SOWIETSKIJ SOJUZ!

Ech, machoroczka, machorka.
my gotowy w boj, my gotowy w boj.

Małeńka staruszka w wojskowym płaszczu ugina się pod akordeonem.

– Babciu, po kiego się płązecie?! Dziennikarze patrzą, ludzie będą się śmiać.

– A ja specjalnie z Leningradu... U nas mnie ciągle w gazetach pokazują – tłumaczy się, ale grać już nie śmie. Chowa się za człowieka z planszą „Stalin miał rację”.

– *Dlaczego Stalin miał rację?* – zaczepiam.

– We wszystkim miał rację: mafii nie było ani korupcji. Przestępstw kryminalnych nie było.

– *A prawda to, że komuniści mordowali?*

– Nie, nie, Stalin stawiał na ciężki przemysł, czasu nie miał. Sam sprawdzał lady w sklepach, bez dodatkowej ochrony chodził, tylko ci, co zawsze – Włastik i Wasilij

Prochorowicz.

Piesnia słyszytsja i nie słyszytsja
W eti tichije wie-czie-ra...

– Pani z Polski? A ja dowódca oddziału poszukiwawczego. Z chłopcami chodzimy po lasach, szukamy trupów z wojny, chowamy żołnierzy po trochu. Dzisiejsza władza zdradziła tamtych żołnierzy. Oni zginęli za Sojuz. Gdyby wtedy Sojuza nie było, faszyści połknęliby nas jak waszą Polskę. Tylko my, Rosjanie, was uwolniliśmy, a o tym się zapomina.

– *A my na szczęście teraz od was się uwolniliśmy...* – prowokuję troszeczkę.

– Na szczęście? To ja pani powiem: za siedem lat te zjednoczone Niemcy przyjdą do nas na wschód. Ja czytałem *Mein Kampf*, tam wszystko jest. Jak wtedy było, tak i teraz będzie. Nie na próżno oni się zjednoczyli. Ja teraz pochowam tamtych żołnierzy, a potem wezmę automat... – mężczyzna poprawia wojskowy pas.

Nie zabud` i ty eti letnije
Podmoskownyje wiecziera.

– Taki kraj rozwalili, oj... – Chłop w walonkach kiwa głową. – Specjalnie przyjechałem spod Tambowa, żeby tu się nie zdarzyło to, co w Pribałtyce, żeby się ludzie nie bili...

– Rosja nie ma innej drogi niż socjalizm. Przez pięćdziesiąt sześć lat nie byłem komunistą, wczoraj byłem za Jelcynem, ale kiedy on się wywrócił na lewą burtę, to i ja się odwróciłem. I teraz wstępuję w szeregi Komunistycznej Partii Rosji.

Ech, garmoszka frontowaja
Nie straszna nam bombioszka lubaja
A pomierat` nam ranowato
Jest` u nas jeszcze doma dieła.

– *A pani komunistka?*

– Były sekretarz part-komu. Jak byłam, tak będę komunistką. A Lenin był niemieckim szpiegiem. Wszyscy bolszewicy dla Niemców szpiegowali.

– *To kto był prawdziwym komunistą?*

– Chrystus.

(śmiech)

– Pan wierzący?

– No jakże, w partii byłem... Ale teraz na starość w coś tam wierzę.

– A mój ojciec był komunistą i nie dał mnie ochrzcić. Teraz dopiero się ochrzciłam. Pięćdziesiąt sześć lat mam. Ale teraz nawet patriarcha nie jest Rosjaninem.

– Mer Moskwy tak naprawdę nazywa się Nojman. Wszyscy Żydzi z rosyjskimi nazwiskami w rządzie. I wszyscy oni demokraci! – Dookoła zażywej brunetki szybko zbiera się grupka ludzi.

– Mądrzy Żydzi sami mówią: „Nie pchajcie się do władzy w kraju pobytu”. Pomyślcie, jak oni powinni nam być wdzięczni, że zwyciężyliśmy faszystów i uratowaliśmy Żydów od zagłady.

– Do Izraela się pchają, że niby im tam lepiej... Dobrze, a 25 procent przyjezdnych na bezrobociu. Jako stróże pracują.

– Ale tam stróżowi lepiej niż u nas ministrowi – rzuca ktoś i szybko znika w tłumie.

– Żydów u nas mało, ale wszyscy rządzą. Jakby wśród Ruskich nie było geniuszów.

– Przeszkadzają panu?

– Oni wypaczają rosyjską historię. Syjonizm postawił zadanie: zdominować i zawrócić wszystkie państwa z ich narodowego rozwoju. Całe otoczenie Jelcyna to Żydzi, wszędzie są.

– A w telewizji kto? Sami Żydzi.

– Prowadzą antyrosyjską politykę, to oczywiste. Po co? Żeby zlikwidować Związek Radziecki, który miał słuszne stanowisko w kwestii arabskiej...

– Żeby z Rosji zrobić kolonię Zachodu.

– Dość już liczenia się z tymi! Czas oczyszczać. Uważam, że bez odżydzenia kraju daleko nie zajdziemy.

Starinnyj wals, poslednij son

Igrajet garmonist...

Homo sovieticus

Andriej Czerkizow, publicysta:

– Ten mityng neobolszewików pokazał, jak żywa jest pamięć o tym, że za komunistów był jakiś minimalny poziom życia, ciut-ciut wyższy niż teraz. Ludzie żyli na nędznym

poziomie, ale zawsze zagwarantowanym. I trumny tanie, i służba zdrowia bezpłatna, i apteki tanie... Z emeryturą można było związać koniec z końcem. Socjalizm to ustrój emerytów. To pokolenie nie rozumie, że jeszcze raz okazało się winnym bez winy.

Z drugiej strony mityng na placu Maneżowym pokazał, że oni już do władzy nie wrócą. Nic nowego nie zaproponowali. Cały czas powtarzali „Precz”.

– *Jednak to było sto tysięcy ludzi.*

– *Ale to było ostatnie sto tysięcy.*

– *Na każdym kroku do dziś widać, że żyliście w ideologii. Jak będziecie mogli żyć bez niej?*

– Nie, my nie żyliśmy w ideologii. To było rozdwojenie jaźni. Ideologię mieliśmy w pracy, na stronicach gazet i na ekranach telewizji. Ale nigdy nas nie opuścił zdrowy rozsądek. Statystyka pokazuje, że żyjemy w społeczeństwie o podwójnej świadomości: mamy pięć milionów pacjentów zarejestrowanych w przychodniach psychiatrycznych, drugie pięć milionów to nałogowi alkoholicy. Razem dziesięć milionów – jedna trzecia Polski. To znak psychicznej choroby. Jako społeczeństwo jesteśmy hipokrytami, mówiliśmy jedno, robiliśmy drugie. Ale na pewno nie jesteśmy zideologizowani. Jesteśmy normalni.

– *Nie boisz się przewrotu, dyktatury?*

– Zapewniam cię, że w ciągu najbliższych pięciu–sześciu miesięcy w Rosji nie będzie przewrotu. Teraz temperatura społeczeństwa wynosi 36 i 6.

Leon Bójkó, publicysta „Gazety Wyborczej”:

– Komunizm jako system został zniszczony. Ale zostali ludzie, pewne procedury postępowania, system gospodarczy, symbolika. Na Kremlu wciąż tkwią czerwone gwiazdy, na Oktiabrskiej Płószczadi ciągle stoi pomnik Lenina. Ja mieszkam przy Leninskim Prospekie. Troszkę dalej, na skwerku, siedzi Lenin z Nadieżdą Krupską, czytają gazetę, sympatyczny pomnik, ostatnio oblany farbą orzech ciemny. Ale stoi. Po mieście jeżdżą tak samo bezczelne czarne wołgi z anteną na dachu, którym wszystko wolno. Najczęściej jeżdżą w nich ci sami ludzie. Dygnitarze pozmieniali fotele, przynależność. Nowych ludzi, którzy rozumieją potrzebę i istotę zmian, jest bardzo mało. A z czysto organizacyjnych względów? Ostatnio mówił mi jeden z wybitnych demokratów, że oni na terenie całej Rosji mogą dysponować siedmiuset–ośmiuset tysiącami ludzi. A tak zwanych „uprawieńców” było siedemnaście do dwudziestu milionów. Fizycznie nie ma kim zastąpić tych urzędników, dyrektorów fabryk, przewodniczących kołchozów, specjalistów od ochrony środowiska, od pilnowania kłusowników – to wszystko zostało. Zostały wzajemne więzi między nimi, znajomości czysto osobiste, nieformalne związki telefoniczne, związki z bibek, bankietów, a również przestępstw i złodziejstw. Ta cała sieć nieformalnych kontaktów jest niezwykle mocna... Komuniści jako partia czy ruch nie mają szans na powrót.

Komuniści pokazali ostatnio dużą zdolność mobilizacyjną, duży stopień organizacji. Pokazali, że potrafią zdestabilizować sytuację. To jest rzeczywiście dopiero początek. Będzie dużo prób, zakrętów, starć, ale miejmy nadzieję, nie będą nigdy tak intensywne jak przy budowaniu komunizmu. Będą wyłaniać się nowe grupy, albo stare – przecież w bardzo wielu tzw. birżach, bankach, które przez nieporozumienie nazywa się giełdami, znakomicie siedzą komuniści. Kapitały partii komunistycznej zostały polokowane w bankach prywatnych, w dużych przedsiębiorstwach, bardzo często nie do ujawnienia. Taki więc komunistyczny to przecież impreza dość kosztowna: czerwone transparenty, nowiutkie, nie jakieś z magazynów, literki równiutkie, jak kiedyś na 1 Maja... Ulotki – jedna kosztuje pięć rubli. Są wydawane gazety na dobrym poziomie, finansowane przez kogoś, bo przecież nie utrzymują się z ogłoszeń. Pieniądze na tę działalność są. Wszystko to każe liczyć się z tą siłą.

Aleksy Miller, historyk:

– Dzieckiem komunizmu jest wszechobecna korupcja. Przenika do nowych dziedzin życia, na przykład do prywatnej przedsiębiorczości. Kiedy otwierasz restaurację, od razu natykasz się na rekieterów i mafia ci mówi: „Podzielisz się z nami zyskiem, bo jak nie, zdemolujemy lokal i albo przyłożymy ci żelazko do brzucha...”. Albo płacisz, albo wynajmujesz facetów, którzy cię chronią. I w jednym, i w drugim przypadku już wszedłeś w system kryminalny. Któregoś dnia i tobie może przyjść ochota, by wysłać gdzieś swoich ochroniarzy. Poza tym, żeby dostać dobry lokal, musisz podkupić urzędnika, i to nie jednorazowo, ale na stałe. Przedtem trzeba było opłacić komunistycznego urzędnika – teraz demokratycznego, bo system władzy lokalnej jest skorumpowany nie w mniejszym stopniu, a w większym. To są ludzie zwykle biedni, którzy nie potrafili zrobić kariery w innej dziedzinie i dlatego poszli do polityki i teraz chcą dorobić.

Tu trzy miliony ludzi rocznie siedzi w łagrach. Wychodzi co rok półtora miliona. Jeśli byli tam po raz pierwszy, to wychodzą przerobieni na kryminalistów. W tym kraju kilkadziesiąt milionów ludzi ma kryminalną przeszłość. Korupcja sięga najwyższych sfer politycznych. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych korupcja stała się jedynym sposobem posiadania czegokolwiek nawet przez najwyższych urzędników. Wszystko, co miał – mieszkanie, samochód itd., było służbowe. Gdy odchodził na emeryturę czy był wyrzucony ze stanowiska, tracił wszystko. Jeżeli chciał coś mieć „na czarny dzień”, to musiał brać łapówki. Susłow, drugi człowiek w państwie, wszechwładny, musiał usynowić swojego wnuka, bo tylko dzieci członków Biura Politycznego miały przywileje ojca. Więc żeby zapewnić wnukowi ten poziom życia, musiał go usynowić, bo nie mógł podarować mu jakiejś fabryczki czy rancza.

Andriej Lipski, politolog, komentator bbc:

– *Homo sovieticus* ma starsze korzenie niż komunizm w Rosji. Rewolucja (czy przewrót) 1917 roku nie była dziełem Marsjan. Jej autorzy jak zwierzęta wyczuli słabe miejsca w mentalności rosyjskiej. Społeczeństwo było podatne na taki system. Tu leży głęboka różnica między Rosjaninem a tzw. Europejczykiem. Prawosławie niesie ideę kolektywizmu, soborowości – wspólna odpowiedzialność za los całej „obszczyny”, czy to małej komuny, czy państwa. A jeśliby jeszcze sięgnąć do kształtowania się imperium rosyjskiego... Równość w nędzy to nic nowego. Dzisiejsza walka z farmerstwem przypomina, z jakim trudem Stołypin przeprowadzał reformę rolną: wtedy też były podpalenia, kradzieże. Chłopsstwo rosyjskie, przyzwyczajone do wspólnoty, niechętnie patrzyło na kułaków, burżujów, którzy chcieli wyrwać się z kolektywu. Wszechobecność państwowej biurokracji kojarzy się z masą urzędników, których nie zrobiło się mniej po rewolucji sierpniowej zeszłego roku. Oni nie chcą oddać władzy, chcą wszystko trzymać w ręku, tyle że nie pod czerwoną, a pod trójkolorową flagą. Wielu tak samo kradnie i bierze łapówki nie gorzej niż ich koledzy z legitymacją partyjną. Świadomość komunistyczna nie oznacza koniecznie nawyku chodzenia na zebrania partyjne albo przywiązania do czerwonej flagi. Żeby Rosjanin stał się demokratą, muszą minąć lata, może pokolenia. Potrzebna jest własność prywatna, bez której nie zaistnieje społeczeństwo obywatelskie, normalny stosunek do pracy ani szacunek dla drugiego człowieka, do jego pracy i własności. Niestety prywatyzacja u nas idzie bardzo opornie. To też pozostałość komuny.

– *Po 70 latach komunizmu Rosjanin nie ma wioda, nie ma Boga, nie ma ideologii. Co zapełni pustkę ideologiczną?*

– Najbardziej rozpowszechnionym sposobem ideologicznego bycia w społeczeństwach postkomunistycznych jest nacjonalizm. To nie jest cecha typowo rosyjska, to widać w Europie Środkowej. Wynika to z tzw. psychologii kolejki. Społeczeństwo jest biedne, sfrustrowane, brakuje wszystkiego. Z jednej strony ludzie szukają jakiejś wspólnej wartości, którą mogą znaleźć w zjednoczeniu na podstawie narodu. Z drugiej strony szukają tego, kto mu zjadł mięso, wypił herbatę, zjadł cukier... Pierwsze, co mu przychodzi do głowy, to że to robota sąsiada o innym kolorze włosów, z innym nosem...

Drugie to klerykalizm o zabarwieniu nacjonalistycznym. Nie uważam każdej religijności za klerykalizm, to tylko jeden z odcieni. Odrodzenie religijne w naszym kraju nosi charakter powierzchowny, bo pustka jest tak głęboka, a cerkiew tak skompromitowana z reżimami (w dawnych czasach też, nie tylko sowieckich), że bardzo trudno liczyć na to, że autentyczna świadomość religijna mogłaby tę pustkę wypełnić.

Stanisław Simonowski, politolog:

– W ciągu lat komunizmu wytworzył się u sowieckiego człowieka syndrom więzienia.

On nie musiał o niczym myśleć – myślały za niego partia i rząd. Nie miał żadnej swobody i nie musiał podejmować żadnej inicjatywy. Wszyscy musieli być jednakowo szarzy, ostrzyżeni jak w armii: w jednakowych uniformach. Człowiek w więzieniu wie, że w odpowiednim momencie go obudzą, nakarmią, wyprowadzą na spacer, w określonym momencie położy się spać i o nic nie musi się martwić. I dlatego taki człowiek, jak tylko wychodził z więzienia, zderzał się od razu ze wszystkimi problemami świata zewnętrznego, które wymagały od niego jakiejś inicjatywy. Trzeba było myśleć, gdzie zjeść, gdzie się przespać, i kończyło się na kolejnych przestępstwach. Wracał do więzienia, żeby tylko znów nie musieć decydować. Brak inicjatywy jest głęboko genetycznie wpisany w sowieckiego człowieka.

Podobny stosunek ma społeczeństwo do przedsiębiorczości. Jeśli ktoś próbuje się wychylić z pomysłem, zaraz go z powrotem ściągają do poprzedniego poziomu. Jest 10 procent farmerów, którzy próbują nakarmić społeczeństwo. Ale zapomina się o tych 90 procentach, którzy zrobią wszystko, żeby im to uniemożliwić.

Zna pani ten kawał? Grzeszników gotują w kotłach ze smołą. Przy każdym kotle stoi diabeł. Jak tylko ktoś się wynurzy, on go widłami z powrotem. A koło rosyjskiego kotła, sowieckiego, nikt nie stoi. Pytają: dlaczego? „A po co? – mówi diabeł. – Jak tylko ktoś się wynurzy, oni go sami wciągną”.

Nie dali ludziom wykazać się inicjatywą. Dziś brakuje masy krytycznej przedsiębiorców, bo ona była fizycznie zgładzona. Poza tym opinia swoim bezwładem potępia przedsiębiorczych osobników. Określone kręgi polityczne specjalnie podgrzewają atmosferę przeciwko nim. Cały ludowy gniew starają się zwrócić przeciwko błędom rządu czy działalności jakichś sił politycznych. „To biznesmeni nas okradają, to oni są winni naszej niedoli”.

Kiedy Mojżesz wyprowadził Żydów z Egiptu i doszedł do Kanaan, zostało już tylko kilka kroków do Ziemi Obiecanej. A on czterdzieści lat wodził tych ludzi po pustyni, póki nie umarł ostatni, który nosił w sobie resztki egipskiego niewolnictwa. W Rosji powinno przejść kilka pokoleń, póki nie umrze ta niewolnicza psychologia antyprzedsiębiorcza, narzucona naszemu narodowi przez lata komunistycznych rządów i komunistycznej ideologii. Odrodzi się jeszcze kiedyś w Rosji duch biznesu i kupiectwa.

Denis, student dziennikarstwa:

– Nie widzę tu mojej przyszłości, bo w Rosji nie ma niezależnych mediów. Nie mają dość pieniędzy. Kiedy człowiek ma kapitał, może mieć niezależne poglądy. Inaczej może być przekupny. Nie mogę się pogodzić z rozpadem tego kraju. Musi wrócić imperium, ale w lepszej formie. Jestem zwolennikiem mocnego państwa. Niepodległość republik to masowe wariactwo, to już było w 1917. Jeszcze poproszą nas o pomoc. Kiedy Rosja wygrzebie się z tego, to z powrotem ten kraj zjednoczy.

Sieroża, syn dyplomaty:

– Szkoda, że nie ma już Stalina. Stalin z Hitlerem podzielili świat na dwie strefy wpływów. Jeśli porównać, do czego doszły te dwie połowy, widać, że Zachód, który był pod wpływem Hitlera, doszedł do takiego poziomu, do jakiego my się nie umywamy. Skoro tak, to szkoda, że odeszliśmy od linii Stalina, która mogła nas doprowadzić do sukcesów zachodnich państw, jak Niemcy, Austria czy Szwajcaria.

Żenia, student w szkole biznesu:

– *Czy będzie u was kapitalizm?*

– U nas będzie socjalizm jak w Szwecji. To polega na tym, że w sklepie można wybrać spośród trzydziestu ośmiu gatunków sera czy wędliny.

– *Co będziesz robił po studiach?*

– Pojadę za granicę, do wielkiego życia. Chciałbym, żeby było fajnie, chciałbym mieć dużo pieniędzy, fajną żonę, która nie chodzi do pracy, służbę w domu, samochód: jak na Zachodzie. Ziemię bym miał i dawałbym ją w dzierżawę.

– *Byłeś na Zachodzie?*

– Osiemnaście miesięcy w Polsce.

– *Jak chcesz zarobić pieniądze?*

– Będę sprzedawać samochody i walutę. W Polsce na każdym rogu ulicy jest kantor.

– *Co ci daje wolna Rosja?*

– Jesteśmy niepodlegli. Od kogo? Od Zachodu.

Moskwa, luty 1992 roku

1. Ulica Czerska na warszawskim Mokotowie, redakcja „Gazety Wyborczej”. [\[wróć\]](#)
2. Muammar Kadafi (Mu’ammar al-Kaddafi) – pułkownik, przywódca Libii w latach 1969–2011. Obalony i zabity w październiku 2011 r. [\[wróć\]](#)
3. Informacja okazała się nieprawdziwa, marszałek Jazow, wówczas minister obrony, żyje do dziś; w 2004 r. Prezydent Putin odznaczył go Orderem za Zasługi. Samobójstwo tego dnia popełnił minister spraw wewnętrznych, członek Państwowego Komitetu Stanu Wyjątkowego Boriss Pugo, a w kolejnych dniach kilku innych związanych z puczem polityków. [\[wróć\]](#)
4. Jurij Michajłowicz Łużkow – polityk rosyjski, w latach 1992–2010 mer Moskwy. [\[wróć\]](#)
5. George H.W. Bush prezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1989–1993. [\[wróć\]](#)
6. Jelena Bonner – rosyjska lekarka, obrończyni praw człowieka, żona Andrieja Sacharowa. [\[wróć\]](#)
7. Giennadij Iwanowicz Janajew – radziecki polityk, Członek Komitetu Centralnego i Biura Politycznego KC KPR. W latach 1990–1991 wiceprezydent ZSRR przy Michaił Gorbaczowie. W czasie puczu w sierpniu 1991r. stanął na jego czele; puczyści ogłosili przejęcie przez niego obowiązków prezydenta ZSRR. Po upadku puczu osadzony w więzieniu, zwolniony w 1994 r. [\[wróć\]](#)
8. Pałac Smolny – od rewolucji 1917 r. siedziba Włodzimierza Lenina w Piotrogradzie (obecnie Petersburg). [\[wróć\]](#)

Czy to ma sens, że tu umieramy? Kurdowie

Do obozów kurdyjskich dotarliśmy helikopterami Luftwaffe od strony Turcji. Wysoko w górach, nad doliną Tygrysu, na granicznych przełęczach uchodźcy z Iraku rozbili obozowiska. Tam zatrzymały ich wojska tureckie. Turcy ustawili stanowiska cekaemów i wymierzyli je w stronę Kurdów uciekających przed bombami Saddama Husajna. Przekraczaliśmy granicę razem z konwojami zachodniej pomocy humanitarnej albo śmigłowcami bojowymi us Air Force. Mieszkaliśmy w namiocie na obrzeżach obozów. Jedliśmy amerykańskie racje ze zrzutów, na herbatę zapraszali nas Kurdowie. Polaków widzieli po raz pierwszy.

Smrodu nie widać na zdjęciach. W kurdyjskich obozach śmierdzi kałem: dzieci kucają gdzie popadnie, dla dorosłych latryny – na czterech kijach rozpięte kolorowe szmaty, najczęściej nad wysychającym strumieniem. Dlatego śmierdzi też potok, z którego trochę niżej ktoś będzie brał wodę. Śmierdzą dymy ognisk – palą się stare szmaty, bo drzewa już dawno oskubano z gałęzi. Jeszcze dzieci wygrzebują ze śmietnisk resztki chrustu i korę. Śmierdzą niemyte ciała ludzi i gnijące głowy dawno zjedzonych kóz. Śmierdzą gnijące stopy, odmrożone na śniegu, kiedy boso uciekali przez góry. Cuchną chlorem zbiorowe latryny, lizolem – polowe szpitale. A upały jeszcze się nie zaczęły.

– *Excuse me, lady*, pozwoli pani, że ją o coś spytam? – Dwunastoletnia Leila mówi gładką angielszczyzną. – Co robić z węzami i skorpionami? Boimy się z siostrami spać. My nigdy nie byłyśmy w górach. Wytrząsać posłanie przed spaniem? *Oh, thank you very much*.

– *Ordnung muss sein!* – tłumaczy mi Fried, odganiając kijem kurdyjskich chłopców. – Dziś tylko cukier, jutro może będzie herbata. Każdego dnia trzeba przywozić jeden towar, albo mąkę, albo cukier, albo herbatę. Jak im przywieziesz i mąkę, i cukier, i herbatę, będą chcieli wszystko naraz. I zaraz robi się bałagan.

Niemiec uważa, że Kurdowie są dzicy. Dziś jest z nich zadowolony, bo po raz pierwszy nie rzucili się na helikopter, nie tratowali się nawzajem, lecz ustawili grzecznie w kolejce. Przecież tyle im tłumaczył, z Koranem w ręku...

Kiedy helikopter płozami dotyka ziemi, trzeba odwrócić się plecami i mocno ugiąć w kolanach: zdaje się, że gorący podmuch siekący drobnymi kamykami zaraz cię przewróci. Ale jak tylko silnik trochę zwolni obroty, biegniesz do śmigłowca, pochylając głowę. Na wpół na migi, przekrzykując warkot motorów i kask pilota, pytasz, czy może cię przerzucić na iracką stronę. Niemiecka maszyna, z brzuchem

pomalowanym na biało i napisem HEER przerobionym na HELP, leci tylko do szczytów. Cudem ląduje na grani i wyrzuca duże puszkę z fasolą. W te niedostępne miejsca przychodzą partyzanci.

Na iracką stronę przeskoczymy następną okazją, z Amerykanami. Mały helikopter bojowy leci z otwartymi drzwiami. Lufa karabinu maszynowego M-16 wycelowana jest w ziemię – na wszelki wypadek. Wojska Husajna wycofały się co prawda na południe od Zakho, ale jeszcze wczoraj w ręce peszmergów wpadło dwóch irackich komandosów, którzy próbowali zatruć wodę nad obozem w Kastruk. Cienkie jak wałki amerykańskie helikoptery bojowe latają na zwiad uzbrojone w rakiety Tomahawk. Tu wojna jeszcze się nie skończyła.

– *Bomba, bomba!* – chłopcy z chrustem na plecach pokazali rękami zbocze nad obozem.

– *Ladies first* – żartuje Jeff, kiedy ruszamy pod górę w poszukiwaniu miny. Jeff i JR mieli w zasadzie liczyć groby i zaznaczać na mapie źródła, ale jak bomba, to trzeba iść. Kilka metrów powyżej drogi natknęliśmy się na pierwszą: jumping Betty. Potrącona, wyskakuje na półtora metra w górę i rozrywa głowę – tłumaczą. Jeff długo dłużył przy niej na klęczkach. To była jego pierwsza prawdziwa – znał takie z ćwiczeń. Nad obozem numer 4 przechodzi linia graniczna, zaminowana przez Irakijczyków. –

Tiazołaja gora – mówią amerykańscy komandosi, którzy przygotowywali się do desantu na wschodzie.

Pogrzeb w Iszikweren trwa pięć, może dziesięć minut – zależy od rozmiarów dołu, który trzeba zasypać. Aorin ubija nogami ziemię nad drugim synem. Trzy dni wcześniej pochował obok swojego najmłodszego. Ciało myje się bezcenną wodą w namiocie. Zawija się w płótno, prowizoryczną trumną będzie szary wojskowy koc, który jednak odwija się na cmentarzu – jeszcze się przyda. Teraz ojciec kładzie białe zawiniątko prosto na ziemi, w dziurze głębokości metra. Dołek okłada kartonem, na to pójdą kamyki i trochę ziemi. Potem przyjdą kobiety, zaznaczą swój grób jakąś szmatką czy patykiem. Kilka metrów dalej, na śmietniku, bawią się dzieci.

Między mogiłami stoi pusta trumna z płyty pilśniowej. Nad rozkopanym grobem kłóć się mężczyźni, nieopodal płaczą bezgłośnie dwie kobiety. Stara Szunei Junan już wie, że niedługo wróci do Iraku. Dlatego chce zabrać ciało męża. Krewni poniosą go z powrotem przez góry, będzie miał swoją trumnę. Kiedy łopata dochodzi do osłaniającego ciało kartonu, mężczyźni naciągają na twarze chusty, a mistrz ceremonii przygotowuje flakoniki z perfumami. Uderzy odór – tłumaczy mi na migi. Odślaniają głowę – to nie ten. Rozkopują już czwarty grób w tym miejscu i nie trafiają na męża Junan. Wszystkie mogiły są jednakowe...

Kiedy skórę dziecka na brzuszku ściąga się dłonią, skóra nie wraca na miejsce, zostaje jak pomięta szmata. Na trójkątnej twarzy największe są oczy, bez łez z braku witaminy A wysychają. W ciszy tylko miniaturowe nogi uderzają w powietrze, kiedy

sanitariusz wpycha do nosa za dużą kroplówkę. Matka siedzi przy łóżku na podłodze, w spojrzeniu jest więcej otępienia niż wdzięczności. Ma opuchnięte nogi. Niedługo będzie rodzić.

W górnym obozie urodziły się trojaczki. Ojciec nie chce ich przynieść do szpitala, bo wszystkie trzy to dziewczynki. Nie warto.

Partyzanci kurdyjscy – peszmergowie – śpią w górach na gołej ziemi. Nie schodzą do obozów, bo musieliby oddać broń. Czekaają na rozkaz. Jeśli Barzani ¹ im powie, że mają wracać, wrócą, ale broń zakopią.

– Dużo tego macie? – pytam na miגי.

– Dużo – odpowiadają dłońmi.

– Ilu was tu jest?

– Dużo, dużo. – Pokazują na górzystą pustynię. Osłaniają wędrujących, próbują zachować jakąś kontrolę. Nieśmiało podchodzą w miejsca zrzutów.

– Dla nas wszyscy są jednakowo głodni, ale uważaj, to delikatny temat – ostrzega mnie Fried z niemieckiego helikoptera. Rabadan, dowódca, nie bierze jednak puszek; z zakłopotaniem prosi o buty dla swojego oddziału. Peszmergowie noszą gumowe kamasze z imitacją sznurówek.

– Napisz, żeby nie mówili o nas „uchodźcy”. Uchodźcy mają przecież jakieś prawa. W Europie podobno zwierzęta mają prawa... Na początku nie dawaliśmy sobie rady. Teraz, proszę spojrzeć, jak żona wałkuje ciasto kijem. Mam dwóch synów, obaj studiowali na uniwersytecie w Bagdadzie. Co mają tu teraz robić? Co ja mogę zrobić? Byłem nauczycielem garncarstwa w szkole rolniczej. Jestem dobrym mechanikiem. Mam w Zakho sklep na targu, sprzedaję siedzenia samochodowe. Zostawiłem tam 10 tysięcy dinarów, toyotę... Nie znoszę bezczynności. – Hazi Abwi Raszid ma pięćdziesiąt cztery lata i już dwukrotnie uciekał z Iraku przed zagładą, w '63 i '74. Teraz nie miał siły iść tak daleko. Wie, że jeśli Amerykanie się wycofają, Turcy też będą do nich strzelać.

– Do Dahuk nie wrócimy, póki są tam wojska Husajna. Wysłać nas tam to tak, jakby dać kotu mysz. Iść do amerykańskiego obozu w Zakho, pod nowe, lepsze namioty? Co za różnica? Zabijcie nas tu. – Hikmet nie odważyłby się tego powiedzieć w rodzinnym namiocie. Jest jednym z dwunastu synów muzułmańskiego duchownego, który z pogodą przyjmuje tę próbę, na którą wystawił ich Bóg.

– Cieszę się, że zapytała o Boga, obawiałem się, że jest komunistką – synowie grzecznie tłumaczą na angielski słowa ojca. Pytają o zdrowie Wałęsy i losy Jaruzelskiego. O dwudziestej pierwszej milknie rozmowa, bo pod namiotami w obozie numer 4 „Uludere” rozlega się Big Ben. Cała rodzina wsłuchuje się w dziennik BBC po arabsku.

– Czy pani myśli, że nas przetargują za spokój na Bliskim Wschodzie, za Palestynę?

Czy Talabani ² rozmawia z Husajnem w porozumieniu z Amerykanami? Czy to ma sens, że tu umieramy? – Hikmet, tutejszy przywódca Islamskiego Ruchu Kurdów, wyrzuca z siebie trudne pytania, choć na początku próbował mnie zbyć, rozdrażniony: nie jest przyzwyczajony do przepytywania przez kobietę. Tak, mają 10 tysięcy ludzi w górach, tu też wszyscy są peszmergami, on sam jest peszmergą – pokazuje na czerwony turban. Kaszel przerywa mu słowa, oczy błyszczą od gorączki. W sąsiednim namiocie ktoś zanosi się kaszlem, i w drugim, trzecim, dalej. Wygasły już ogniska, nad obozem wisi gryzący dym. Zdaje się, że cała góra kaszle. Skrzeczący kaszel dziecka przechodzi w płacz. Ryczy osioł.

w górach na granicy turecko-irackiej, kwiecień 1991 roku

35 zabitych dziennie

Wciąż ten sam górzysty pejzaż, z rzadka urozmaicony wioskami, gdzie kobiety na płaskich dachach domów rozkładają morele, by schły na słońcu. Coraz dalej w głąb Turcji. Wojny nie widać. Gdzie zaczyna się Kurdystan?

Na stacji benzynowej w Malatya, 1000 kilometrów na wschód od Stambułu, pierwszy znak: chłopak zerka na książkę, którą trzymam w ręku: *Węzeł kurdyjski*. Przerzuca kartki z tekstem w niezrozumiałym dlań języku, wpatruje się w zdjęcia, których tu nigdy by nie zobaczył: kurdyjskie miasta, kurdyjscy przywódcy, partyzanci kurdyjscy z Iraku – peszmergowie – w turbanach i z karabinami...

– Jestem Kurdem – mówi półgłosem.

Gdy 200 kilometrów dalej tankujemy nasz motor, książka znów zwraca uwagę trzech facetów z rękami w kieszeniach.

– *Kurdisches Problem* – tłumaczę tytuł na niemiecki (tu niemal każda rodzina ma kogoś na emigracji w Niemczech).

Patrzą po sobie, kamienne twarze. Jakby źli, ale może się boją?

– Nie ma Kurdystanu. – Najwyraźniej trafiłam na Turków. Z wyglądu nie odróżnisz ich od Kurdów. – *Kein Problem*.

Jak w kiepskim filmie gangsterskim jeden z nich podchodzi do telefonu, wpatrując się w tablicę rejestracyjną naszego motoru. Niedługo potem mamy już „ogon”. Kilometrami będą nam deptać po piętach kolejne samochody, w żółwym tempie, gdy na próbę postanawiamy zwolnić, lub przyspieszając do 150 kilometrów na godzinę, gdy prujemy 140.

Już wiem, że jesteśmy w tureckim Kurdystanie.

W Turcji mieszka ponad 10 milionów Kurdów (jedna piąta ludności kraju), drugie tyle zamieszkuje Iran, Irak, Syrię i zakaukaskie republiki byłego ZSRR. Największy na

świecie naród bez państwa. O tradycji literackiej sięgającej XI wieku.

Walcząc z Babilonią, Asyrią, Persją, imperium otomańskim, a potem z nowożytną Turcją, Irakiem i Iranem, Kurdowie dążyli do utworzenia niepodległego kraju. Ich aspiracje uznała międzynarodowa społeczność: Kurdystan – jako mandat Ligi Narodów – miał po traktacie w Sèvres w 1920 roku oderwać się od Turcji. Traktat z Lozanny trzy lata później zatwierdził rozbiór Kurdystanu.

I znów zaczęła się seria kurdyjskich powstań, krwawo pacyfikowanych przez turecką armię. Zakazano noszenia tradycyjnego stroju, śpiewania pieśni, a nawet mówienia po kurdyjsku. Zbuntowanych czekały deportacje i egzekucje.

W 1950 roku, kiedy w wyborach do parlamentu w Ankarze zwyciężyli demokraci popierani przez kurdyjskich wyborców, ucisk zelżał. Nie na długo. Po kolejnych wojskowych zamachach stanu znów wróciły fale aresztowań i krwawych rajdów armii do kurdyjskich wiosek. Turcja stała się międzynarodowym żandarmem terroryzującym rodzimych, ale też – w porozumieniu z Teheranem i Bagdadem – irackich i irańskich Kurdów.

W 1991 roku, gdy Amerykanie, by osłonić Kurdów irackich, zatrzymali lotnictwo Saddama Husajna na 36. równoleżniku, ówczesny prezydent Turcji ogłosił projekty liberalnych reform. Byłam tam wtedy. Pamiętam nieśmiało świętujące miasteczko Batman: w restauracji znany piosenkarz śpiewał kurdyjskie pieśni, w każdym sklepiku sprzedawali biało-czarne chusty, z których robi się na głowie zawój – dżamanę. Teraz w Batman nic z tego nie zostało. W powietrzu wisi strach i nienawiść.

Szosa idą kobiety, na plecach targają cały dobytek zawinięty w koce.

– Mąż, PKK... – zdążyła powiedzieć najmłodsza, zdejmując na chwilę brzemię z pleców. Ale zaraz nadjechał nasz ogon, więc chwyciły toboły i odeszły.

Przejeżdżają zaprzęzone w chude koniki furmanki i cywilne auta policji, z lufami karabinów wystającymi przez otwarte okna. Podchodzi do nas mężczyzna, zna angielski, ale mówi nerwowo i chaotycznie, trzymając wyrywającego się dzieciaka.

– Nie możemy tu rozmawiać, bo nas zobaczą. Nie mogę wejść do hotelu, przecież idzie noc. Widzi pani, wszyscy zamykają.

Rzeczywiście, w ciągu kilku minut główna handlowa ulica miasteczka Silopi zmieniła się w długi tunel z blachy – za żaluzjami schowały się wystawy, salony golibrodów i herbaciarnie. Zniknęły z chodnika wyplatane krzeselka, z których zwykle mężczyźni przyglądają się przez cały dzień ruchliwej ulicy.

– Chowamy się w domach. Nie otwieramy, nawet jak się dobijają. Kto? Policja. Albo ci drudzy – zdążył rzucić na odchodne, unosząc synka w wiszącym nad drogą kurzu.

W ciemnopomarańczowym świetle wieczoru najodważniejsi układają pościel na żelaznych albo drewnianych łóżkach na dachach domów. Tradycyjnie latem śpi się tu na płaskich glinianych tarasach – w środku trudno wytrzymać w sierpniową noc.

W hotelowym pokoiku stoi gorące powietrze. Z kranu w zbiorowej łazience leci nagrzana słońcem woda. Nie ma prysznicza ani wanny – trzeba polewać się z dzbanka.

Schodzę na dół, drzwi wejściowe zamknięte. Recepcjonista liczy paszporty – o świcie policja zabierze je do spisania. Pytam o dziurę w grubej szklanej ścianie. Pokazuje mi, jak się chował za kontuar, kiedy policja strzelała z ulicy.

– Dlaczego?

– Bo jestem Kurdem.

„Ci drudzy” to partyzanci z Kurdyjskiej Partii Pracy (PKK), która toczy wojnę z tureckim państwem. Mówi się o nich szeptem: „Ludzie z gór”, „Kuzyni”, „Partia”. Kiedy rzucam przygodnie spotkanemu człowiekowi pytanie: „PKK – gut? OK?”, ten pokazuje znak „V” albo wyciągnięty kciuk, ale dyskretnie, nie podnosząc ręki wyżej pasa.

PKK stworzyło w listopadzie 1978 roku dwunastu lewicujących studentów, początkowo, by walczyć o kurdyjską odrębność kulturalną. Gdy dwa lata później, po puczu wojskowym w Ankarze, zabroniono Kurdom mówienia po kurdyjsku (szło się za to do więzienia), działacze partii zeszli do podziemia albo schronili się na emigracji.

Do walki zbrojnej przystąpili w 1984 roku. Było ich wtedy dwustu. Teraz władze twierdzą, że w szeregach PKK działa 10 tysięcy Kurdów. W najnowszym wywiadzie dla prokurdyjskiej gazety „Özgür Gündem” przywódca PKK Abdullah Odzalan, zwany po prostu „Apo” (Wuj), powiedział, że jeśli władze w Ankarze nie wstrzymają represji, w przyszłym roku jego partia będzie liczyła 30 tysięcy bojowników.

W libańskiej dolinie Bekaa bojownicy PKK mają główną bazę szkoleniową i sztab generalny. Tu też ma siedzibę Abdullah Odzalan. Na skalnej pustyni, w upale, setki młodych ludzi, kobiet i mężczyzn, przechodzi rygorystyczny trening, by po kilku tygodniach ćwiczeń i indoktrynacji wrócić na turecką stronę, na front.

Wojna turecko-kurdyjska pochłonęła już ponad 7200 osób – taki bilans przedstawił prezydent Demirel³, otwierając we wrześniu sesję tureckiego parlamentu: 1772 członków tureckich sił porządku, 2261 cywilów, 3245 rebeliantów kurdyjskich. Premier Tansu Çiller⁴ dodała, że od początku sierpnia do połowy września siły zbrojne zlikwidowały 1020 rebeliantów, co daje średnio 35 zabitych dziennie. „Nie potrwa to więc już długo” – zauważyła, obiecując Turkom, że będzie „twarda jak kamień”.

Mówi się, że turecki Kurdystan w dzień należy do armii, w nocy do partyzantów. Wiem, że są wszędzie. Jak ich spotkać, kiedy policja na nich poluje, a my mamy ogon?

W miasteczku Mardin, w herbaciarni między średniowiecznym meczetem a posterunkiem policji, zagaduję najbliższego siedzącego mężczyznę.

– Nasze tereny leżą powyżej 3000 metrów – odpowiedział półzartem – a i to tylko ziemia, bo powietrze należy do ich lotnictwa.

Po czym wstał i wszedł nieśpiesznie do sklepu naprzeciwko. Chwilę potem wpadła tam policja – obława. Od stolików obok mnie zaczęli wstawać cywile, teraz mieli już w rękach krótkofalówki, odsłoniли pistolety.

– Tam jest terrorysta – rzucił mi niechętnie jeden z nich. Na chodniku pojawili się cywile z karabinami wycelowanymi w sklep, przed którym stał nasz motor. Ale nie padł strzał. Może czekali na nasz odjazd? Przez cały ten czas życie na ulicy toczyło się nieprzerwanie.

Odjeżdżaliśmy, zostawiając za plecami zabytkowe miasteczko przylepione do zbocza góry. Ze szczytu, jakby ściętego wielkim nożem, dominowały nad doliną gigantyczne zielone kule radarów.

Żeby spokojnie porozmawiać z działaczami PKK, będę musiała przejechać granicę: po dwóch dniach drogi w stolicy Kurdystanu irackiego odnajdę sztab Kurdyjskiej Partii Pracy. Tu wreszcie nie są ścigani, ale ich status jest niejasny.

Kilku kolejnych łączników doprowadza mnie do domu w willowej dzielnicy Ankaua w Erbil. Na ścianach czerwone flagi z gwiazdą, portrety wodza i bohaterów. Służący dyskretnie wnosi cenną coca-colę i słodkie winogrona. Hassan (pseudonim konspiracyjny) wyklada:

– Rząd turecki stosuje wciąż te same metody: deportacje i skrytobójstwo. Kiedy do kina idzie grupa młodych ludzi, jest rozpędzana jako nielegalna demonstracja. Straszą nas, terroryzują już jako dzieci.

– To o was mówią „terrorysty”.

Do rozmowy wtrąca się Mitan:

– Każdą rewolucję burżuazja nazywała terroryzmem. Wojna partyzancka bez poparcia ludności nie miałaby szans.

– Ludzie się was boją.

– To bzdura! A te tłumy, które wychodzą na ulicę (ma na myśli demonstracje Kurdów w Europie) i krzyczą „Apo – wódz”? Nie jesteśmy terrorystami, lecz partią mas.

Dziwnie brzmi, kiedy Mitan mówi „Apo – Führer”. Ten młody człowiek w stalowoszarym uniformie bez dystynkcji również do swego kurdyjskiego towarzysza zwraca się po niemiecku. Po jedenastu latach w Niemczech to jedyny język, jaki zna dobrze.

– Musimy stworzyć socjalistycznego człowieka. Moim wzorem literackim jest *Jak hartowała się stal* Ostrowskiego. Spotkałem w Niemczech Polaków, pracowali jak idioci, nie mieli socjalistycznego charakteru. Zerwali nasz strajk. Nie rozumieli, że robotnicy powinni trzymać się razem przeciw pracodawcy. Nie mieli w Polsce dzinsów i coca-coli, więc mówili, że socjalizm nic nie jest wart.

Zapala się, oczy mu błyszczą. Kiedy wieczorem odwozi nas rozłożystym

oldsmobilem (15 tysięcy marek – zauważa z dumą), jeszcze peroruje, nie sposób mu przerwać:

– Armia Czerwona zwyciężyła Niemców dla Polaków, Czechów, Węgrów. Polacy nie przelali krwi w walkach przeciwko Niemcom. Bez rosyjskiej armii do tej pory w Polsce byłiby Niemcy.

– Skąd znasz historię Polski?

– Czytałem powieść *Woda i stal*, o rewolucji i wojnie w Polsce. To samo wschodni Niemcy, dostali Berlin w prezencie, nie przelali kropli krwi. Dlatego nie mogą zrozumieć, co znaczy komunizm. Dla nas komunizm jest jak złoto i kryształowe wazy. W Warszawie to wszystko zostało postawione gdzieś w kartonach, w kącie. Ludziom pokazano tombak.

– Powołujecie się na skompromitowaną ideologię marksistowsko-leninowską.

– Siedemdziesiąt lat socjalizmu to za krótko, by go oceniać. To była faza barbarzyńska socjalizmu. Przykład Rosji, Chin i Europy Wschodniej nie jest dobry. Kapitalizm niczego nie załatwił. Nie mamy innego wyboru jak socjalizm. Dopasujemy te idee do naszego środowiska. Religia nie będzie zabroniona.

Pokazuje na ścianie fotomontaż: portret dostojnika religijnego na tle czerwonej gwiazdy. – Mollah Abdulla był szechem, żył sto dwadzieścia lat, przez dwa lata był w naszym obozie w Libanie.

Pytam o zdjęcie obok: wśród kwiatów portret dziewczyny z karabinem.

– Zginęła w zeszłym roku w walkach Kurdów przeciw Kurdom. Otoczona przez Turków i peszmergów wystrzeliła ostatni nabój i rzuciła się ze skały.

Dziewczyna w dopasowanym mundurze jest tak inna od kobiet kurdyjskich, które, poowijane w kolorowe szaty, przez całe życie nie zdejmują z głowy chusty, dźwigają na plecach dzbany, zawsze otoczone chmarą dzieci, zawsze w swoim, oddzielnym od mężczyzn świecie.

– Kobiety traktowane są tu jak zwierzęta. Dzięki naszej ideologii mogą czuć się ludźmi, choćby nawet w tureckim więzieniu – przekonuje Mitan.

Przypominam sobie słowa prof. Michaiła Łazariewa, kurdologa z moskiewskiej Akademii Nauk, którego spotkałam w Kurdystanie: – Ludzie z PKK przesiąknięci są demagogią. Są na etapie wulgarnego rewolucjonizmu, ale w Turcji nie ma sytuacji rewolucyjnej. Za bardzo się spieszą. Zachód nigdy nie pójdzie na rozpad Turcji.

Do bratobójczych starć między tureckimi a irackimi Kurdami doszło jesienią 1992 roku. Po wojnie w Zatoce Perskiej powstało kurdyjskie minipaństwo – Kurdystan. Istnieje do dziś tylko dzięki pomocy humanitarnej i półoficjalnej kontrabandzie. Jedyne szlaki lądowe wiedzie przez Turcję.

Gnębieni przez Turków partyzanci z PKK przeszli przez granicę „do swoich” i utworzyli w irackim Kurdystanie bazy. Turcja natychmiast zaczęła bombardować

przygraniczne tereny. I wtedy, by ratować własną skórę, otworzyli do nich ogień ich rodacy z Iraku.

Partyzanci z Turcji przeszli z górskiej strefy przygranicznej aż pod irańską granicę. Są tam nadal. Około tysiąca żołnierzy szkoli się w obozie w Zale, pod dowództwem brata „Apo” – Abdullaha Odzalana. Nie mają prawa do poruszania się po Kurdystanie, nie wolno im opuszczać obozu. Taka w każdym razie jest wersja oficjalna. Nieoficjalnie dowiedziałam się, że szkolenie w Zale trwa siedem tygodni, potem bojownicy przekraczają granicę, gotowi do walki z Turkami. Rannych przenosi się z powrotem przez góry do kurdyjskich szpitali.

– Iraccy Kurdowie nie akceptują PKK – mówię Mitanowi.

– Kto tak powiedział? Politycy muszą trzymać linię. My mamy poparcie w masach.

I tureccy, i iraccy Kurdowie tłumaczą kurdyjsko-kurdyjską wojnę interesami ościennych państw. Tych samych.

– Kurdowie z PKK atakowali nas z baz w Syrii, broń mieli z Iranu – mówił mi przewodniczący kurdyjskiego parlamentu Dżochar Namyk. – A przecież władze Syrii i Iranu, podobnie jak Iraku, tępią swoich Kurdów. Czemu więc pomagają PKK? Bo się boją naszej demokracji. Dajemy niebezpieczny przykład w tej strefie. Te mocarstwa musiały stworzyć PKK, by robić ich rękami brudną robotę.

W pałacu Dżochara Namyka rozmawiałam też z jego bratem. Po wykwintnej kolacji spacerowaliśmy po ogrodzie. Między drzewami śmigały sarenki.

– My nigdy nie użylibyśmy terrorystycznych metod PKK. Zna pani ich hasło? „Musicie zabić ich i ich dzieci”. – Burhan Dżaf mówi świetną angielszczyzną. Nim wyemigrował do Anglii, gdzie pracuje jako dziennikarz, walczył w irackich górach jako partyzant. – Nie żądamy niepodległości, jesteśmy realistami. Widzimy naszą przyszłość w Iraku. I nie lubimy marksistowskiej demagogii PKK. W Kurdystanie jest nędza. Ale tych pałaców – zatoczył ręką koło – nie da się zjeść.

– Skąd macie pieniądze? – pytam działaczy PKK w tajnej bazie na terenie Iraku.

– Nie dostajemy ani feniga od żadnej organizacji, państwa, Kościoła. Siedemset tysięcy Kurdów mieszka w Niemczech. 80 procent mas kurdyjskich na emigracji popiera PKK.

– Słyszałam, że zmuszacie ich do płacenia.

– To turecka propaganda, kłamstwa tych, którzy masakrują naszych ludzi, gwałcą nasze kobiety.

– Skąd macie broń?

– Broń jest wszędzie. Za pieniądze można mieć wszystko.

Z wiarygodnych źródeł dowiedziałam się, że w jednym regionie, gdzie działa pięć tysięcy partyzantów, budżet PKK wynosi 5 miliardów lirów tureckich, czyli prawie pół miliona dolarów. Łożą na partię nie tylko emigranci, ale też lokalni bogacze, którzy na

wszelki wypadek płacą i tureckiej armii, i PKK.

– Kto was wesprze? Imperia komunistyczne runęły.

– Musimy liczyć na siebie samych. Kapłani w meczetach, robotnicy w fabrykach mobilizują masy. Odłamki wybuchu u nas polecą na całą Europę.

Profesor Michaił Łazariew: – Oni są moralnie czysti, nie piją, nie palą, nie tykają dziewczyn. Tam żołnierki umierają jako dziewice. PKK obudziło narodowe uczucia w ciemnym narodzie. Ale Kurdowie nie są gotowi do założenia samodzielnego państwa. Jedynym rozwiązaniem jest federacja z Turcją i autonomia dla Kurdów. Powinni łączyć się wokół najsilniejszych ugrupowań demokratycznych, jak Kurdowie iraccy. PKK wybrała metodę bolesnych, terrorystycznych ukłuc. To tylko wzmocni szowinistyczne siły tureckie.

Ideolodzy PKK odesłali mnie ze swojej siedziby w Iraku z powrotem do Turcji:

– Dziennikarze powinni być na froncie. Musi zginąć was kilku, jak w Wietnamie, by świat się dowiedział o naszej wojnie.

Do Diyarbakir, stolicy tureckiego Kurdystanu, wjechaliśmy 16 sierpnia, nazajutrz po obchodach ósmej rocznicy powstania PKK. Dopiero docierały informacje z różnych miast – Malazgirt, Edgir, Botan: helikoptery i czołgi otworzyły ogień do pochodu wieśniaków, kilkudziesięciu zabitych, setki rannych; w większości miast sklepikarze nie podnieśli żaluzji; na wezwanie PKK do strajku generalnego odpowiedziała ludność Batman, Szanziman, Mardin.

Władze podały, że „od 13 do 16 sierpnia w wyniku operacji wojskowych zginęło 300 rebeliantów”. PKK twierdzi, że straciła siedmiu ludzi.

W Diyarbakir nad wschodnią częścią miasta góruje nowoczesny hotel – dziś kwatera wojsk tureckich. Taras na wysokości drugiego piętra obłożono workami z piaskiem. Stąd można ostrzeliwać główną handlową ulicę i szosę wylotową. Utknęliśmy w korku, między żandarmami a handlarzami owoców pchającymi swoje drewniane dwukółki. Z tyłu i z przodu wojskowe jeepy wypełnione żołnierzami. Każdy z nich wystawiał lufę karabinu w inną stronę. Ten o dwa metry przed nami celował prosto w nasze kaski. Kamienna, nienawistna twarz.

Żołnierze tureccy, zawsze z tym samym wyrazem twarzy, bez cienia zawadiackiego uśmiechu, tak typowego dla wojaków w różnych stronach świata, bez odrobiny tej ciekawości, jaką mundurowi okazują zwykle przybyszom z zagranicy. Zawsze skupieni, z ręką na karabinie. Nawet wyskakując z gazika po papierosy, osłaniali się nawzajem.

W czasie tygodniowego pobytu w tureckim Kurdystanie nie spotkaliśmy ani jednego zagranicznego dziennikarza. W okolicy, gdzie wojsko spacyfikowało niedawno kilka wiosek, nie było nawet miejscowych dziennikarzy.

Im bliżej podnóża gór, tym więcej posterunków wojskowych, z czołgiem stojącym przy drodze. I tym więcej ludzi, którzy na dźwięk nazw spacyfikowanych wsi kiwają głowami w milczeniu.

Zatrzymali nas przy wjeździe do Peczar, po turecku – Guldiken (władze zmieniły kurdyjskie nazwy, potem teoretycznie przywróciły, ale wojskowi uznają tylko nazwy tureckie):

– *Dur!* (stop) – pierwsze tureckie słowo, jakiego się nauczyłam. Nie pomogły pertraktacje z dowódcą w pobliskiej strażnicy.

– Operacja trwa – uciął, pokazując kolegom jak najlepszy żart nasze akredytacje, wydane przez jakieś ważne ministerstwo w Ankarze. Wypatrzył mi przez ramię w notesie nazwę prokurdyjskiej gazety „Özgür Gündem”, próbował zabrać notatki, szarpałam się z nim i to go rozwścieczyło. Wyrzucił nas i postraszył żołnierzami. Ale ci nie ruszyli się za nami, bo najwyraźniej niechętnie wychodzili poza murek strażnicy.

Przy górskiej drodze chłopci ładowali na ciężarówkę świeżo ścięte drzewa. Wojsko systematycznie każe wycinać lub palić każdy skrawek lasu, by nie dawał schronienia partyzantom. I tak prawie nagie zbocza zmieniają się w kamienną pustynię. Jeden z chłopów był z Peczar.

– Mój dom spalili żołnierze. – Wyciągnął zapalniczkę, by pokazać, jak podpalali rozlaną benzynę.

– Kazali się zabierać, żeby nikt we wsi nie został i nie dawał jeść partyzantom.

Opowiadał też, jak ci z PKK schodzą nocą z gór, zbierają chłopów w meczecie i tłumaczą, o co walczą.

W drodze powrotnej do Diyarbakir widzimy z szosy chmurę dymu i kurzu unoszącą się z pagórka. Skręcamy. Polnymi drogami dojeżdżamy do jakiejś wioski. Grupki ludzi stoją przed chałupami z górskich kamieni. Boją się do nas podejść. Kamienną ścieżką nie dało się jechać, zsiadliśmy z motoru. Niedaleko zaszliśmy: otoczyli nas żołnierze. Pod lufami doprowadzili do dowództwa. – Kto wam powiedział o operacji? – pytali.

Najwyraźniej robili okrążenie wioski. Weszliśmy im w paradę. Nie mogli nas nawet przesłuchać, mówili tylko po turecku. Coś krzyczeli do telefonu, literowali nasze nazwiska. Dopytywali się, czy nie sfotografowaliśmy ich pozycji, ale filmów nie zabierali. Wreszcie dostali rozkaz: wypuścić i odesłać do miasta.

– *Au* – poprosiłam w najbliższej chałupie. Kobieta z wahaniem wyniosła dzban lodowatej wody. Chyłkiem zaczęli schodzić się ludzie. Dzieci wypchnęły do przodu malca z opuchniętą twarzą, pokazując, że żołnierze biją. Ledwie jednak wyjęłam notes, żołnierze (widać szli za nami) w kilku skokach otoczyli teren. Ustawili się w sześciobok, z podniesionymi karabinami, w półbrocie, by nie tracić z oka całego placu. Ludzie czmychnęli w okamgnieniu.

Wracając do Diyarbakir, mijaliśmy coraz więcej traktorów obładowanych stojącymi ludźmi i dobytkiem: materace, pościel, czasem koza.

Pokazano mi dom, w którym mieszkają uchodźcy z pacyfikowanych wsi. Kobiety, siedząc w kucki na piętach, tak jak nie potrafią siedzieć Europejczycy, pieką bakłazany.

Palenisko tuż obok rynsztoka. Kanalizacji nie ma. Mimo to jest czysto.

– Boją się rozmawiać, stracili członków rodziny – wyjaśniał zakłopotany tłumacz. Powiedzieli mu, że nikogo nie ma, ale w drzwiach widać poustawiane parami buty (w domu chodzi się boso).

W końcu jeden zdecydował się na rozmowę.

– Partyzanci przychodzili nocą, byli z naszej wsi. Mułła doniósł wojsku. Wojsko zaczęło bombardować. Artyleria strzelała po domach. Wtedy partyzanci zburzyli szkołę i położyli miny na moście. Zginął major, dwóch kapitanów, dwudziestu żołnierzy i mułła. Od tej pory wojsko nie dojeżdża drogą, tylko atakuje z powietrza. We wsi zostali starcy, młodzi z dziećmi uciekli do Syrii. One też zostaną bojownikami PKK – kończy.

Próbuję sobie wyobrazić, jak uciekali. Widziałam tę granicę: kilometrami ciągnie się pas zaoranej ziemi, ogrodzonej podwójnymi zaskakami z drutów kolczastych, na betonowych słupach. Co 500 metrów strażnica z uzbrojonym żołnierzem.

– A jeśli nie dalibyście partyzantom jedzenia, to co? – pytam drugiego, który przysłuchuje się w drzwiach.

– Siłą nie biorą. Oni mogą przez tydzień nie jeść. Tylko uprzedzają, że jak do wsi przyjdzie armia, to nie pomogą.

– Wojsko robi prowokacje – dorzuca trzeci. – Przebierają się za PKK i żądają jedzenia. Jeśli ludzie dadzą – śmierć. Jeśli nie dadzą – też śmierć. I potem mówią, że to PKK zabija.

W centrum prasowym prefektury w Diyarbakir cała ściana obwieszona fotografiami ofiar: śpiące dzieci zabite w łóżku przez granat, dziecko z pokiereszowaną twarzą...

– To wszystko robota PKK – powtarza funkcjonariusz. – Ich specjalność to dzieci!

Wypytywałam o pacyfikację wsi Peczar, o operację w rejonie Lidże.

– Nie było i nie ma żadnej operacji. – Funkcjonariusze w cywilu patrzyli po sobie rozbawieni.

W lokalu tamtejszej organizacji Obrony Praw Człowieka na ścianach też wiszą fotografie zabitych. Ciało Mehmeta Akkana, pasterza ze wsi Kurszunlu, ze śladami tortur, w otoczeniu rodziny. Chłopi pokazują nad trupem znak zwycięstwa.

– Łamanie praw człowieka przez PKK jest nieporównywalnie mniejsze niż to, czego dopuszcza się państwo – mówi Meral Danysz, adwokat działająca w Organizacji Praw Człowieka. – Ludzi wspomagających PKK poddaje się torturom.

– Państwo próbuje wyludnić cały ten region – wtrąca Abdullah Koc, też prawnik. –

Od 1990 roku zniszczono ponad sześćset wsi kurdyjskich. Uciekinierzy chronią się w miastach. Tu, w Diyarbakir, dziesięć lat temu było 250 tysięcy ludzi, dziś gnieździ się milion. PKK broni tych ludzi. Państwo zaś działa w myśl zasady: „Jeśli nie możesz złowić ryby, musisz opróżnić jezioro”.

– Staramy się prowadzić śledztwa – wyjaśnia Abdullah. – Ostatnio w Bakczesaraj zabito dwadzieścia trzy osoby, w tym czternaścioro dzieci. Jeden mężczyzna uratował się i powiedział przed kamerami, że to PKK. Myśmy do niego dotarli. Oto zapis jego słów – Abdullah wyjmując notatki – „Siedmiu cywilów przyszło z krótkofalówkami. Wepchnęli nas do namiotu i zaczęli strzelać. PKK od nas dostaje jedzenie, tylko na nas się opiera: czemu mieliby do nas strzelać?”.

– Ale z ręki partyzantów giną cywile – powtarzam zarzuty.

– Oni prowadzą tylko akcję przeciw kolaborantom, szpiegom i donosicielom. Jak wrzucają takiemu bombę przez okno, dziecko też się trafi.

– Wiosną PKK ogłosiła jednostronne zawieszenie broni – przypomina Abdullah. – W ciągu dwóch miesięcy wojsko zastrzeliło sto pięć osób i zniszczyło czterdzieści wsi. Dlatego partyzanci znów zaczęli walczyć. Czy państwo musi zabić moje dziecko, żebym poczuł się Kurdem? To państwo jako silniejszy musi zdecydować o zakończeniu konfliktu zbrojnego. Ale do tej pory Ankara ma tylko jedno rozwiązanie: przemoc. Głosi: „najpierw zniszczymy terrorystów, a dopiero potem będą rozmowy”. PKK to nie terroryści, to dzieci narodu, wojownicy wolności.

Pani Meral pokazuje mi dużą fotografię: – To Vedat Aydin, szef naszej organizacji, zabity w 1991 roku. Giną też dziennikarze, w ciągu roku dziewięciu z prokurdyjskiego „Özgür Gündem”.

Przed zmierzchem zatłoczony pokoik nagle opustoszał. Ten sam nerwowy pośpiech widziałam następnego dnia w redakcji „Özgür Gündem”. Nie ma godziny policyjnej, ale żaden z działaczy nie odważy się chodzić po ulicy po zmroku.

Burchan Erdem przyjechał do redakcji „Özgür Gündem” w miasteczku Cizre na miejsce kolegi aresztowanego za tekst o zamordowaniu przez wojsko dwóch kierowców TIR-ów. Burchan pokazuje mi zdjęcie spalonych ciężarówek na pierwszej stronie gazety. Są też doniesienia o ataku policji na hotel w Cizre. Jest nawet wywiad z przywódcą PKK Odzalanem „Apo” (autor wywiadu jest już ścigany przez prawo, a Yasara Kaya, właściciela gazety i przywódcę Partii Demokratycznej w jednej osobie, aresztowano i ma stanąć przed sądem 14 października pod zarzutem „rozpowszechniania oświadczeń terrorystów”).

– Mogą mnie aresztować, ale nie mogą mnie trzymać dłużej niż miesiąc – mówi Burchan. – Nie jestem członkiem PKK, nie boję się sądu, boję się legalnych faszystowskich organizacji tureckich, jak na przykład Szare Wilki – wyjaśnia. – Ich bojówki używają tylko jednej kuli: w potylicę. Dlatego ciągle oglądam się za siebie – śmieje się.

Jeszcze przed godziną złościłam się, że nerwowo wypraszał mnie z redakcji, że po pięciu minutach spaceru główną ulicą Cizre, kiedy zapadał rudy zmierzch i w opustoszałą ulicę wjechał, dudniąc z daleka, pierwszy czołg, nalegał, by iść do hotelu. I siedzieć w głównym hallu, w pełnym świetle. Do tego mówił ciągle za cicho

i za szybko, czasem rzucał ukradkiem spojrzenie na boki. A teraz i ja zaczęłam odwracać się za każdym razem, gdy pod hotel podjeżdżał jakiś samochód.

– To tak łatwo zabić kogoś tutaj. – W jego tonie słychać chyba przede wszystkim żal. – Nie możesz być normalny... My jesteśmy jak żołnierze w Wietnamie: *lost generation*. Nie chciałem tu być, w tej wojnie! Ja nawet nie widziałem *Robin Hooda* – buntuje się. O wyjeździe do Europy nie ma mowy: od trzech lat, od kiedy pracuje w prokurdyjskiej gazecie, nie dostaje paszportu. Burchan ma 22 lata i siwe skronie.

– Nie jestem odważny. Staram się być ostrożny. Znam swoje miejsce i ich siłę.

– Tajne bojówki prawdopodobnie współpracują z ministerstwem obrony narodowej – opowiada Abdullah. – Przychodzą w biały dzień, zabijają strzałem w tył głowy. Jak tego sklepikarza. – Pokazuje zdjęcie na czołówce gazety: mężczyzna ze strużką krwi na karku. – Weszli do sklepu tu, w centrum miasta. W ciągu dwóch ostatnich tygodni z rąk nieznanymi sprawców zginęło piętnaście osób, w tym roku 160 osób, w zeszłym 384... Żadnego mordercy nie znaleźli, nie było ani jednego procesu. Próbujemy wyciągnąć ten państwowy terror na światło dzienne.

Nad Organizacją Praw Człowieka, w tej samej kamienicy przy jednej z głównych ulic Diyarbakir, jest lokal Partii Demokratycznej podejrzewanej o powiązania z PKK. Partia ma osiemnastu posłów w parlamencie. A raczej miała, gdy tam byłam.

Już w Polsce dowiedziałam się, że 4 września późnym popołudniem na zatłoczonej ulicy miasteczka Batman padły strzały. Mordercy – pewnie było ich czterech – zniknęli w tłumie. Na chodniku zostało dwanaście łusek kalibru 9 mm i dwa ciała. Jeden z zabitych – Mahmet Sincar – był posłem do parlamentu w Ankarze. Liczba posłów DEP zmalała do siedemnastu.

Zwłok Mahmeta pilnowała w kostnicy policja. Zabroniła pochodu żałobnego ulicami Ankary. Demokraci nie zgodzili się na ceremonię w gmachu parlamentu, gdzie, zgodnie z tradycją, trumna miałaby być przykryta flagą turecką. W końcu pogrzeb, nadzorowany przez oddziały żandarmerii, odbył się w rodzinnym miasteczku Mahmeta, ale bez udziału członków jego partii, a nawet rodziny, która też zbojkotowała uroczystość. Na koniec nieznanymi sprawcami obrzucili dom zastrzelonego demokraci granatami i ostrzelali z karabinów maszynowych. Bilans: pięć osób rannych, w tym dziecko.

Z ostatniej chwili:

Depesza agencyjna z typowego dnia: czternaście osób, w tym sześciu żołnierzy i czterech policjantów, zginęło w prowincji Hakkari. Czterech żołnierzy zginęło w zasadzce zastawionej przez PKK w prowincji Bingol. PKK zaatakowała posterunek w okolicy Lidze, zabijając dwóch żołnierzy. Trzech policjantów zginęło w starciu z PKK w prowincji Van. Policjant i dwóch członków PKK zginęli w starciu w mieście Cizre. PKK otworzyła ogień na wiejski autobus, zabijając dwóch pasażerów.

Depesza z Kolonii: osiemdziesiąt Kurdyjek prowadzi od 1 września głódówkę,

żądając embarga ekonomicznego przeciw Turcji i wstrzymania dostaw broni, która używana jest przeciw ludności kurdyjskiej. Przed rokiem Niemcy postanowiły wstrzymać pomoc wojskową dla Ankary, dokąd od 1969 roku wysyłano sprzęt wojskowy w ramach porozumienia NATO. Gdy jednak rząd turecki zapewnił, że nie będzie używał tej broni przeciw kurdyjskiej mniejszości, Bonn wznowiło dostawy.

Kurdyjskie kobiety postanowiły głodować aż do śmierci.

AKCJA PKK W EUROPIE: 24 czerwca 1993 roku Kurdowie zaatakowali tureckie placówki dyplomatyczne oraz przedstawicielstwa handlowe i lotnicze w Niemczech, Francji, Szwajcarii, Szwecji, Danii i Anglii. Chcieli, żeby świat mówił o ich walce. Młotkami tłukli szyby, brali zakładników (wypuścili ich po kilku godzinach). Jediną ofiarą był Kurd zastrzelony przez tureckiego dyplomatę z okna ambasady.

Turcja, Irak, sierpień 1993 roku

Kurdowie na uwięzi

Sokół siedział na poręczy żelaznego łóżka, przywiązany za nogę sznurkiem. Łóżko stało przy szosie. „Wolny Kurdystan wita”.

Wystarczy trochę wody, a zakwita ogród, w którym tutejsi zwykli trzymać zwierzyne – znak szczęścia i dobrobytu. O dzień drogi stąd, gdzie się zbiega Tygrys z Eufratem, leży biblijny raj. Ale drogi nie ma.

A raczej urywa się, nie wiadomo dokładnie gdzie. Na rozstaju dróg lepiej zaczekać na miejscowych kierowców, żeby nie skręcić w złą stronę, bo to może kosztować życie. Mówi się, że Saddam Husajn wyznaczył siedem tysięcy dolarów nagrody za głowę cudzoziemca złapanego albo zastrzelonego na terenie irackiego Kurdystanu. Trzeba więc trzymać się górskich dróg, żeby nie wpaść na szosę do Mosulu, gdzie stacjonują żołnierze Saddama.

Wjeżdżamy jedynym legalnym przejściem granicznym, od strony Turcji: na posterunku transparent „Wolny Kurdystan wita”. Wszystko jest czarne od nafty: usmarowani chłopcy w usmarowanych ubraniach, przesiąknięta naftą ziemia, zatłuszczone plastikowe kanistry i lejki.

Przez kilka kilometrów ciągną się prowizoryczne stacyjki benzynowe: daszek z liści, taboret.

Paliwo z przemytu nalewa się ręcznie. Czasem podjeżdża cysterna, z której hurtownik rozlewa czarną ciecz do pięciolitrowych baniek. Czasem taka cysterna wybucha i płonie długo smolistym płomieniem. Może dlatego sokół na łóżku miał osmalone skrzydło.

Najbogatszy zakątek świata. Tu pod ziemią płynie „czarne złoto”, a ziemia rodzi

kilka razy w roku. O żyzną Mezopotamię bili się ludzie przez tysiąclecia. Tu ścierają się światy: arabski, perski, turecki. Na roponośnych polach, w dorzeczu wielkich rzek żyje dumny naród – Kurdowie. Już tysiąc lat temu mieli swoją literaturę, wielkich wodzów i arystokrację. Mają swój język i wojowników, nie mają swojego kraju. Jeśli nie liczyć tego dziwnego państewka na ziemiach wyrwanych Husajnowi dwa lata temu przez partyzantów kurdyjskich.

O dzień wyboistej drogi od granicy turecko-irackiej, o cztery tysiące kilometrów od Warszawy leży Irbil, stolica Wolnego Kurdystanu.

– Płakałem – wyznaje Burchan Dżaf, dziennikarz BBC, pierwszy raz po dziesięciu latach w kraju.

Powracający z uchodźstwa przywożą z Europy nową kulturę polityczną – demokrację. W tej części świata od wieków załatwiano się polityczne porachunki podrzynaniem gardeł.

Przed pierwszym zjazdem Demokratycznej Partii Kurdystanu w mieście pojawiły się transparenty o demokracji i jedności. O suwerenności – ani słowa. Dlaczego? Bo politycy w Wolnym Kurdystanie są realistami.

– Jesteśmy częścią Iraku – mówi mi niekoronowany przywódca Kurdów, syn legendarnego wodza powstań, Masud Barzani. – Nie domagamy się uznania naszego państwa.

W Wolnym Kurdystanie żyje dziś 3,5 miliona Kurdów tylko dzięki protektoratowi Rady Bezpieczeństwa i kurczącej się pomocy humanitarnej. Sąsiednie państwa – Turcja i Iran – robią zbrojne rajdy w głąb Kurdystanu w pościgu za buntującymi się „swoimi Kurdami”, którzy mają tu swoje bazy. Cała ta nieszczelna granica może w każdej chwili stać się linią frontu.

– Nasza demokracja jest solą w oku mocarstw w tym regionie – mówią politycy w Irbilu. – Dajemy niebezpieczny przykład.

– W zeszłym roku bombardowali nas Turcy, teraz Iran. Gdzie jest parasol ochronny ONZ? – pyta Dżochar Namyk, przewodniczący parlamentu.

– Niepodległe państwo? To piękny sen – tłumaczy.

Na każdym skrzyżowaniu w Irbilu stoją jeepy z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału. Nawet najwięksi demokraci pod tradycyjnymi kurdyjskimi bluzami noszą rewolwery. W pałacu przewodniczącego parlamentu, strzeżonym przez mury i wojsko, w ogrodzie śmigają sarenki, ale w wytwornej jadalni na rzeźbionym krześle leży karabin maszynowy.

– Dlaczego wszyscy chodzą pod bronią? – pytam. – Przecież jesteście u siebie.

Uśmiechają się grzecznie. Nie chcą straszyć rzadkich zagranicznych gości. Policja dyskretnie rozbraja samochód pułapkę z dynamitem zaparkowany pod naszym hotelem.

– Agenci Saddama są wszędzie – tłumaczy.

Ale to nie jest cała prawda. Po latach wojny domowej jest tu więcej mężczyzn z bronią niż bez. Wszystkie partie zachowały swoje oddziały, choć część z nich przeszła do wspólnej armii. Jeszcze niedawno partyzanci dwóch największych wodzów – Barzaniego i jego rywala Talabaniego – strzelali do siebie.

W czerwcu w Dahuk „nieznani sprawcy” zastrzelili przywódcę Partii Proletariatu. W domu jego brata w Zachu mężczyźni oględnie dawali mi do zrozumienia, że o mord podejrzewają jedną z partii u władzy. Milczące kobiety siedziały w żałobie – szafir i seledyn.

Działacze z Komunistycznej Partii Iraku (tu mają główną bazę, ale ich podziemie działa na terenie Iraku) opowiadali mi, jak ich towarzysz zginął w rządowym więzieniu.

Labid Abbawa z Komitetu Centralnego nie ma złudzeń co do tutejszej demokracji. Uważa, że wybory, które w maju '92 podzieliły władzę równo między dwie partie Barzaniego i Talabaniego, były sfałszowane.

– Kto oddał głos, maczał palec w atramencie na znak, że już głosował, a potem zmywał acetonem i jeszcze raz...

Przed siedzibą Komunistycznej Partii Iraku stoją CKM-y. Za to na błękitnych ścianach namalowano łabędzie i białego konia.

W Wolnym Kurdystanie ma swoją siedzibę Narodowy Kongres Iracki, koalicja irackich partii opozycyjnych. Wszyscy tu wiedzą, że nie będzie Kurdów ani Kurdystanu, dopóki w Bagdadzie panuje krwawy dyktator.

Ludzie mówią o nim po prostu: Saddam. Szesnastego marca 1988 r. nad miastem Halabdzia samoloty irackie zostawiły za sobą ciężkie, żółte chmury. Jednego dnia pięć tysięcy osób otruto gazem musztardowym. Rany tych nielicznych, którzy przeżyli, ropieją do dziś.

To było w Paryżu, na spotkaniu laureatów pokojowej Nagrody Nobla. Na przyjęciu u premiera Francji Laurenta Fabiusa, w zgiełku bankietu, brodaty Kurd podszedł do siwego pana. Wtedy pierwszy raz dowiedziałam się o tragedii Kurdów. Ten zatrzymał się i długo rozmawiał tylko z Kurdem, nie bacząc na tumult dziennikarzy i osobistości politycznych, które przyszły zobaczyć wielkiego gościa.

To był Andriej Sacharow. Pytał o szczegóły: jaki gaz, ile ofiar... Stali samotni w rzece ludzi zajętych zupełnie innymi sprawami.

Anfal dla Kurdów znaczy to, co dla Żydów Szoah. Po wojnie z Iranem Husajn postanowił rozwiązać kwestię kurdyjską masowymi deportacjami i egzekucjami. Nazwał to „wojną przeciwko niewiernym”. Dlaczego „niewiernym”, skoro Kurdowie też są muzułmanami – nie starał się tłumaczyć. Dwieście tysięcy ludzi zginęło bez wieści.

Kierowca żołnierz wiezie mnie aleją ruin, naprzeciwko parlamentu w Irbilu. Cmentarzysko betonowych kikutów ciągnie się przez kilka kilometrów. Tu były

największe irackie koszary.

Na prawo – cmentarzysko wojskowych pojazdów: piaskowo-brunatne wozy pancerne, ciężarówki (enerdowskie IFY) i czołgi. Zostały z nich same skorupy. Ale zawsze jeszcze coś da się wygrzebać: mężczyzna z łomem przyszedł do pracy z synkiem. Dziecko bawi się niewypałem od granatnika.

Na lewo – łukiem, jak pół stadionu, usypana ściana z ziemi. Ludzi spędzano tu, żeby patrzyli na egzekucje.

Dalej zaczynają się cmentarze.

Ludzkie kości są duże.

Groby kopano płytko, byle jak. Zwłoki wkładano niedbale do skrzyni.

– W ubraniu – mówił z oburzeniem mój przewodnik, wyciągając brunatną szmatę z rozkopanego przez jakąś komisję grobu. To tak, jakby u nas pochowano kogoś nago. Do skrzyni wrzucano deseczkę z nazwiskiem i numerem identyfikacyjnym. Tu chowano rozstrzelanych dezertersów – którzy nie chcieli iść na iracką wojnę z Iranem.

Kawałek dalej nasyp z twardego piachu i kamyków: znów ściana straceń. Jak podłubać, wypadają pociski.

Parę kroków dalej wzgórze porośnięte żółtymi ostami. Gdzie nie zarosło, wystają blaszane tabliczki z arabskimi literami.

– Dziewczyna. Miała szesnaście lat – czyta tłumacz. Kurdowie nie czczą długo swoich zmarłych. Zresztą więcej tu cmentarzy niż domów. Chłopi zostawili ten kawałek pola. Póki ktoś pamięta, nie będą tu orać.

Dwunastoletni Kurd przeżył swoją egzekucję. Rozmawiał z nim Kenan Makiya, Arab z Iraku. W książce o „Anfal” przytacza rozmowę z chłopcem. Do dołu spędzono kilkaset osób. Nikt nie protestował, żołnierze zabijali ich, strzelając całymi seriami. Ranny chłopak zdołał się wygrzebać.

– Chwyciłeś się żołnierza?

– Tak.

– Coś do niego powiedziałeś?

– Nic nie powiedziałem. Wziąłem go za rękę. Wtedy inny żołnierz zaczął na niego krzyczeć i kazał mu wrzucić mnie z powrotem do dołu.

– Patrzyłeś w jego twarz?

– Tak.

– Co widziałeś?

– Wyglądał, jakby mu się chciało płakać. Ale tamten na niego krzyczał, więc musiał z powrotem zepchnąć mnie do dołu.

– Strzelił do ciebie jeszcze raz?

– Tak. Tamten mu kazał. O, tu mnie trafił.

Pokazuje bliźnię w dole pleców. Druga kula, tak jak pierwsza, przeszła na wylot.

Pod Irbilem, 20 kilometrów od miasta, we wsi Kusz Tapa mieszkają cztery tysiące samotnych kobiet z dziećmi. Mówi się o nich „wdowy z gór”.

Ale one same wciąż czekają na mężów, którzy zginęli dziesięć lat temu. Ich wieś została w górach na północy, skąd władze irackie przegnały ich w 1974 roku, po powstaniu Kurdów pod wodzą starego Barzaniego. Przez pięć lat żyli w obozach na południu, by trafić tu, pod namioty.

Jednego dnia o świcie żołnierze Saddama Husajna zabrali wszystkich mężczyzn. Od tamtej pory w Kusz Tapa stanęły już parterowe domy z betonu.

Kobiety szyją ubrania w fabryce. Za 450 dinarów (15 dolarów) miesięcznie pracują od piątej do siedemnastej i czekają, aż dorośnie ich młodszy brat. Kiedy nie ma ojca, on może wyznaczyć im mężów, ale przedtem sam musi się ożenić. Takie prawo.

Ibrahima na razie nie stać na żonę. W Kusz Tapa, gdzie na jednego mężczyznę przypada kilkaset kobiet, cennik zapewne jest niższy niż zwyczajowo w tych regionach (mężczyzna musi uzbierać trzy do pięciu tysięcy dolarów, żeby założyć rodzinę). Ale Abdullah Ibrahim nie ma nawet pracy.

Hadzi Hidyk, jeden z dziesięciu mężczyzn, którym udało się ukryć w czasie tamtej łapanki, ma dwie żony. Inni mają po cztery kobiety – na tyle zezwala islam.

Jedzą to, co dostaną w sklepiku: dary z pomocy humanitarnej. Dziś właśnie w Kusz Tapa rozdzielają mąkę: 4,5 kilograma na rodzinę na trzy miesiące. Był też cukier: po pół kilo. Do następnego przydziału.

Ich ziemia została w górach, ta dookoła nie należy do nich, więc nie mogą nic zbierać. Na dokupienie nikogo nie stać: na bazarze kilo mąki kosztuje 10 dinarów. Wspominają, że za Saddama było lepiej. Za 2,5 dinara można było kupić worek mąki, a racje dostawali regularnie, co miesiąc, czasem nawet ryż.

Mówiąc o Saddamie, pokazują głową na południe – żołnierze iraccy są o sześć kilometrów stąd.

– Teraz jesteśmy wolni, ale głodni.

To samo mówią coraz głośniej politycy w Irbilu.

– Dzięki ONZ możemy istnieć, ale nie żyć samodzielnie. Moglibyśmy sami się wyżywić, gdybyśmy mieli kombajny, paliwo, transport – powiedział mi Barzani.

Żyją w Wolnym Kurdystanie na garnuszku Zachodu. A przecież w tym roku chłopci kurdyjscy zebrali 350 tysięcy ton zboża. Rząd chciał kupić od nich dwie trzecie zbiorów za obiecane pieniądze od Wspólnoty Europejskiej i instytucji ONZ-owskich, żeby rozdawać ludności. Ale cała pomoc humanitarna idzie przez Irak.

– Ze 120 milionów dolarów z Zachodu 119 zostaje w Bagdadzie – mówi doktor Kemal Kerkuki, wiceminister do spraw koordynacji pomocy humanitarnej. Koordynacja też jest, jego zdaniem, fikcją. – ONZ pomaga Saddamowi. Żywność i naftę

dla Kurdystanu organizacje humanitarne kupują od Saddama.

– Na cały Irbil przywieziono 15 milionów ton ropy, a potrzeba 74. Ludzie musieli wyrąbać drzewa w górach na opał.

Mzurki to jedna z wielu „wsi nowoczesnych”. Sześciiany z betonu, ustawione w równych odstępach: osiem domów z jednym oknem – przerwa, znów osiem domostw i przejście. Do takich kołchozów spędzał Saddam Kurdów z górskich wiosek, żeby oczyścić strefę przygraniczną i kontrolować wieśniaków, którzy dawali wsparcie partyzantom.

Kolektywizacja wsi zaczęła się w 1975 roku – wtedy telewizja pokazywała, jak prezydent w chłopskim odzieniu rozdawał wieśniakom telewizory – znak dobrobytu i cywilizacji w naftowym mocarstwie. Zaraz po reformie rolnej i nacjonalizacji pól naftowych największym osiągnięciem władz w Bagdadzie była elektryfikacja wsi. „Nowoczesna wieś” najeżona jest słupami, oplątana kablami. Latarnie zapalone przez całą noc pozwalały strażom bacznie obserwować mieszkańców z gigantycznej twierdzy panującej nad osiedlem.

Teraz strażnice są puste, a lampy nie świecą, bo nie ma prądu.

– *No kahraba, no au* – pokazują mi wieśniacy suche rury, którymi nie płynie już woda. We wsi nie ma studni ani potoku.

W regionie Dahuk 800 tysięcy ludzi zostało latem tego roku bez elektryczności. Dotychczas prąd płynął z Mosulu kontrolowanego przez wojska irackie. W połowie sierpnia tamci odcięli prąd.

– Robią wszystko, żeby pokazać ludziom, że tu nie da się żyć. Teraz znów zacznie się fala uchodźców; kto w naszych czasach umie żyć bez wody i prądu? Dokąd? Nie wiem, przez góry, do Iranu, do Turcji czy z powrotem do Iraku... Nie mamy gdzie uciekać – mówi tutejszy nauczyciel.

W 150-tysięcznym mieście Zachu całe życie skupia się teraz nad rzeką: tu się pierze, myje naczynia, kąpie się dzieciarnia (dziewczynki w sukienkach). Czasem płynie z prądem wiązka chrustu, którą spławiają chłopcy z gór, czasem martwa owca. Kobiety targają dzbany z wodą do picia. Zaczęły się biegunki.

Nawet w szpitalach nie ma prądu.

W domu dostojnika partyjnego, który mnie przyjął, służba (z karabinem) nosiła przede mną lampę naftową i dzban z wodą do wykładanej kafelkami łazienki. Po upalnym dniu gospodarz jeździł z obstawą na ekskluzywny basen za miasto, wyrąbany w skale, na pustkowiu. Gdy pływaliśmy w chłodnej wodzie górskiego strumienia (ja obowiązkowo w spodniach i koszuli), na brzegu spacerowali i kucali ciekawie wojownicy z karabinami. Było ich więcej niż pływających – na basen przyjeżdżają cudzoziemcy, a każdy z kilkoma ochroniarzami.

Kurdowie mogliby w każdej chwili rozpocząć wydobycie ropy naftowej, ale nie mają ani jednej rafinerii. Jako część Iraku podlegają embargu Rady Bezpieczeństwa

ONZ. Jako buntownicy są blokowani przez Bagdad.

W Kurdystanie stoi przemysł, bo nie ma energii elektrycznej. Paliwo na rynku pochodzi z przemytu. Szmuglerzy przywożą ropę z irackiej strony i sprzedają z pięćdziesięciokrotnym przebicciem. W drugą stronę handlarze wiozą owoce, zboże i skóry – wszystko za bezcen. Państwo kurdyjskie bierze cło od jednych i od drugich. Jest to jedyny dochód Wolnego Kurdystanu.

– Jestem ministrem podziemnej szmuglerskiej gospodarki – wyznał mi Amin Mauluc, minister przemysłu i energii. – Mieliśmy dużo propozycji z zagranicy, dużo obietnic, ale praktycznie skończyło się na niczym. Wszystko zależy od nafty, ale duże firmy tu nie przyjdą. Sytuacja jest zbyt niepewna.

Pieniądzy Kurdystan też nie ma. Przed konfliktem dinar był wart 3,5 dolara, teraz dolar to 35 dinarów. Do gwałtownej inflacji doszedł nowy chwyt Saddama: unieważnił banknoty 25-dinarowe i drukuje nowe na podłym papierze. Największe majątki kurdyjskie zmieniły się z dnia na dzień w kupki papieru. Ale i z tym Kurdowie jeszcze się nie pogodzili i trzymają je w oczekiwaniu na powrót starych, lepszych czasów. Kto nie może czekać, wymienia za bezcen, bo tylko za pogardzane dinary Saddama można coś kupić od przemytników. Na bazarach są całe uliczki „kantorów”: chłopcy z paczkami różnych banknotów wymieniają stare na nowe i – rzadziej – z powrotem.

– Jeśli Amerykanie są w stanie z całą precyzją zniszczyć iracką stację radarową, która namierzyła ich samoloty, to czyż nie mogą zmusić Saddama do podpisania każdej ugody? Dlaczego nie mogą znieść blokady wobec Kurdystanu? – pyta Labid Abbawa z Komunistycznej Partii Iraku. – Amerykanie nie kierują się miłością: tu w grę wchodzi interesy. Chcą, żeby ludzie tkwili w takiej nędzy, żeby byli skazani na ich pomoc. Przy pomocy kurdyjskich partii politycznych, które są w pełni uzależnione od Ameryki, mogą kontrolować rozwój sytuacji politycznej w Iraku, jednym z najbogatszych krajów świata.

Kurdowie świetnie wiedzą, że w dniu, kiedy Amerykanie się wycofają, grozi im kolejna zagłada. Są wdzięczni. Ale świetnie pamiętają, że przed dwoma laty Amerykanie pozwolili Saddamowi na użycie lotnictwa przeciwko powstańcom.

Sukces wojsk alianckich w operacji Pustynna Burza był dla nich sygnałem do walki. Ale rzekomo zdruzgotany Husajn mógł uderzyć w powstańców na północy i na południu kraju. Próba obalenia władzy Husajna została krwawo stłumiona. Milion Kurdów irackich umknęło do Iranu, pół miliona ruszyło przez góry do Turcji, gdzie zatrzymała ich armia Ankary. Dopiero międzynarodowa opinia zmusiła wojska sprzymierzonych do roztoczenia opieki nad obozami uciekinierów i do powstrzymania Husajna na 36. równoleżniku.

„Kurdowie nie mają przyjaciół” – mówi stare kurdyjskie przysłowie.

– Oba powstania, w kwietniu i w sierpniu 1991 roku, upadły na oczach Amerykanów – mówił minister spraw zagranicznych.

– Pozwolili Saddamowi na użycie helikopterów, bo bali się rozpadu Iraku.

– Dlaczego Amerykanie nie zniszczyli Saddama? Sam nie wiem. Panuje przekonanie, że Saddam jest przeciwwagą dla Iranu. Ale nie sądzę, by tym kierowali się Amerykanie. To nie jest już Iran lat osiemdziesiątych. Eksport rewolucji islamskiej się nie udał. Prezydent Bush drogo zapłacił za pozostawienie Saddama przy władzy. Może dlatego przegrał wybory?

Słyszałam też opinię, że nie byłoby wojny w Zatoce Perskiej, gdyby w tej części świata istniało państwo kurdyjskie, państwo, które mogło powstać po rebelii peszmergów w 1974 roku. Ale wtedy nie doszła obiecana amerykańska pomoc.

Tak samo zdradzili ich wtedy Irańczycy, wycofując wojska wspomagające powstańców kurdyjskich. Zostawili ich na pastwę Bagdadu, w zamian za co dostali od Irakijczyków prawa do żeglugi po Szat el-Arad.

Tak jak Stalin nie pomógł w 1946 roku swojemu sojusznikowi Muhammedowi Qazi stojącemu na czele kurdyjskiej Republiki Mahabadzkiej. Prezydent pierwszego kurdyjskiego państewka pisał wychwalające go wiersze i wierzył w poparcie Wielkiego Brata. Kiedy Sowietci dogadali się z Persami w kwestii pól naftowych, Qazi skończył na irańskiej szubienicy.

Tak jak Turcy zapomnieli o kurdyjskich bojownikach, którzy w latach dwudziestych wstawili się walecznością w tureckiej armii. Kurdyjski przywódca Chalid Beg przepowiedział wówczas: „Naostrzyliśmy miecz, który poderżnie nam gardła”. Rzeczywiście, kilka lat później stracono go w tureckim więzieniu.

Tak jak zapomniały o Kurdach władze brytyjskie w Iraku, które rozważały w latach dwudziestych ich autonomię.

Tak jak w Lozannie zapomniano o traktacie z Sèvres, który przyrzekał Kurdom oderwanie od Turcji.

Komu potrzebni są Kurdowie? W dorzeczu Tygrysu i Eufratu mogłoby kwitnąć kurdyjskie państwo, ale mocarstwa, które chcą kontrolować bogactwa tej ziemi, wolą utrzymywać tam wojowniczy, niepokorny naród, gotowy do walki.

Jak sokoła do polowania.

Turcja, Irak, sierpień 1993 roku

25 milionów Kurdów – żyjących w Turcji, Iraku, Iranie, Syrii i Azerbejdżanie – to największy naród bez państwa. Jeśli nie liczyć Wolnego Kurdystanu, powstałego w północnym Iraku po operacji Pustynna Burza. Wojska ONZ zatrzymały wówczas lotnictwo irackie na 36. równoleżniku, żeby osłonić dwa miliony Kurdów uciekających przed wojskami Saddama próbującymi napalmem stłumić kolejne kurdyjskie powstanie przeciwko Bagdadowi.

Po siedemdziesięciu latach powstań, na które mocarstwa tego regionu odpowiadały egzekucjami, deportacjami i masowym wychodźstwem, Kurdowie

stworzyli w strefie bezpieczeństwa załączek demokratycznej państwowości, nieuznawanej zresztą przez żadne państwo.

Do Iraku jeszcze pojedę: raz do kraju Saddama, drugi raz do kraju Saddama upolowanego. Czego myśmy tam szukali? Talibów? Broni chemicznej? Bo przecież nie o prawa człowieka chodziło czy o pokój dla Kurdów. Kiedy Saddam częstował Kurdów gazem musztardowym, Polacy spokojnie budowali mu autostrady. Reszta świata też się za bardzo dyktatorem nie brzydziła.

Mam w domu cegłę z Babilonu, skradzioną w kolebce cywilizacji pod okiem okupacyjnego wojska. Niby nie ja wyniosłam, niby podróbka, nic niewarta, a wstyd. Bo ukradziona. Bo okupacyjne wojsko. Bo za mało widziałam i za mało napisałam.

Czy wojna ma swój zapach? – zapytał mnie kiedyś Tomasz Raczek. To była taka mądra, miła rozmowa w telewizji i naszła mnie ochota, żeby zepsuć nastrój. Bo w tych dziennikarskich pytaniach o wojnę czuję jakieś zapotrzebowanie na romantyzm i piękno.

– Dla mnie wojna pachnie skwaśniałym ubraniem i butami. Niemytym ciałem. Śmiercią, która jeszcze się nie stała, ale jest bardzo blisko. Byłam w Kurdystanie. Postanowiłam dostać się do partyzantów, przeciw którym ta cała wojna, ta cała awantura. W telewizji pokazujemy tylko jedną stronę, bo pokazujemy to, co sfilmowała telewizja turecka. Strasznie mało wiadomo o tym, co dzieje się po drugiej stronie. Oni działają na terenach położonych na wysokości powyżej dwóch tysięcy metrów, w górach. W końcu mi się udało dostać do partyzantów. Bardzo trudno było nawiązać jakiś kontakt, bo to jest prawdziwa wojna i prawdziwa konspiracja. Wjechałam od strony irackiej, od tylnej strony frontu. Nie mogę zdradzić szczegółów, ale najpierw trzeba było długo jechać, a potem długo iść pod górę. To dla mnie ciągle jeszcze była przygoda: kiedy nasz samochód terenowy przejeżdżał przez rzekę, bo most został zerwany, albo kiedy przejeżdżał przez błota lub wisiał nad przepaścią. Wszystko to w nocy, bo tam można się poruszać tylko pod osłoną nocy, bez świateł. W bazie wskazali mi miejsce do spania: drabinką po skalnej ścianie do grotty.

W ciemności uderzył mnie zapach czegoś spleśniałego, zbutwiałego. Tam spały dziewczyny. Potwornie zmęczone, chore. Nawet się nie obudziły. Burknęły coś przez sen i dalej spały, ciężko oddychając, zawinięte w jakieś szmaty. Przed świtem wybuchła strzelanina. Nie wiedziałam, kto do kogo strzela, nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Pierwsza myśl była, że idą Turcy, bo byliśmy na samej granicy. Bałam się jak diabli, bo pamiętałam ujęcia z telewizji, jak tureckie wojsko chodzi z psami właśnie po takich pieczarach, polując na partyzantów. Wiedziałam, że stamtąd nie da się uciec. Padły strzały, nie wiedziałam z której strony. Może przyszli za mną, może

sprowadziłam za sobą ogon? Albo zastrzelą mnie jedni, albo drudzy. Dla mnie była to najgorsza noc w życiu.

Zaczęłam budzić dziewczynę obok. Znałam tylko jedno słowo, askeri – żołnierze, więc powtarzałam: „Żołnierze, żołnierze?”. Ona w półśnie wzięła mnie za rękę i powiedziała: „Nie żołnierze. Śpij”. Ale zaczęły pośpiesznie wygrzebywać się z barłogów. W półmroku zobaczyłam ich twarze. Okazało się, że to są piętnastoletnie dziewczynki. Nadszedł ich czas, więc wzięły karabiny i poszły w góry.

Ogarnął mnie jakiś straszny żal, pomieszany ze złością. Kto im kazał tu przyjść? I iść teraz w noc, gdzie strzelają? Co ja tu robię? Po co?

Cały dzień towarzyszyły mi te złe pytania. Kiedy patrzyłam na dziewczęcą musztrę, na składanie i rozkładanie karabinu pod okiem instruktorów, na ich odpoczynek z książką w ręku, z nazwiskiem na okładce: Trocki.

Potem widziałam te ich podręczniki w tajnym sanatorium na terenie Iraku. Dziewczyny i chłopcy w mundurach wygrzewali się na słońcu na huśtawkach, bez nóg. Uczyli się chodzić na protezach, szczęściarze, bo towarzysze znieśli ich z gór, nie wykrwawili się po drodze, udała się potajemna amputacja w szpitalu (polski chirurg udawał, że nie wie, na kim ćwiczy najtrudniejsze operacje). Wszystko po to, żeby...

No właśnie, co? Czy są sprawy ważniejsze niż ich nogi, które nie zagrają już w piłkę, nie zatańczą na weselu? Niż uśmiech, który zastygł na sinych ustach partyzanta, pokazanego parę dni później na filmie z udanej operacji armii tureckiej?

Nagle kompletnie bez sensu wydała mi się ich walka klasowa, emancypacja kobiet i bój o niepodległość. A więc i ta moja pogoń za bohaterami.

Rozgadałam się. Pewnie nie weszło do tamtego wywiadu. Zgubiło się całkiem w książce o „Madonnach”. Ludzie sukcesu muszą wygrywać, a walka jest zawsze słuszna. Aha, i jeszcze dobro zwycięża. To ja poproszę, żeby zwyciężało życie.

1. Masoud Barzani – prezydent irackiego Kurdystanu i przewodniczący Demokratycznej Partii Kurdystanu. Syn nacjonalistycznego lidera Mustafy Barzaniego. [\[wróć\]](#)
2. Dżalal Talabani – polityk iracki narodowości kurdyjskiej, twórca i przewodniczący jednej z dwóch głównych partii kurdyjskich w Iraku – Patriotycznej Unii Kurdystanu (puk), prezydent Republiki Iraku od 7 kwietnia 2005 r. [\[wróć\]](#)
3. Süleyman Gündoğdu Demirel – siedmiokrotnie premier Turcji w latach 1965–1993, prezydent w latach 1993–2000. [\[wróć\]](#)
4. Tansu Çiller, turecka polityk i ekonomistka, pierwsza w Turcji kobieta na stanowisku premiera (1993–1996). [\[wróć\]](#)

Czyszczenie etniczne. Serbowie, Chorwaci, Bośniacy

Drogą przez front

Żadna z firm „Rent a car” w Zagrzebiu nie wynajmie samochodu dziennikarzowi. Wszyscy wiedzą, że będzie się pchał na wojnę, a firma nie jest zainteresowana wypożyczaniem samochodów jednorazowego użytku. Dlatego najlepiej udawać amerykańskiego turystę, który ma kaprys spędzić weekend akurat w Chorwacji, nad Adriatykiem.

Każdy wynajmujący samochód musi podpisać oświadczenie, że nie uda się na wojnę (ubezpieczenie nie obejmuje zniszczeń samochodu powstałych w wyniku działań wojennych). Kiedy ma się samochód, trzeba zaopatrzyć się w kamizelkę kuloodporną. Zakłada się ją obowiązkowo pod koszulę, bo dla walczących stanowi towar pierwszej potrzeby i mogą ją zarekwirować.

Linia frontu między Serbami a Bośniakami to na niektórych odcinkach odsłonięty płaskowyż. Należy ją pokonać z taką szybkością, na jaką tylko samochód stać. Jeśli ktoś nie wie, że przekracza właśnie linię frontu, nie należy mu tego uświadamiać. I tak się zorientuje, kiedy zobaczy żołnierzy odgarniających miny przeciwpancerne. Rozsuwają je na boki, tak żeby samochód mógł się przecisnąć.

Komu nie udało się wynająć samochodu, może próbować go kupić. W kraju, gdzie nie ma kropli benzyny, samochód nie przedstawia dla właściciela praktycznie żadnej wartości. „Żadną wartość” ustala się po długich, zażartych targach; może ona na przykład oznaczać 500 dolarów za starego audi benzyniaka, który miał mieć dziesięć lat, a liczył sobie szesnaście.

Przekraczając kilkakrotnie linię frontu, najlepiej wozic tablice rejestracyjne pod siedzeniem, bo numery broniącego się muzułmańskiego miasta doprowadzają Serbów do furii.

Jeśli na przykład urwie się rura wydechowa, można ją przyspawać w warsztacie, gdzie kanał samochodowy zarosły chwasty, a mechanicy na co dzień zajmują się spawaniem luf karabinów i blaszanych trumien.

W okolicach, gdzie można się spodziewać snajperów, nocą jeździ się w absolutnych ciemnościach, z wyłączonymi światłami. Spotkania z innymi samochodami na pustej drodze też mogą być niebezpieczne. Podróżując kiedyś nowiutkim polonezem, pożyczonym przez dyrekcję FSO, przeżyłam chwile grozy – wydawało mi się, że goni

mnie jakiś samochód. Odruchowo osunęłam się głębiej w fotel. Skończyło się na strachu: wyprzedził mnie biały wóz z ONZ-owskimi numerami.

W Kninie, stolicy serbskiej Krajiny, z ciemności wyrastają bloki. Gdzeniegdzie w oknach różowa poświata – widać ktoś ma świeczkę. W porze dziennika dookoła samochodów z działającymi akumulatorami gromadzą się ludzie, włączają radio. Te samochody z odbiornikami są ostatnią możliwością ich kontaktu ze światem.

Była Jugosławia, 1991–1993

W rozstrzelanym kościele

W wielkanocną niedzielę kapelan major Karpiński odprawił pierwszą mszę polową dla żołnierzy ONZ. Bagaż księdza najmniej ucierpiał w transporcie („Pomieszały się w wagonach gwoździe z cukrem?“, śmieje się ksiądz Krzysiek z perypetii polskiej misji), bo mały i dobrze spakowany. Ołtarz polowy cały mieści się w skórzanej włoskiej dyplomatce, zamkniętej na szyfrowy zamek – prezent od biskupa. Jest tam nawet miejsce na bułgarskie mszalne wino.

Obok przedmiotów liturgicznych stanęły na ołtarzu dwa gliniane baranki: jeden obtłuczony, drugi osmalony. Znaleźliśmy je w zgliszczach kościoła w Slunju. Nad miasteczkiem, gdzie stanęły polskie oddziały, jeszcze sterczy kikut dzwonnicy i wypalone mury. Z dachu został zwój blach, które skrzypią złowrogo nad chórem. Chodzimy ostrożnie po dachówkach, resztkach świeczników i kamiennych figurek – tedy nieprędko przejdą saperzy z wykrywaczami min. W bocznym ołtarzu straszy zwęglony sarkofag jakiegoś świętego. Tam gdzie była zakrycia, z popiołów ksiąg i szat liturgicznych wygrzebujemy szczątki szopki, główki aniołów i roztopione w ogniu wazoniki. Składamy roztrzaskany drewniany krucyfiks.

Przed kościołem, na trawie, wiatr kołysze powyginaną tarczą zegara z wieży. Wskazówki wbiły się w ziemię. Domy dookoła stoją nietknięte – widać nie chorwackie. Pytam staruszki o księdza – jedna pokazuje na las, że uciekł, druga na gardło. Z trzech tysięcy mieszkańców w Slunju została jedna trzecia – garść starych kobiet w czerni i mężczyźni, chyba wszyscy pod bronią. Serbowie mówią, że Chorwaci nie mają po co tu wracać i co pewien czas płonie jakiś opuszczony dom.

Mówią, że to nie jest wojna religijna, ale w całej okolicy po chorwackich kościołach w Krajinie została kupa gruzów. Dlatego Polacy dyskretnie świętują Wielkanoc. Powiedziano im, że prawosławni Serbowie niechętnie będą patrzeć na ortodoksyjnych katolików z Polski. Telewizja belgradzka pokazała długie sekwencje z mszy pożegnalnej polskiego kontyngentu w Opolu. Nie wiadomo, czy ksiądz Krzysiek odważy się urządzić kaplicę w opuszczonej chałupie obok sztabu, gdzie jeszcze leżą pierzyny i rozrzucone na podłodze fotografie.

To już trzeba umierać

Zasłyszane w mesie polskiego batalionu ONZ w Krajinie.

Ten Bośniak (nikt już nie pamięta jego imienia) przedarł się przez trzy zielone granice: z Austrii do Chorwacji, z Chorwacji do okupowanej przez Serbów Krajiny (pod protektoratem ONZ), z Krajiny do oblężonego przez Serbów bośniackiego Cazina, bo tam żona urodziła mu córkę.

Po tygodniu z żoną w Cazinie, gdzie musiał się ukrywać także przed swoimi (Muzułmanami), bo chcieli go wziąć na front, z pięcioma innymi wracał przez Krajinę. Czterech złapali Serbowie. Jemu zabrakło kilku metrów – tuż przed granicą chorwacką mina urwała mu stopę.

Kolega, który z nim szedł, zacisnął mu nogę jakimś szpagatem, żeby się nie wykrwawił, na kikut założył czapkę i poszedł dalej. Dotarł do Chorwatów, ci zawiadomili „obserwerów” z ONZ, a oni polski batalion w Krajinie.

– Szukaliśmy go przez dwie godziny – opowiada lekarz Krzysztof Chmiela. – Zaczęło się ściemniać i saperzy nie chcieli zagłębiać się w nieznany teren. Tłumaczyłem, że jest szansa, że facet jeszcze żyje. Że leży tam już piętnaście godzin, ale jeśli zostawimy go na noc, przy tej temperaturze, to rano będzie trup. I wtedy usłyszeliśmy ten krzyk.

Nie musiał już przekonywać saperów.

Szli przez pole minowe „ścieżką” (tak to nazywają: „robić ścieżkę”) szerokości najwyżej metra – tyle co człowiek na czworakach. Czołgali się po omacku, z latarkami w zębach. Centymetr po centymetrze przeczesywali ziemię.

Jedną dłonią przykrywa się kawałek terenu, drugą wbija pomiędzy palce mackę: krótki pręt z rękojeścią pistoletu (patent własny). Jeśli pręt trafia na opór, w ruch idzie nóż: trzeba po kawałeczku ścinać ziemię. Pod spodem może być mina albo patyk.

Jeśli mina, trzeba ją zdetonować na miejscu. Instaluje się mały ładunek wybuchowy obok, wycofuje o 50 metrów (teoretycznie, bo w praktyce nie ma tyle czasu), przypada do ziemi i odpala ładunek elektrycznym zapalnikiem. Potem się wraca po „ścieżce” zaznaczonej palikami i kawałkami cegłówki. I dalej do przodu.

Po drodze do rannego Bośniaka detonowali pięć takich min PMA-3 (przeciwpiechotnych min antymagnetycznych). PMA-3 zrobiona jest z plastiku, dlatego tradycyjny wykrywacz na nią nie reaguje. Więc nie ma innego sposobu – trzeba kłuć ziemię centymetr po centymetrze.

– Baliście się? – pytam głupio.

– Nie wolno się nie bać. Jak przestaniesz czuć strach, to koniec.

– Pić się chciało.

– Trzeba się co jakiś czas odprężyć. Ja to myślę o dziewczynie, jak się z nią

w Polsce kochałem, i luz.

– Mnie było zimno. W samych koszulach byliśmy.

– Kurtki by przeszkadzały. W pewnym momencie nawet pas zdjąłem.

– Mnie się zrobiło zimno dopiero w pokoju, po powrocie.

– Ma się zajęcie. Albo idziesz z przodu i kłujesz, albo zabezpieczasz: ciągniesz kable, podajesz kijki...

Potem weszli w las.

– W lesie trzeba sprawdzać, co masz nad głową: może być mina na odciągu zawieszona między gałęziami.

Lekarzom i dowódcy kompanii kazali zostać z tyłu, bo im przeszkadzali.

– Dowódca nie wytrzymał nerwowo i wrzasnął bez sensu: „Ogłaszam alarm dla całej kompanii!”.

Tymczasem oni musieli posuwać się w ciszy, bo jedyną wskazówką były jęki rannego. Czasami się odzywał. Krzyczał: „Nie jestem żołnierzem”. Jęczał, wył.

– To rozpraszało. Przeszkadzało.

Wrzeszczeli na niego, klęli.

– Nie drzyj się, ty... I tak do ciebie wcześniej nie podejść! Po coś tam, k..., laź?! Poszedłeś, to leż i czekaj!

Kiedy milkł, tracili orientację. Więc znów krzyczeli:

– Odezwij się, ty...

– W jakim języku?

– W słuńskim. (Polscy żołnierze od roku stacjonują w mieście Slunj).

Czterech saperów: Wiesław Kucharczyk, Waldemar Masny, Zbigniew Pernal i Bogdan Gruda przez siedem godzin „robiło ścieżkę” długości 500 metrów.

– Nie czuje się czasu. Już nie wiedzieliśmy, która godzina.

Kiedy już do niego doszli, patrzył na nich w milczeniu.

– Jak zobaczyłem jego nogę, to mi się niedobrze zrobiło: pędzel.

Długo jeszcze badali teren dookoła rannego Bośniaka i pod nim. Leżał w środku pola minowego.

– Nie ruszaj się, bo cię w dupę ukłuję – pomrukiwał któryś z saperów. Wreszcie wciągnęli go na nosze i wrócili oznakowaną „ścieżką”. Jak po równoważni.

– Przez niego mundur musiałem wymienić, tak mnie okrwawił.

– Mieliśmy kamerę, ale zapomnieliśmy wyjąć. Czasu nie było.

Na drodze stała polska karetka. Doktor Chmiela zaczął „stabilizować” pacjenta. – Nie miał już tętna. Dopiero kiedy nakłułem mu żyły, kroplówka, środki przeciwbólowe itd., i zaczęło działać, mogliśmy jechać.

Kiedy oprzytomniał, zapytali go, czy chce jechać do szpitala w Cazinie, po bośniackiej stronie. Tam, gdzie została jego żona.

On jednak chciał do Austrii, gdzie już prawie załatwił wizy wyjazdowe dla żony i dziecka.

Błagał, żeby nie oddać go Serbom.

Więc ruszyli do przejścia do Chorwacji. Na ostatnim posterunku ONZ-owską karetkę zatrzymali Serbowie.

– Nie przejeździecie dalej. Będziemy strzelać.

Nie próbowali nawet – bez zgody Serbów i tak nie przejechaliby przez zaminowaną na noc drogę.

Kazali im cofnąć się do serbskiego szpitala w Wojniczu. Doktor Chmiela, anestezjolog, sam operował Bośniaka.

– Chociaż miał jeszcze piętę, trzeba było ciąć wysoko pod kolanem, bo od tego sznurka zrobiła mu się martwica. Szybko mi poszło – może w godzinę był gotowy. Tylko złamała mi się na kości jedyna piła, więc musiałem dokończyć dłutem i podrównać pilnikiem – opowiada mi w mesie polskiego batalionu w służbie ONZ dr Chmiela.

Gdy po zakończonej operacji wychodził ze szpitala, na Bośniaka czekała już serbska policja.

Sporo zobaczył tutaj polski lekarz. Niedawno przywieźli im mężczyznę z dziurką w brzuchu, małą jak pieprz. Kula wyszła poślądkiem. Jak otworzyli brzuch, okazało się, że miał sześciokrotne przerwanie jelit. Taka kulka, która przelatuje przez człowieka, robi większe spustoszenie niż ta, co utkwii. Rozrywa miękkie organy i wypala jeszcze cały korytarz siłą lotu.

Mina też pali. Jak dostali Bośniaka z urwanymi dłońmi i wypalonymi oczami (Serbowie przywiązali mu do rąk ładunek), to prawie nie krwawił, tak był przysmażony.

W Wojskowej Akademii Medycznej, żeby zaobserwować, co robi w ciele kula, strzelali do owiec. Ale zwierzęta były pod znieczuleniem, wtedy organizm reaguje inaczej. Tu i w Zagrzebiu napatrzył się na prawdziwe postrzały bez znieczulenia.

– Teraz jugosłowiańscy lekarze mają najlepszą na świecie akademię medyczną – uśmiecha się dr Chmiela.

Ostatnio lekarz z pol-batu pojechał do chorwackiego domu w pobliskiej wiosce. Serbowie poprzedniego dnia przyszli po rakiję. Nie dostali, więc bili Chorwata aż do śmierci.

Kiedy indziej ONZ-owska policja wskazała mu dom ślepej staruszki, którą zajmowała się druga, jeszcze chodząca. Dr Chmiela macha ręką – nie będzie opowiadał, jak brodził po kostki w nieczystościach. – Ale w Polsce, jak pracowałem

w pogotowiu, też widziałem takie obrazki.

Woli opowiedzieć anegdotkę o pewnej babci, która przysłała do niego spod bośniackiej granicy. Szła pieszo 18 kilometrów, żeby się poskarżyć, że boli ją noga.

A jeszcze chętniej opowiada się w mesie o podchorążym, Polaku, którego odwieźli do amerykańskiego szpitala w Zagrzebiu.

Zamiast zębów miał dziewiętnaście pieńków, wszystkie do usunięcia. Jak przyjechał do amerykańskiego szpitala, zapuchnięty i z fantazyjnym czubem punka na głowie, pani, która go przyjmowała, przeprosiła go nieśmiało i po chwili wróciła z aparatem fotograficznym.

Kiedy podchorąży wychodził ze szpitala po operacji, dopytywał się o odszkodowanie za to, że w ONZ stracił zęby. Tym bardziej że wybierał się właśnie do kraju, „żeby się chajtać”.

– Wy się śmiejecie – przerywa rozbawionemu towarzystwu w mesie doktor Chmiela. – Taki stan zapalny może przejść niżej, do krtani, a potem kaszana i odjazd.

Jeżdżąc śladami polskich lekarzy, we wsi Klena znalazłam Mande i Toone.

On się urodził w 1909 roku, ona w 1911.

Proszę, żeby siedli obok siebie. On do fotografii zdejmuje skórzaną czapkę, ona poprawia sweterek. Popatrzyli nawet po sobie. – Od młodości do śmierci razem – sepleni starzec. Ona mówi do niego „dziad”, on do niej „baba”.

– To ile ja mam lat? – pyta babka. – Jaki teraz rok?

– Dziewięćdziesiąty trzeci – mówię.

– Osiemdziesiąty trzeci chyba? – poprawia dziadek.

– Nie, nie – mówię. – Pani ma już osiemdziesiąt dwa lata...

– Tak dużo? – dziwi się babka. – To już trzeba umierać.

– Tak, tak – podchwytuje dziadek. – Dość już się nażyłaś.

Raport z obozu

Mówią o mnie „korespondent wojenny”. Gratulują odwagi. Chciałabym sprostować. Do Bośni nie pojechałam na wojnę. Byłam przedtem w Afganistanie i Górnym Karabachu, w Gruzji i na Litwie, w Kurdystanie i kilkakrotnie w rozpadającej się Jugosławii – tam były wojny i tam też nie jeździłam po to, by oglądać front. Do Bośni pojechałam na wiadomość o obozach.

To wydawało się niemożliwe, nikt nie chciał wierzyć...

Obozy koncentracyjne w środku Europy, pięćdziesiąt lat po koszmarze zagłady „gorszych” narodów? Czyszczenie etniczne? Niemożliwe. Może tylko obozy pracy,

internowania, obozy przejściowe? – tak broniła się światowa prasa przed strasznymi faktami, a politycy zasłaniali się „niepotwierdzonymi świadectwami”. Więc musiałam sprawdzić.

Widziałam obozy. Zobaczyłam na własne oczy to, co znałam jako dziwne słowa z lekcji historii i opowieści dziadków: spacyfikowane wsie, getto, deportacje, transport.

Z Krzysztofem Millerem weszliśmy do obozu zorganizowanego przez Serbów w Trnopolje, gdzie żyło dwa tysiące Muzułmanów i Chorwatów.

Kilkuset mężczyzn ustawiło się z menażkami i kubkami w gigantyczną kolejkę: czekają na jedzenie. Piszczele i czaszki obciążone wiotką skórą, wyłupiaste oczy, spod cywilnych ubrań sterczą kościste ramiona, luźne spodnie podtrzymują paski i sznurki. Na widok wielu z nich przychodzi na myśl tylko jedno: Oświęcim.

– Czekamy na ratunek albo na śmierć – zdążyli powiedzieć mi jeńcy, zanim strażnicy z karabinami odgonili ich od płotu.

Pod cuchnącą ubikacją (troje drzwi na środku dziedzińca) też niecierpliwa kolejka: chorują, bo tu po raz pierwszy dostali jedzenie. Najślabi leżą w prowizorycznych szałasach. Płachty z plastiku i koców dają trochę cienia od prażącego słońca.

Szkieletowata postać podnosi się z posłania, kiwa na mnie ręką:

– *No name, no photo.*

Mówi dobrze po angielsku, był tłumaczem. Wczoraj przywieźli go z obozu w Manjacza, do którego w niedzielę nie wpuszczono Tadeusza Mazowieckiego¹ (wysłannika Komisji Praw Człowieka Narodów Zjednoczonych).

– Tu jest wolność, luksus. Tam był obozowy reżim, jedliśmy chleb i trawę. Bili, chyba pięćuset mężczyzn umarło. Umierali obok mnie na posłaniu.

Jednooki tłumacz mówi cicho i powoli, kiedy się męczy, kładzie się na chwilę. Był judoką, teraz nie może chodzić.

Trzydziestego pierwszego maja żołnierze serbscy wzięli go z domu w Prijedorze. Wyganiaли wszystkich od jedenastego do sześćdziesiątego roku życia. Z jego dzielnicy wzięli około 500 osób. Nikt nie miał broni. Mężczyzn brali oddzielnie. Siedział w obozach w Kretar, później w Omarsce i w Manjacji.

Zawiesza głos, kiedy podchodzi strażnik, ale ten nie przerywa nam rozmowy – mamy oficjalne pozwolenie. Wcześniej, zanim weszliśmy do obozu, inny strażnik odbezpieczał broń, kiedy podeszłam do płotu. Był wściekły, chciał odbierać notatki. Widać zmieniły się porządki.

Przedstawiciel serbskiego Czerwonego Krzyża wyjaśnia, że nie ma tu tajemnic – przeciwnie, chcą pokazać światu, że to otwarty obóz. Unika słowa *logor* (łagier, obóz), tu nawet nie jest *zatvor* (areszt), tylko „po prostu miejsce dobrowolnego pobytu,

gdzie zabezpiecza się Muzułmanów i Chorwatów przed napadami band ekstremistów”.

– Proszę, nie ma nawet drutu – przekonuje.

Rzeczywiście, piętrowy budynek i plac pokryty szałasami dla dwóch tysięcy osób otacza tylko droga. Ale z każdej strony stoją posterunki: cywile z karabinami siedzą pod daszkami, za zaporami z worków z piaskiem i pustaków.

Jeńcy patrzą ze zdziwieniem, że strażnicy pozwalają im rozmawiać z dziennikarką. Uciekać? Nie mają siły. Zresztą dokąd? Wzruszają ramionami: ich domy są spalone, rodziny wywiezione. Po drodze z Banja Luki widzieliśmy całe spacyfikowane wsie.

Liczą, że świat ich wyratuje, byleby tylko wywieźli ich stąd żywych. Widzieli dużo strasznych rzeczy, ale póki tu są, nikt nie odważy się mówić.

W obozie w Trnopolju widać ślad kobiecej ręki: dojdzie do jednego z szałasów zasłania biała firanka. Dwa dni temu były tu jeszcze kobiety i dzieci. Dokąd je wywieźli – nikt nie mówi. Znikają transporty, żadna organizacja humanitarna nie ma kontroli nad wysiedlanymi, wożonymi po Bośni ludźmi. Ten teren ma zostać „czysty”, serbski.

Po wyjeździe z Trnopolja, na szosie do Banja Luki, spotkaliśmy konwój. W autobusach i ciężarówkach siedzieli zbici ciasno ludzie, chudzi, wycieńczeni.

Krzysiek Miller, fotograf, wspiął się z aparatem na przyczepę, podczas gdy ja próbowałam zagadać konwojenta w mundurze. W tym momencie kątem oka zobaczyłam, jak drugi, cywil, wymierza przez okno rewolwer w plecy Krzyśka. Zaczęłam krzyczeć, że mamy zezwolenie, i wyciągać jakieś papiery (oczywiście bluff). Wtedy tamten skierował lufę na mnie i rzucił wściekły:

– *Ne ma papir, ima ovo* („nie ma papieru, jest to”). – Potrząsał nerwowo rewolwerem, dopóki nie schowaliśmy się w naszym aucie.

To mógł być ostatni transport z osławionego obozu w Omarsce. Powiedziano nam, że właśnie ostatnich 170 „podejrzanych” wyjechało. Dokąd, nie wiadomo. Chętnie pokazywali nam ten nieczynny „areszt śledczy”, gdzie „indagowano podejrzanych” i zatrzymywano tylko tych, którzy mieli broń.

W dwa tygodnie później przeczytałam w chorwackiej prasie świadectwo dwóch mężczyzn, którzy jako jedyni uratowali się z egzekucji dwustu pięćdziesięciu Muzułmanów wiezionych tego samego dnia, tą samą drogą. Być może mamy ich ostatnią fotografię.

Teraz można już zwiedzić sypialnie z kilkudziesięcioma piętrowymi łózkami, na każdym materac i złożony w kostkę czyściutki koc. Przez nieczynną kopalnię żelaza w Omarsce przeszło, według niezależnych źródeł, około 11 tysięcy Muzułmanów, Chorwatów i innych nieserbskich mieszkańców Bośni i Hercegowiny.

Niezależni obserwatorzy uważają, że kolejny etap akcji „oczyszczania narodowego” polega na przewożeniu wysiedlonej ludności z jednych obozów do innych dla

wywarcia nacisku na międzynarodową opinię. Serbowie chcą pokazać, że jedynym ratunkiem dla bezdomnych i głodnych Muzułmanów i Chorwatów może być emigracja.

Nowa idea „czyszczenia etnicznego” powstała w Serbskiej Akademii Nauk w Belgradzie. W życie wprowadzają ją, każdy na swój sposób, armia serbska, lokalne władze, anonimowi bojówkarze.

* * *

Do dzielnicy muzułmańskiej w Bosanskim Petrovacu poszliśmy na piechotę, zostawiając samochód w jakimś podwórku.

Ludzie siedzieli przed domami, przebierali fasolę. To wszystko, co im zostało do jedzenia, i zielone śliwki. Odkąd wyrzucono ich z pracy, skończyły się pieniądze. Do miasta nie chodzili, niby zakazu nie było, ale nikt nie miał odwagi. Wtedy zrozumieliśmy, że to getto.

Od dwóch miesięcy leżały w gruzach stare meczety (nikt nie śmiał do nich podejść). Okna parterowych domów zabili deskami – nieznana ręka wrzucała w nocy granaty. Sklepik i fryzjer zamknięte. Na drzwiach najbogatszych domów wisiały tabliczki z napisem „Zamiana” i nazwisko przyszłego właściciela – Serba, któremu władze przydzieliły ten dom. Zajmie go z całym dobytkiem, jak tylko Muzułmanin stamtąd odejdzie. Dokąd ani kiedy – nie wiadomo.

Mieszkali tam od dziada-pradziada (trawą porósł stary muzułmański cmentarz). Pozwolono im spakować trochę rzeczy osobistych. Jeden odważny zaprosił mnie do domu (jego matka płakała ze strachu). Pokazał puste szafy i brezentowe worki z szelkami (chyba będą iść pieszo).

Na ścianie domu zostaną małe czerwone ślady, zakreślone flamastrem – kropelki krwi. Tu zastrzelono szwagra.

Mój rozmówca, przed „czystką” inżynier z tamtejszej fabryki (nazwiska lepiej nie podawać), pokazał mi nakaz eksmisji, wystawiony przez radę miejską. W Radzie Bosanskiego Petrovaca rozmawiałam z sekretarzem. Radujko Jovo jest prawnikiem, to on pertraktował z siłami ONZ, prosząc o ewakuację Muzułmanów z ich miasta (odmówiły). Tu władze nie są w stanie zagwarantować im bezpieczeństwa. Nikt nie powstrzyma narodu od pogromu.

Zapytałam go o obozy, o których opowiadali mi ludzie w muzułmańskiej dzielnicy. Czy możemy tam jechać? – Wstęp wolny – odpowiedział sekretarz. – Jasne – potwierdzili policjanci. – Zwykle roboty leśne. Jedźcie zobaczyć, tylko teren może być zaminowany.

Pojechaliśmy następnego dnia. Okazało się, że właśnie wszystkich wypuścili do domów. Dlaczego – nie powiedzieli. Dlaczego ich aresztowali, wyciągali z domów, bili, trzymali w lesie przez 69 dni – też nikt nie wyjaśnił.

W Bosanskim Petrovacu 2,5 tysiąca ludzi czekało na transport. Nie wiem, co się z nimi teraz dzieje. Ten sam scenariusz powtarza się w wielu opowieściach uchodźców: wsadzali ich do autobusów albo gnali na piechotę. Tam, gdzie się bronili, szły z dymem domy. Mężczyzn brali oddzielnie. Niezdolnych do walki – kobiety, dzieci i starców – zostawiali o kilka kilometrów od granicy, linii frontu. Dalej wygnani przedzierali się już sami, pod ostrzałem.

Po tamtej stronie są swoi albo Chorwaci. Ale w Chorwacji nie ma już dla Muzułmanów miejsca. Wczorajszy sojusznik – armia chorwacka – oddał ich pozycje. Muzułmanie w Bośni okazali się niepotrzebni i niewygodni. Nie chcą już walczyć, bo czują się oszukani i zdradzeni. Chorwaci mówią o nich „dezerterzy”.

Więc znów trafiają do obozów. W jednych siedzą ci, którzy czekają na wywiezienie za granicę, gdziekolwiek, byle dalej stąd. W innych kobiety – żony i matki tych, którzy się bronią w oblężonych miastach – wierzą, że wrócą do domów.

Na każdym kroku – w środku Bośni zajętej przez Serbów, na granicy, w Zagrzebiu czy nad morzem – spotykałam ściganych, zamykanych, deportowanych ludzi. Być może na nowych mapach nie będzie już Bośni. Ale ludzi stamtąd wygnanych nie da się wymazać. W każdym razie tych, którzy jeszcze żyją.

Rozmowa kontrolowana

Czekaliśmy sześć godzin na tę zorganizowaną wizytację. Byliśmy pierwszymi gośćmi w obozie w Kamenicy pod Drvarem.

W Kamenicy byliśmy przed Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem i przed komisją ONZ. Najwyraźniej czekali na nas – 44 mężczyźni w cywilnych ubraniach siedzi ciasno pod ścianami ramie przy ramieniu na materacach. Buty bez sznurówek ustawione równiutko na baczność. W oknach pod sufitem świeżo zaspawane kraty. Kiedy przebiegłam szybko wzrokiem każdą twarz, żeby policzyć więźniów, wpatrywali się we mnie zażawionymi oczami. Oprócz tego żadnego znaku skargi.

Przeciwnie: kiedy pytam strażnika, czy mają wodę, odpowiada mi gorliwy chór – tak. Nie spodziewali się, że mówię ich językiem. Wśród strażników zamieszanie:

– Proszę natychmiast wyjść.

Dalszy ciąg „wywiadu” odbędzie się na zewnątrz, pod okiem pułkownika. Więźniów ustawiono w szeregu, pułkownik zaproponował mi, żebym wybrała rozmówcę. Wskazałam najmłodszego. Siedemnastoletniego Muchę Maszynowicia aresztowano 10 czerwca w Vakuf, bo miał przy sobie broń. Od tej pory przeszedł przez trzy inne areszty: Drvar, Preker, Kozila. Nie bili go, nie torturowali. Czeka na sąd wojenny. Matka nie wie, co się z nim dzieje. Czy boi się teraz odpowiadać? Nie

rozumie pytania.

– Czy jeszcze pani sobie czegoś życzy? – pyta uprzejmie pułkownik. – Może jeszcze jednego?

Spytałam siwego grubaska. Do Safeta Druzicza tydzień temu przyjechała żona. Przywiozła mu paczkę z owocami. Jedzenie mają tu super – zapewnia. Transport z miasta przychodzi trzy razy dziennie. Z celi wypuszczają ich na dziedziniec, spacer w kółko pod okiem strażników z karabinami i do pracy.

Pułkownik zapewnia, że nie będą ich tu trzymać długo – czekają na wymianę jeńców albo abolicję. – To nie są jeńcy wojenni, lecz cywile, którzy przygotowywali zbrojne akcje przeciwko serbskiej armii: dywersanci, terroryści, szpiedzy albo po prostu złapani na próbie przejścia granicy na stronę wroga – wyjaśnia. – To po prostu tymczasowy areszt. A że druty? Trzeba ich chronić przed ekstremistami.

W powrotnej drodze oficerowie zapraszają nas na piwo. Są zadowoleni, że mogli nam pokazać wzorowy areszt.

– A w sarajewskim zoo Muzułmanie rzucają nasze dzieci lwom na pożarcie – mówi z przekonaniem pułkownik Szreranc. – Chcę, żeby cały świat dowiedział się, że serbskie obozy koncentracyjne to kłamstwo.

Bośnia, sierpień 1992 roku

Po powrocie do Polski zastałam anonimowy list do redakcji. Ktoś donosił, że po naszej wizycie w obozie wszyscy jeńcy zostali przez strażników rozstrzelani. Nie dopuszczam takiej wiedzy. Zakładam, że to celowa dezinformacja wypuszczona po to, by zniechęcić dziennikarzy do kontrolowania poczynąń Serbów.

Uważam, że wykonaliśmy swój podstawowy obowiązek: dotrzeć, zobaczyć, opowiedzieć. I jeszcze wywiozłam listę uwięzionych, niepełną, tyle, ile się zmieściło na papierku od papierosów. Jakaś ręka wcisnęła mi go do tylnej kieszeni kamizelki. Przekazałam kopię międzynarodowym organizacjom.

Dlaczego oni są ranni?

Bosanski Brod to jedno z nielicznych miast bośniackich, których Serbowie jeszcze nie zdobyli. Graniczna rzeka Sawa oddziela je od leżącego już w Chorwacji Slavonskiego Brodu. Front jest już o kilkanaście kilometrów. Uchodźców i rannych ewakuuje się na zaplecze, jeńcy natomiast, jak się dowiedziałam, pozostają w Bosanskim Brodzie. Bośniacy trzymają ich w jednym ze zrujnowanych budynków w centrum miasta.

Białe, świeże bandażę rzuciły mi się od razu w oczy, kiedy Bośniacy wpuścili nas –

bardzo niechętnie i po awanturach – do wielkiej sali gimnastycznej. 270 mężczyzn leżało pokotem, niektórzy siedzieli, jedli konserwy.

Dopiero kiedy udało mi się żartami pozbyć strażników, serbscy więźniowie zaczęli szeptem mówić:

– Zmuszają nas do pracy na froncie, na pierwszej linii. Te przesiąknięte krwią bandaże to rany postrzałowe. Przez wiele godzin dziennie kopimy rowy dla żołnierzy przeciwnika. Dostajemy kule ze strony własnych wojsk.

Ci Serbowie oddali się do niewoli trzy miesiące temu. Pokazują mi, że na początku mocno ich bili, ale milkną od razu, kiedy podchodzi strażnik. Potem mówią, że sami nigdy nie strzelali. Broń rozdawała im armia jugosłowiańska przed wojną.

– Po co miałbym strzelać? – pyta młody chłopak. – Przecież trzy miesiące przedtem ożeniłem się z Muzułmanką.

Nie mają żadnego kontaktu z rodzinami. Próbowali przez Czerwony Krzyż – bez skutku.

Kiedy podchodzą strażnicy, jeńcy mówią głośniejsze i pogodnie.

– Czasami mamy piwo, ciastka... Lubimy naszych strażników... Jemy racje żywnościowe amerykańskiego wojska.

Gdy nazajutrz rano mijaliśmy więzienie jeńców, traktor z przyczepą wywoził kolejną grupę w stronę frontu – „do roboty”.

O tym, że wszystkie strony konfliktu łamią konwencję genewską o traktowaniu jeńców wojennych, wiadomo od dawna. Większość relacji na ten temat tyczyła się dotąd działań strony serbskiej. Informacja, której mi udzielili serbscy jeńcy w Bosanskim Brodzie, jest jedną z pierwszych obciążających stronę bośniacką.

Muszę jednak podkreślić, że zarówno warunki, jak i sposób traktowania tych jeńców są nieporównywalnie lepsze od tego, co dzieje się po drugiej stronie frontu. Wiem, co mówię, bo byłam i tu, i tam.

Bosanski Brod, sierpień 1992 roku

Droga przez piekło

Było ich sześciuset. Zabrali 20 ton lekarstw. Szli cztery dni i cztery noce, omijając serbskie wsie i policję, by pomóc swym muzułmańskim rodakom. Do obleżonego Bihacia doszło na razie niespełna pięciuset. Nie wiadomo, ilu umarło w drodze, a ilu zginęło w walkach. Prawdopodobnie część grupy ciągle jeszcze przekrada się przez lasy.

Ramiz dwa razy przyjeżdżał wraz z kolegami z Austrii, gdzie pracują na czarno, do chorwackiego Karlovca, tuż przy granicy z serbską Krajina. Chcieli przedzierać się

przez strefę kontrolowaną przez wojska ONZ (w tym polski batalion) i serbską milicję. Dopiero za trzecim razem udało mu się wejść w kontakt z ludźmi, którzy zorganizowali przerzut.

W Karlovcu za tysiąc marek kupili jugosłowiański karabin, w Zagrzebiu, w klubie „Bihać-Unija” następne karabiny i amerykańskie panterki. Potem trafili do obozu treningowego pod Zagrzebiem.

Wszystko sfinansowali sami: sprzęt i miesięczny pobyt w obozie – starej świńskiej fermie w środku lasu. Wszystko też robili sami – podkreśla Ramiz – bez pomocy chorwackiej armii. Strzelać umieli już wcześniej, wszyscy przeszli zasadniczą służbę w jugosłowiańskiej Armii Ludowej. Tu, na fermie, mieli głównie ćwiczenia na wytrzymałość, na przetrwanie długiej drogi.

Nadszedł dzień, kiedy sześćset osób (w tym dwadzieścia kobiet – sanitariuszek) przewieziono autobusami nad granicę serbskiej Krajiny.

Trzydziestopięcioletni Ramiz był w dobrej formie – przez czternaście lat grał w drużynie piłki nożnej w Bihaciu. Ale podczas drogi przez Krajinę był o krok od samobójstwa.

Na czele szedł chorwacki przewodnik. Maszerowali bez odpoczynku – w dzień lasami, nocą przez odsłonięte tereny. Byli z nimi starzy Chorwaci z dywizji Handzar, która pięćdziesiąt lat temu walczyła u boku Wehrmachtu. „Nieustraszeni!” – mówi o nich Ramiz z podziwem.

Już pierwszego dnia wpadli w pułapkę serbskich czetników. Rozbili ich na dwie części, zaczęła się strzelanina. Cztery osoby zginęły, reszta poszła dalej. Tyle że już bez ładunku. 20 ton leków dla oblężonych Bośniaków w Bihaciu i jedzenie na pięć dni marszu musieli porzucić. Dalej szli już tylko z karabinami.

Teraz Serbowie wiedzieli o ich pochodzie, musieli więc nadkładać drogi i kluczyć. Byle do przodu, do Bośni.

Zaczęły się dramaty z powodu braku wody. Idąc lasem – postojów nie było – wygrzebywali ziemię i ssali wilgoć. W górach pili z menażek własny moczu. Pierwsi ludzie zaczęli umierać z pragnienia. Przysięgli sobie, że prędzej się zabiją, niż wstrzymają pochód. Na oczach Ramiza dwóch przyjaciół, którzy nie mieli siły iść, zastrzeliło się nawzajem.

Był bezsilny, kiedy patrzył na kobiety wspinające się na 50-metrową skalną ścianę. Nie można było nikomu pomóc ani nawet pochować zmarłych. W pośpiechu przykrywali ciała kamieniami. Nie wie, ile osób zginęło w marszu – szedł w środku kolumny.

Drugiego dnia podeszli do spalonego chorwackiego domu. Stały tam trzy duże kanistry z wodą. Kilkaset osób w ciszy, po kolei, przęłykało po dwie, trzy krople. W Krajinie po Chorwatach zostały tylko kikuty domów. O tym, żeby podejść do wsi serbskiej, nikt nawet nie myślał.

Nie natknęli się też na „niebieskie berety”, od których mogli oczekiwać pomocy. Przecież ONZ przysłała tu po to, żeby uchodźcy mogli wracać do domu. Żołnierze z polskiego batalionu zaalarmowani przez Serbów pojechali na miejsce starcia kolumny z Serbami, ale znaleźli tylko porzucone w lesie środki opatrunkowe. Odmówili dalszych poszukiwań w zaminowanym terenie.

Drugiej nocy zwiadowcy, którzy szli na przedzie kolumny, donieśli, że są w okrążeniu. Serbowie najprawdopodobniej postanowili zaatakować ich o świcie. Zdecydowali się przechodzić o drugiej w nocy pojedynczo, bez strażów, przez najtrudniejsze miejsce: między serbskimi koszarami a bazą czołgów. Nawet kiedy tamci zaczęli strzelać, oni nie odpowiadali, bo mieli bardzo mało amunicji. Kto mógł, przedarł się i dalej, do Bośni. Była jeszcze jedna pułapka, ostatniego dnia. Serbowie skierowali do nich ogień z dział przeciwlotniczych. Zginęło wówczas co najmniej dziesięciu ludzi.

Czwartego dnia stanęli na granicy bośniackiej. Zniknął chorwacki przewodnik, nie poznali nawet jego imienia. Wiedzieli jednak, że są na miejscu – poznali pejzaż i strzeliste wieże meczetów. Wielu z nich, jak Ramiz, tu się urodziło, w muzułmańskim zakątku Bośni między Bihaciem, Cazinem a Kladuszą.

Ludzie witali ich w osłupieniu. Natychmiast stawili się w koszarach w Bihaciu – brakowało 100–120 osób. Ale teraz, kiedy rozeszli się do domów na tygodniową przepustkę, przekazują sobie wiadomości – ten się znalazł, tamten przepłynął graniczną rzekę.

– Musimy walczyć, żeby nie było tu drugiej Palestyny – mówi Ramiz, który naprawdę nazywa się inaczej, ale prosi, żebym nie podawała jego nazwiska, bo nie wie, co czeka go jutro – front przechodzi kilometr od jego domu.

Bihac, sierpień 1992 roku

Widziałam Krajinę wojny

Miesiąc temu wybuchła nowa wojna o Krajinę. Z jednej strony Chorwaci, z drugiej Serbowie – w środku oddziały pokojowe ONZ (w tym Polacy). Ich mandat wygasa w niedzielę. Co będzie dalej?

Krajina – pas ziemi między Chorwacją a Bośnią. Przed wojną mieszkali tu obok siebie Serbowie i Chorwaci. Teraz po chorwackich domach zostały zgliszcza. Ci, którzy przeżyli, zbiegli do Chorwacji albo dalej, gdzieś do Europy. Najwytrwalsi czekają dnia, kiedy będą mogli wrócić. Tak im obiecano, kiedy przed rokiem na te tereny wchodziły wojska ONZ. Miały rozbroić serbskie oddziały okupacyjne i odsunąć walczących o 10 kilometrów od granicy. Władzę mieli z powrotem przejąć Chorwaci, a porządku pilnować policjanci serbscy lub chorwaccy, w zależności od proporcji

mieszkańców. Taki był pokojowy plan Cyrusa Vance'a, pod którym podpisały się obie strony konfliktu.

Dziś z tego planu nie zostało nic, jeśli nie liczyć pół miliona żołnierzy w niebieskich hełmach, którzy coraz częściej zastanawiają się, jak ujść stamtąd cało. Już wcześniej w Sarajewie okazało się, że ONZ-owcy stali się ruchomymi celami dla walczących stron. Mają prawo użyć broni (lekkiej) tylko w obronie własnej. Nie mogą odpowiedzieć ogniem na strzał napastnika, bo odwet jest zabroniony. Wydarzenia w Krajinie pokazały, że „błękitne hełmy” mogą stać się zakładnikami.

Dwudziestego drugiego stycznia Chorwaci zaatakowali Krajinę od południa, żeby otworzyć sobie drogę do Dalmacji. Zerwany most w Maslenicy i ostrzał ze strony serbskiej odcinały im połączenie lądowe z południowym wybrzeżem. Odbili lotnisko pod Zadarem i zapórę wodną w Peruczy.

Serbowie odpowiedzieli ogniem artyleryjskim. Na terenie Krajiny, Baranii i Sławonii ogłosili mobilizację generalną. Wezwali pod broń mężczyzn od szesnastego do sześćdziesiątego roku życia. Do armii idą też kobiety. W Belgradzie tłumy ochotników stawiały się w punktach werbunkowych.

Na oczach i pod boki międzynarodowych sił rozjemczych ruszył serbski kontratak. Żołnierze francuscy, ochraniający ten sektor, znaleźli się na linii strzału. W pierwszych dniach walki od chorwackich pocisków zginęło dwóch Francuzów. Dwudziestu jeden ONZ-owskich policjantów zablokowali Serbowie. Najwyraźniej ONZ-owcy mieli być żywą tarczą.

Wjeżdżam do Krajiny od strony Karlovaca bombardowanego już od dwóch dni przez serbską artylerię. W punkcie kontrolnym Polacy i Nigeryjczycy. Żołnierze z białymi orzełkami na rękawach robią wielkie oczy na widok poloneza z wielkimi znakami FSO. Nie wiem, czy dyrektor firmy w Warszawie tak chętnie zgodziłby się na pożyczanie mi samochodu, gdyby zobaczył tę wioskę na linii frontu: po obu stronach drogi kikuty wypalonych domów, przestrzelone szyldy, pozrywane dachy, kupy gruzów. W Karlovacu przez ostatni rok Chorwaci załatali dziury, utworzyli nowe restauracje i sklepy, ale tu, na granicy, od czasu zeszłorocznej wojny nie mieszka nikt. W dziurach okien zagnieździli się snajperzy, krzeselko wartownika stoi puste, bo nikt już tędy nie jeździ. Ledwie zdążyłam przejechać, bo o szesnastej obie strony rozstawiają na drodze miny. Zamyka się za mną przejazd, otwiera się droga przez Krajinę.

Wiódł tędy szlak turystyczny – w każdej wsi czekały pensjonaty i restauracje; „Zimmer”, „Grill” – czytam zwęglone tablice dyndające nad czarnymi ramami okien.

Im dalej od linii frontu, tym więcej pojawia się życia. Mijam rowerzystę z karabinem na ramieniu, na drogę wychyla się wieprz, ktoś wypala łąki – idzie wiosna.

Od zeszłego roku najbardziej zmieniło się w Slunju. Przy głównej ulicy jedyny cały budynek to odmalowany na biało hotel. Przy dymiącym piecyku kuli się kobieta. – Nie

ma nic – mówi na dzień dobry.

– A pokój będzie?

– Wszystkie wolne, ale lepiej poszukać gdzie indziej, bo nie ma wody ani światła. Zimno.

Rzeczywiście, z ust idzie para.

– A coś do jedzenia...? Może kawa?

– Nic nie ma – kręci głową. – Rakija jest, ale nie wolno sprzedawać.

Z góry, od strony polskiego batalionu zbiega dziwna para: chłopak w za dużych wojskowych butach i w płaszczu ciągnie na wózku dziewczynkę w różowej wełnianej pilotce. Potem dowiedziałam się, że byli na obiedzie u żołnierzy. On ma piętnaście lat, ona dwanaście i od kiedy pojawili się w Slunju, nie rozstają się ze sobą. Nie wiadomo, skąd się wzięli. Polacy mówią, że chłopak jest Chorwatem i Serbowie bardzo go bili. Od tej pory ma zeza i poprzestawiało mu się w głowie. Mówi o sobie „Serb” i nosi na plecach drewniany karabin.

W sektorze polskiego batalionu mieszka ponad dwustu nie-Serbów. Dowódca trzyma w sejfie listę z nazwiskami i odhacza tych, którzy zginęli. W poniedziałek pijany Serb zabił drągiem pijanego Chorwata. Lokalna policja prowadzi śledztwo. W sobotę Serbowie przyszli do chorwackiej chałupy i zażądali rakii. Nie było, więc bili syna, dopóki nie umarł, a ojca, osiemdziesięcioletniego starca, polscy lekarze siłą zabrali do szpitala – chciał umrzeć w domu. We wtorek banda Serbów porwała dwóch Chorwatów i uprowadziła w nieznanym kierunku.

We wsi Donji Niksić zostało osiem osób. W poprzek drogi w czterech miejscach leżą pnie drzew – zabarykadowali się. Tylko ONZ-owski jeep może tam dojechać polami.

W jednej z zagród mieszka Luba. Na nasz widok truchleje, ale zaraz się rozpromienia. Opowiada szybko, a w przerwach płacze. Czworo dzieci i dziesięcioro wnucząt żyje po chorwackiej stronie, nie ma od nich żadnych wiadomości.

– Noc to jest śmierć.

Nie śpi, czeka, żeby tylko dożyć świtu.

– Strach mózg odejmuje – mówi, pokazując na głowę.

We wsi Klena zostało czworo Chorwatów: sami starcy. Dziadek wstaje i przynosi z pokoju zieloną kurtkę, pociętą nożem. Na plecach dwie pionowe dziury, brzeg kołnierza odcięty.

– O, tak. – Dziadek pokazuje, jak cięli szyję dookoła. – I jeszcze w oko coś wsadzili.

Dziadek leżał na łóżku i patrzył, jego nie ruszali. Nie zrozumiałam, po kim ta kurtka – po synu czy po zięciu.

W Lipovac mieszka 48 Muzułmanów. Na początku września ktoś puścił plotkę, że

Serbowie będą ich zarzynać – wszyscy uciekli do lasu. Policjanci z ONZ długo ich namawiali, żeby wrócili. Ich domy ciągle stoją nienaruszone. Na podwórku kobieta w chustce na czole pilnuje baranów. Od roku nie widziała dzieci – są po bośniackiej stronie. Najstarszy jest żołnierzem. Kiedy rozmawiamy, stamtąd, od strony obleżonego przez Serbów Bihacia, dochodzi pomruk ciężkiej artylerii.

Jej sąsiadka zza płotu ma siedmiu synów i cztery córki – stadko jasnych głów wychyla się przez sztachety. Marzy o ucieczce.

W sztabie generalnym polskich sił ONZ pojawiła się barykada z worków z piaskiem. Poza tym życie nabrało rumieńców: w kwaterze głównej za kasynem powstała mesa. Kadra najchętniej odpoczywa w dresach, oglądając CNN. Polacy już dobrze wiedzą, że zarabiają jedną czwartą tego, co płaci na nich ONZ. Czech dostaje prawie tysiąc dolarów, polski żołnierz bierze (na konto w kraju) 250. Odpowiednio więcej oficerowie. Reszta znika w ministerialnej centrali „Misje Pokojowe”. Pisali protesty do rzecznika praw obywatelskich. Pani premier miała odpowiedzieć w grudniu. Ostatnio MON obiecywał dodatek z budżetu.

– My nie walczymy o dodatek, ale o nasze pieniądze – mówią już otwarcie oficerowie w Slunju. Każdy polski żołnierz służący pod błękitną flagą w byłej Jugosławii traci dziennie 20 dolarów tzw. dodatku wojennego. – MON zredukował go do trzech dolarów, ale i tak nie płaci. Okazuje się, że przedtem minister spraw zagranicznych powinien określić, czy tu jest wojna. Zapraszamy.

Na linii demarkacyjnej między Chorwatami a Serbami Polacy mają dziesięć posterunków. Namiot ogrzewany kozą, łóżka polowe, agregat, który warczy przez całą noc, żeby reflektor oświetlał teren – wszystko otaczają białe worki z piaskiem. Dookoła zasieki z drutu kolczastego, schrony – ziemianki przykryte gałązkami świerku, piwnice sąsiedniego domu albo kanał do remontu samochodów. W tych schronach mają przetrwać atak artyleryjski. Wytrzymają ostrzał z moździerzy, rakiet – nie.

Kilka kilometrów przed Polakami gromadzą się siły chorwackie. Za plecami zbierają się Serbowie.

Co będzie, jak się zacznie?

– Najgorsze przeczekamy, a potem będziemy wiać na chorwacką stronę. Ale to jest tajemnica wojskowa.

– To logiczne – tłumaczą mi oficerowie. – Trzeba się ewakuować na stronę atakującego. Jeśli Chorwaci pójdą do przodu, siłą rzeczy znajdziemy się za ich linią frontu. Trzeba się ratować, bo nie przyjechaliśmy tu umierać.

Później, objeżdżając południowy sektor, pytałam Francuzów o ewakuację. Oni też nie chcą umierać. Ale przejście na stronę chorwacką uważają za absurdalne.

– Co by się stało z tymi, którzy zostaną w rękach Serbów: w Bośni, w Sarajewie, w Belgradzie?

Woleli wycofać wszystkie swoje stanowiska ze strefy buforowej. Ale przedtem

dostali lekcję – były ofiary, wzięto spośród nich zakładników. Serbowie oskarżają ich o zdradę – że pozwolili Chorwatom posunąć się do przodu. W pobliżu stanowiska, z którego wycofali się Francuzi, doborowy oddział serbski wpadł w zasadzkę – nazajutrz znaleziono zwłoki dwudziestu jeden żołnierzy, jeńców Chorwaci dobijali strzałem w głowę. Francuzi to potwierdzają – to oni zebrali trupy.

Serbowie ich obwiniają za tę masakrę. Dlatego Francuzi stacjonujący w Krajinie nie zdejmują kamizelek kuloodpornych i rzadko wychodzą z wozów pancernych.

W czasie ataku wojska serbskie stosują zasadę „przyklejania się” do ONZ-owców – jest szansa, że Chorwaci nie ośmielą się strzelać do „błękitnych hełmów”. Ale od tamtej pory obie strony zastrzegły, że nie mogą zapewnić nietykalności wojsk rozjemczych. Serbowie z trudem je tolerują, ale nie chcą wypuścić.

– Mają dość siły, żeby nas zablokować – objaśnia wysoki oficer. – A gdybyśmy mieli iść do przodu, trzeba jeszcze, żeby Chorwaci nas chcieli. Jesteśmy tu jak w kanapce.

– A jak będą chcieli was zjeść?

– Nikt nie ma interesu. No, chyba że przypadkiem.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego Francuzi czują się bezpieczniej: jak tylko wybuchł konflikt na południu Krajiny, na wody Adriatyku wyruszył ich lotniskowiec „Clemenceau”, za nim „La Foudre”, z helikopterami i szpitalem na pokładzie. Nie mówi się o tym, bo ich zadaniem jest trwać na posterunku, ale wiadomo, że odwrót mają.

– Nie chcemy być zakładnikami – mówią Polacy, bo też się domyślają, że Serbowie nie wypuszczą ich łatwo. Obserwują każdy ich ruch. Gdy któregoś dnia, porządkując posterunek, na chwilę spuścili błękitną flagę z masztu, za ich plecami natychmiast spuszczone szlabany.

Z polskiego batalionu wyruszam dalej na południe, w stronę frontu. Za ostatnim polskim posterunkiem kończą się ONZ-owskie szlabany. Czesi zniknęli z dróg. Co jakiś czas zatrzymują mnie serbscy milicjanci – są tak osłupiali na widok samotnej kobiety za kierownicą, że nawet nie patrzą na dokumenty. Jadę środkiem szosy – ostrzeżono mnie, że na poboczach mogą leżeć miny. Nikt mnie nie mija ani nie wyprzedza. W Krajinie nie ma benzyny.

Czasami wzdłuż drogi ciągnie piechur. Jeśli w moją stronę, to się zatrzymuję. Zabieram żołnierza, który mi mówi, że jest strażnikiem na pobliskim lotnisku. I tak dowiaduję się, skąd wzięły się tajemnicze helikoptery, które poprzedniego dnia zjawily się nad Slunjem. Inny mówi mi, że dostał przepustkę, żeby pożegnać się z rodziną – za dwa dni ma się stawić na froncie. Tak dowiaduję się o dyslokacji wojsk na południe. Chcąc nie chcąc, poznaję strategiczne informacje wojskowe. Nic dziwnego, że niechętnie patrzą na zagranicznych dziennikarzy w kraju, w którym toczy się wojna.

Do dziennikarzy się strzela. To prasa ogłosiła, że Serbowie trzymają w obozach

Bośniaków, że w ramach wyniszczenia Muzułmanów masowo gwałcą kobiety. To uparci reporterzy, którzy z narażeniem życia stale nadają z oblężonego Sarajewa, pokazują światu, kto w tej wojnie jest agresorem. Ja chciałam pokazać, że ofiarami tej wojny są też cywilni Serbowie, ale w Krajinie nie ma już granicy między cywilem a żołnierzem.

Chwilami wydaje mi się, że ktoś tu kręci film o drugiej wojnie światowej. Serbscy żołnierze wyglądają tak samo jak partyzanci Tity: furażerki, wysokie buty, na ramionach długie płaszcze. Nawet język ten sam:

– Walczyliśmy przeciwko faszystom.

Większość to półcywile: spod kurtki khaki wystają niebieskie koszule, jedyne odznaki na pagonach to kolorowe płócienne szmatki, na nogach adidasy. Na plecach wiszą nieodłączne strzelby – często myśliwskie flinty, ale też karabiny ze snajperską lunetą.

Z takim snajperem przyszło mi pić na froncie śliwownicę. Korespondent wojenny to nie jest robota dla abstynentów. Bywały takie dni, kiedy rano degustowałam czeskie piwo (z Czechami i Słowakami z policji ONZ w Kninie), w południe serbscy chłopcy częstowali mnie rakiją, a do kolacji sączyłam z francuskimi oficerami bordeaux.

W Kninie, w przedpokojach tamtejszych władz, natykam się na rząd kobiet w czerni. Awantura: te „matki bohaterki” (jak na co dzień przedstawia je serbska telewizja) żądają, żeby telewizja przyszła właśnie tutaj, do nich, pokazać, jak od wielu godzin i od wielu dni proszą o pracę albo zapomogę. Dziś znów nikt nie ma czasu ich przyjąć. Za każdym razem, kiedy otwierają się jakieś drzwi, podnosi się jazgotliwy chór wdów. Cichną, gdy wychodzi do nich oficer w obcisłym kombinezonie.

– Czego chcecie?! – krzyczy od razu.

– Zostałam z czworgiem dzieci i nie mam za co kupić im chleba – mówi ochrypłym głosem najmłodsza.

– Mam ci dać? – zbliża się do niej.

– Tak.

Mężczyzna wyciąga z tylnej kieszeni plik banknotów i rzuca jej na piersi. Kobieta w czarnej sukience powoli zbiera papierki i wkłada do torebki. On zbliża do jej twarzy magazynek od karabinu, podnosi jej brodę i mówi powoli:

– Moja żona się kurwi, żeby nakarmić dzieci. Ty też możesz dawać dupy za pieniądze. Wyjdz.

Wybiegłam za nią. Nie bała się pójść ze mną na kawę. Potem odwiozłam ją do domu, 25 kilometrów w stronę frontu. Zabrałyśmy na skrzyżowaniu jej sąsiadki (jedna w ciąży) i to był dobry glejt na wszystkie posterunki po drodze. Tak mogłam zobaczyć tyły serbskich wojsk: czołgi za stodołami i pieszych żołnierzy ciągnących w stronę frontu.

W siedzibie rządu przez nikogo nieuznanej Serbskiej Republiki Krajina przyjmuje mnie Boris Martinović, długowłosa, brodaty inwalida. Mam dużo czasu, żeby mu się przyjrzeć, czekając na chwilę rozmowy, bo przez doradcę władz w Kninie najwyraźniej przechodzą wszystkie najważniejsze sprawy. Wreszcie rzuca na mnie okiem: – Ja panią skądś znam... W zeszłym roku, jesienią, w Osijeku...

Rzeczywiście, towarzyszyłam konwojowi PCK, który odbierał stamtąd dzieci z Bosanskiego Brodu.

Potem opowiedział mi swój życiorys, a raczej historię licznych członków jego rodziny, dwóch pokoleń zamordowanych przez Chorwatów. Ten wątek rachunków z drugiej wojny powracał we wszystkich moich rozmowach z Serbami.

– Spodziewamy się agresji na całą republikę i to będzie początek wojny w tym regionie.

Po dwóch latach wojny, odcięci od świata, na granicy głodu, Serbowie znów chwytają za broń. Mają świadomość, że świat jest przeciwko nim, i gotowi są walczyć z całym światem.

– Musimy walczyć o swoją ziemię – powtarzają. – My się tylko bronimy.

Ale kiedy pytam jednego z dowódców sił zbrojnych, pułkownika Trugovicia, gdzie jest jego strefa działania, pokazuje mi na mapie obiema rękami obszar od Krajiny na zachód, aż do Zagrzebia. Broni mają dość, a Belgrad wspomaga ich ludźmi i logistyką.

– Francuzi sami oddadzą nam swoją broń – dorzuca żartobliwie pułkownik. Żart jest tym bardziej pikantny, że jesteśmy gośćmi tamtejszego dowódcy francuskich oddziałów ONZ.

Serbski pułkownik był spadochroniarzem w Riazaniu.

– Mam już dość wysłuchiwania, że Serbowie i Rosjanie to bracia, i pytania, kiedy wreszcie moi rodacy przyjdą im z pomocą – skarżył mi się w Gradczacu ONZ-owski policjant moskwiczanie. Z innego źródła dowiedziałam się, że na froncie w południowej Krajinie walczy już trzystu ochotników z Rosji.

Trzy dni temu ONZ-owscy policjanci zostali bezpardonowo wyrzuceni z jedyne przyzwoitego lokalu w mieście. Zajął go legendarny Arkan.

Mówi się o nim, że ma na sumieniu dwa tysiące Bośniaków. Wsławił się krwawą ekspedycją w Vukovarze. Pojawia się ze swoimi ludźmi wszędzie tam, gdzie załamała się regularna armia, by podnieść morale. Budzi strach i szacunek. Obok innego herszta Dragana, który też nadciągnął na kraiński front, figuruje na waszyngtońskiej liście zbrodniarzy wojennych. Za napady w Europie ścigają go policje kilku krajów zachodnich. Teraz stacjonuje w Gradczacu, pod bokiem sztabu wojsk francuskich.

– Jasne, możemy go złapać, ale nie wyszlibyśmy stąd żywi. – Ani francuscy wojskowi, ani policja ONZ nie kwapią się do kontaktów z Arkanem.

Pojechałam do sztabu Arkana przed zmierzchem. Wyszedł mi na spotkanie krępy

czterdziestolatek ostrzyżony na skina.

– Nie ma Arkana.

– Będzie?

– Nie będzie.

– Może jutro? Z daleka przyjechałam. Z Polski.

– Arkan nie rozmawia z prasą, zwłaszcza z katolikami. Będzie udzielał wywiadów w Zagrzebiu. – Zaśmiał się, odsłaniając białe zęby, ale świdrujące szare oczy się nie rozchmurzyły.

Wolałam szybko wrócić do francuskiej jednostki, zanim zapadnie noc. Jeszcze za plecami usłyszałam, że żołnierze mówili do mojego rozmówcy: „generale”.

To był on, Francuzi znali jego twarz z gazet i z opowiadań. Nie dałam za wygraną. Nazajutrz scena się powtórzyła: Arkan nie ma. Ale mimo to kazał mnie wprowadzić. Siedział rozparty za stołem, naprzeciwko wyprężony serbski pułkownik, który poprzedniego wieczoru był z kurtuazyjną wizytą u Francuzów.

– Już ci mówiłem, że Arkan nie będzie z tobą rozmawiał – uśmiecha się do pułkownika. – Po co znowu przysłaś?

– Sprawdzić, czy nie zmieniłeś zdania.

– Nie chce mi się rozmawiać. Chyba że po grecku.

– *Endaksi* [zgoda]. – Przypomina mi się nagle język, którym nie mówiłam od trzynastu lat. Zatkąło go.

– Mówisz po grecku?

– Jasne. – Wydaje mi się, że nie przypomnę sobie już ani słowa. Ale o dziwo ciągle jeszcze rozumiem, co do mnie mówi.

– Ale historia! – rozkręca się Arkan. – Skąd znasz grecki? Mieszkałaś tam? Gdzie? Chodź, idziemy do mnie. Pułkownik, jestem zajęty – rzuca za siebie, i już idziemy korytarzem, obejmuje mnie, proponuje kawę. – Słodką, średnią czy bez cukru?

– Średnią – zdołałam jeszcze wykrztusić. – Ale może przejdziemy na francuski? – proponuję. Wiem, że dobrze mówi po francusku, tak jak wielu jego ludzi. Prawdopodobnie służyli w Legii Cudzoziemskiej.

– Nienawidzę Francuzów – ucina krótko i osadza mnie spojrzeniem. Przez całą rozmowę mam poczucie, że nie mogę spuścić wzroku, że jest jakaś magia w takim patrzeniu prosto w oczy bestii. I jeszcze nie pokazać, że drżą mi wargi.

– Opowiedz mi o sobie, stary – staram się być na luzie.

– Co chcesz, żebym ci powiedział, *agapi mu* [kochana]? Cztery lata chodziłem do szkoły w Atenach, mam fabrykę mebli w Salonikach, jestem bogaty. Wiesz, bank w Szwajcarii i w Belgradzie, cztery kasyna gry w Niemczech... Ale na razie nie mogę się stąd ruszyć. Jestem zbrodniarzem wojennym.

- Ach tak...
- Tak, tak o mnie mówią, bo walczę za Serbię.
- Ilu zabiłeś?
- Nie liczę.
- Co robisz z pieniędzmi?
- Daję dla kraju. Na pomoc humanitarną.
- A ile płacisz żołnierzom?

– Moi ludzie walczą za ojczyznę, za wiarę. To jest wojna o religię prawosławną. Zobacysz, za nami pójdą Grecy, Rosjanie, Bułgarzy – zapala się. – A wasz Papież, *jebu jego majku...*! To jest wojna przeciwko faszystom niemieckim, którzy chcą wyprzedzić na naszym rynku Amerykanów, a ci z kolei idą łeb w łeb z Japończykami...
– Tu gubię się trochę w jego wywodach ekonomicznych. – To, co tu widzisz, to jest uwertura do trzeciej wojny światowej. Już wkrótce nadejdzie czas naszego zwycięstwa. Wtedy pójdziemy w Paryżu na szampana. Zapraszam cię! – (Kiedy później opowiadałam tę rozmowę Francuzom, niektórzy się śmiali, ale oficer od informacji nerwowo wszystko notował). – Damy wreszcie nauczkę niemieckim i chorwackim faszystom. Oni się nie zmienili od tamtej wojny: *Ausländer raus*, krzyczą, ludzi zamykali do obozów...

– Ja byłam w Manjacji i w Trnopolju, i w innych serbskich obozach – przerywam mu. Zamilkł. Widzę, jak wzbiera w nim złość i rozczarowanie.

– Co ty tu w ogóle robisz? Czego tu szukasz? – podnosi głos.

– A co, chcesz, żebym ci grzecznie przytakiwała? – Próbuję się śmiać.

– Fajna jesteś. – Chyba podziałało, bo i on się zaczął śmiać, wstał i spróbował mnie objąć. Zrobiłam unik i szybko wstałam; jest niewiele wyższy ode mnie.

– Muszę już iść. Francuzi mogą się niepokoić, boją się, że mnie zarzniesz.

– Ja? Zarznąć? Przecież nie mam nawet noża. – Odchyła kurtkę. W kaburze ma rewolwer, u pasa dwa granaty, z boku pochwę na bagnet. – Nie wygłupiaj się, siadaj, pogadamy jeszcze. – Poczulałam w jego głosie prośbę znużonego wojną żołnierza. Przycupnęłam jeszcze na stole. On znów rozwalił się na krześle, nogi zarzucił na stół.

– Jestem obywatelem świata. Zamykam oczy, pokazuję palcem na mapie i tam jadę.

– To po co tu siedzisz?

– Jestem żołnierzem. Dwudziestu jeden moich chłopaków zabili... – Oczy robią mu się wilgotne.

– Gdzie byłeś przedtem?

– W Benkovac.

– A przedtem?

– Zawsze tu.

– Nieprawda. Byłeś w Bośni i w Vukovarze.

– Ja?

– Tak, samochód masz na rejestracji Vukovaru.

– Sprytna jesteś – śmieje się. – Fakt, broniłem Vukovaru, a i w Bośni się było...

Tak sobie rozmawiałam ze zbrodniarzem wojennym w jego kwaterze, pod bokiem wojsk i policji ONZ.

– Od początku byliśmy w dwuznacznej sytuacji – wyznał mi prywatnie francuski dowódca. – Jeśli nie możemy nawet przygwoździć zbrodniarzy wojennych... Nasza obecność pozwoliła Serbom wzmocnić się w Bośni. Zamiast chronić innych, chronimy siebie.

Kiedy wyjeżdżałam z Krajiny, punkt kontrolny w Turanju był już zamknięty. Poprzedniego dnia chorwacki snajper trafił tu serbskiego wartownika prosto w krtani. Serbowie przestali więc odsuwać na dzień z drogi zielone placki min przeciwczołgowych. Między nimi beztrąsko przechadzają się polscy żołnierze. W samych mundurach (już ciepło), z gołą głową – wiadomo, że ani blaszany hełm, ani kamizelka kuloodporna nie wytrzymują kałasznikowa.

Uśmiechali się, gdy przywdziałam ciężką kamizelkę (wyprawka od niezastąpionego warszawskiego detektywa Rutkowskiego). Bardziej przejęli się reklamowym polonezem FSO, który kazali mi postawić za workami z piaskiem. Gdy w zeszłym tygodniu spadł pocisk, prosto w środek polskiego posterunku, z namiotu zostało sito, a z tarpana wrak. Żołnierze polscy w Turanju przenieśli łóżka do piwnicy.

Serbska Krajina, luty 1993 roku

Pokój po chorwacku

W Mostarze powstaje getto – tak o tym mówią szeptem Muzułmanie, którzy całymi rodzinami gromadzą się przed schroniskiem dla uchodźców, wyrzuceni z domów, z mizernymi tobołkami, terroryzowani. Nic nie wiedzą o losach swoich bliskich z tamtej strony miasta i tych, których zamaskowani bojówkarze wygarniali z domów.

Wielu nie wróciło z heliodromu (kompleksu wojskowego na przedmieściach Mostaru, gdzie Chorwaci internowali setki muzułmańskich rodzin). Ukradkiem pokazują, że zostali obrabowani, pozbawieni dachu nad głową i skazani na ucieczkę.

Próbują wcisnąć się do autobusów jeżdżących na tamtą stronę miasta. Odjeżdża jeden, dwa dziennie: nigdy nie wiadomo kiedy.

Błagają o przewiezienie żołnierzy z ONZ i nielicznych dziennikarzy. Na drugą stronę trzeba przejechać pędem pas kilku zagruzowanych ulic, otwartą przestrzeń ostrzeliwaną przez chorwackich snajperów, most pontonowy, znów otwartą przestrzeń – to już strona

muzułmańska.

Mostar, stolica Hercegowiny, był typowo bośniackim, wielonarodowościowym miastem: od wieków sąsiedowali tu ze sobą katolicy Chorwaci, Muzułmanie i prawosławni Serbowie. Według planu Vance'a i Owena Mostar miał być w kantonie chorwackim. Zdaniem Chorwatów Muzułmanie zbuntowali się przeciw temu i zaczęli przed trzema tygodniami ofensywę przeciwko swym dotychczasowym sojusznikom.

Muzułmanie widzą tę wojnę inaczej: Chorwaci przetłumaczyli plan kantonizacji Bośni nie jako układ sił we władzach, lecz otwarcie drogi do fizycznej eliminacji Muzułmanów z przydzielonych Chorwatom terenów.

Dziewiątego maja o świcie Chorwaci przypuścili szturm na sztab generalny muzułmańskiej armii Bośni i Hercegowiny. Część, z dowódcą płk. Arifem Paszalicem, ewakuowała się za rzekę. Pozostał po nich zwęglony wieżowiec w centrum i legenda o obrońcach. Teraz okrążeni z jednej strony przez Chorwatów, a z drugiej przez Serbów żołnierze muzułmańscy gotowi są bronić się do końca.

Historyczny Mostar po roku serbskich bombardowań ostatecznie legł w gruzach w maju. Życie w oblężonej dzielnicy staje się z każdym dniem coraz bardziej niezdolne. Od roku nie ma wody, dowozi się ją cysternami. Zburzone przez Serbów wodociągi naprawiono, wystarczyłoby, żeby Chorwaci z tamtej strony odkręcili kurki. Racje żywnościowe z międzynarodowej pomocy humanitarnej rozdziela się na kartki. Dla nowych uchodźców śpiących w sali kina i domu dziecka garkuchnia wydaje jeden ciepły posiłek dziennie. Papierosy są na wagę złota. Strzałki na murach pokazują bezpieczne przejścia, czasem przez środek mieszkań, żeby nie wchodzić na cel snajpera.

Spotkałam w oblężonej dzielnicy malarza z Gdańska, który mieszka w Mostarze od piętnastu lat. Jego żona Muzułmanka jest pielęgniarką pod Sarajewem. Mówi, że Serbowie przez rok tak nie zniszczyli miasta jak teraz Chorwaci.

W środę po południu mężczyzna w białej koszuli próbował przejść przez główny bulwar – linię frontu w centrum miasta. Trafiony w plecy przez chorwackiego snajpera, padł twarzą na środek ulicy. Jego ciało leżało tam przez całe popołudnie: nikt nie ośmielił się wejść w pole ostrzału. Koszula na plecach zrobiła się zupełnie czerwona.

Chorwaccy snajperzy pokazują, że muzułmańska część miasta ma być zamknięta. W środę w południe na jedynym moście między walczącymi stronami kula trafiła w samochód ambasadora Francji. Hiszpanie z sił ONZ zmieniali po stronie muzułmańskiej cztery koła transporterów opancerzonych, podziurawione na moście kulami snajperów. Poprzedniego dnia wóz pancerny z oznaczeniem UN dostał dwa pociski dużego kalibru, jeden prosto w okienko o wymiarach 6–12 centymetrów.

Po drugiej stronie mostu na trójstronnych rozmowach, które nie przyniosły niczego, był dowódca muzułmańskich oddziałów w Mostarze, pułkownik Paszalić. Hiszpanie w błękitnych hełmach z nie małym trudem obronili go przed napaścią słynnego tu

herszta Juki, który przyszedł przed gmach, gdzie toczyły się rozmowy, z grupą uzbrojonych mężczyzn i damską obstawą. Skończyło się na lżeniu i groźbach, ale Hiszpanie przeżyli trudne chwile. Nie zgadzają się już eskortować samochodów z dziennikarzami. Chorwaci zagrozili im, że będą strzelać do każdego cywilnego samochodu, który spróbuje za nimi przejechać na muzułmańską stronę.

Z zasady dziennikarze muszą liczyć tu na własne siły. Żaden cywil nie ma prawa wstępu do wozu pancernego UNPROFOR, dlatego każda poważna gazeta, a zwłaszcza sieć telewizyjna, porusza się własnym samochodem opancerzonym, im bardziej dyskretnym, tym lepiej. Dobry samochód łatwiej stracić. Mojego fiata 125p na polskich numerach znają już na tym moście – przez kilka dni jakoś przejeżdżałam i jeśli coś świstało, to raczej na postrach. Ale po dwóch dniach oczekiwania na uspokojenie ognia snajperów musiałam wyjechać z zamkniętego Mostaru bocznymi drogami, ku zdumieniu Chorwatów blokujących wszystkie wyjazdy z miasta. Dawno już nie widzieli tam nikogo.

Nikt bowiem z miejscowych nie ośmielił się przedrzeć z jednej strony miasta na drugą. Sterroryzowane, pozbawione dachu nad głową, rozdzielone rodziny po stronie kontrolowanej przez wojska chorwackie czekają, że w każdej chwili przyjdzie na nich kolej i zostaną przegnane do muzułmańskiego getta.

Listy na murach

„Jestem Muzułmaninem, pracowałem w Czerwonym Krzyżu. Siedzę w więzieniu w Ljubuszki. Aresztowali mnie tylko dlatego, że jestem Muzułmaninem”. Taki list pisany łamaną angielszczyzną na opakowaniu od papierosów wyniosłam z więzienia wojskowego przy heliodromie w Mostarze.

Udało mi się tam wejść po dwóch dniach czekania pod bramą, chyba jakimś cudem, bo nie wpuszczają tam ONZ-owców ani Czerwonego Krzyża. Mam też listę więźniów z innej celi. „Wzięli nas wszystkich z autobusu jadącego z Zagrzebia... pracowaliśmy za granicą”. Na migi pokazywali mi, że odebrali im wszystko, co zarobili – pieniądze, zegarki. Aresztowali też kierowcę autobusu.

W innym grypsie więźniowie opowiadają, jak wojska chorwackie przerzucały ich z jednego więzienia do drugiego. Po wizycie generała Philippe'a Morillona², dowódcy wojsk ONZ w Bośni, ludzie więzieni w Mostarze mieli być wypuszczani do domów. Tymczasem trafili do okolicznych więzień na roboty. Niektórzy z powrotem trafili do Mostaru na słynny heliodrom.

Tędy w pierwszych dniach chorwacko-muzułmańskiego konfliktu przeszło 2000 cywilów. 1400 osób zwolniono – głównie kobiety i dzieci – i odstawiono na most na Neretwie. Stąd uchodźcy wędrowali do starej części miasta bronionej przez armię

Bośni i Hercegowiny.

Władze chorwackie przedstawiły oficjalną listę 597 osób zwolnionych z heliodromu i drugą – zmarłych do 28 maja. Na 36 osób 30 to cywile. Nie podaje się, jak zginęli. Listę podpisał wydział walki z przestępczością. Wydruki komputerowe list wiszą na murach zamkniętego miasta. Wielu ludzi na próżno czyta kolejne drobne literki – często nie ma tam ich bliskich, którzy nie wrócili do domu.

Opowiadają, jak żołnierze ze znakami HVO (Chorwackiej Rady Obrony) zabijali ludzi na miejscu, na podwórku pod domem.

Już drugi dzień leży na ulicy ciało zastrzelonego w środę przez chorwackich snajperów cywila, który próbował przejść do dzielnicy muzułmańskiej. Chorwaci nie pozwolili nawet ONZ-owcom na zabranie zwłok z linii ostrzału. Poprosili ich za to o zdjęcie z linii frontu dwóch swoich żołnierzy – mieli być ranni, okazali się martwi (według umowy „błękitne hełmy” zajmują się tylko rannymi).

Na cmentarzu muzułmańskim po chorwackiej stronie codziennie pojawiają się nowe groby. Obok gruzów meczetu, wysadzonego w powietrze w ostatnią niedzielę, kilku mężczyzn przez cały dzień kopie nowe doły. Przez ostatnie trzy dni pochowali pięćdziesiąt ciał, które przywozi przedsiębiorstwo oczyszczania miasta. Na niektórych mogiłach zatknięto tabliczki NN i numer fotografii – jedyna identyfikacja nieznanych zwłok.

Przy pochówku nie ma żadnych ceremonii – grabarz pokazuje mi świeże groby dwóch muzułmańskich duchownych. Rozmawiamy, siedząc w kucki wśród starych muzułmańskich pomników. Mówi półgłosem i radzi mi szybko odejść.

Watażka contra onz

Poznałam w Mostarze dowódcę „prywatnej armii”. Słynny Juka, ten sam, co się wstawiał walecznością w Sarajewie, gdzie z Serbami walczą razem Chorwaci i Muzułmanie, a potem (przyłapano na plądrowaniu?) zaczął strzelać do swoich. Teraz znalazł się po stronie Chorwatów i z zaciekłością zwalcza rodaków, Muzułmanów. Nadjechał nowiutkim BMW pod gmach, w którym pod auspicjami ONZ negocjowali dowódcy walczących stron.

– Czekam na Paszalicia (muzułmański dowódca), żeby mu powiedzieć: Jebu twoju majku. Ja bym go zabił, gdybym miał rozkaz.

– To ja paliłem! – wrzeszczał, pokazując na zwęglony gmach po drugiej stronie jezdni, gdzie mieścił się sztab Paszalicia. Tam właśnie zaczął się 9 maja chorwacki szturm.

– Pięćdziesięciu ludzi mam – chwalił się, ściągając z grzbietu, jakby od niechcienia,

czarną podkoszulkę Reebok. Błysnął srebrny pleciony pasek, zza którego w tym momencie wypadł rewolwer. Zawahał się, czy ma się pochylić, żeby go podnieść, ale ktoś się rzucił usłużnie, a półnagi Juka zaczął przechadzać się i prężyć mięśnie. Na wątej piersi niebiescił się tatuaż dziewczyny.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści.

– Jakie masz auta?

– Dwa bmw, golfa, audi i motor suzuki 1100, za 50 tysięcy marek. Jebu auta!

– Mówią, że byłeś w więzieniu.

– Kłamią!

– Co robiłeś przed wojną?

– Miałem agencję detektywistyczną, ściągałem długi.

– Słyszałam, że na Zachodzie ściągasz pieniądze od emigrantów na obronę Bośni.

– Ja jestem jedyny.

– Juka, jesteś Muzułmaninem. Strzelasz do swoich?

– Dziesięciu ludzi zabili mi Muzułmanie. Oni są czetnicy, złodzieje! Ja walczę za demokrację, za wolność. Ja – polityka – nie. Ja strzelam.

Słowo „czetnik” to w jego ustach największa obelga, coś tak jak u nas „faszysta”.

Tym razem skończyło się na pluciu: kiedy zakończyły się rozmowy, Hiszpanie błyskawicznie podjechali wozem pancernym i prosto z budynku przechwycili muzułmańskiego dowódcę, za którym wściekły Juka pluł, wrzeszcząc.

W zamieszaniu ONZ-owski konwój pomylił drogę (dzięki czemu niechcący przejechałam na drugą stronę frontu jeszcze przed nimi). W chwilę później na moście chorwaccy snajperzy ostrzelali pojazdy. Ale ja już byłam po drugiej stronie rzeki.

Coś polskiego się we mnie obudziło...

W środku wojny w Bośni spotkałam Polaków. Znaleźli się tam przypadkowo, jak większość ludzi, których ta wojna dotknęła. Każde z nich po innej z walczących stron. Regina wierzy, że jej polski paszport chroni męża i dom. Męża Reginy, Muzułmanina, nie aresztowali Chorwaci, chociaż byli po niego trzy razy. Za każdym razem wychodziła do drzwi ze swoim paszportem i mówiła: – Ja katoliczka.

Arif ma łóżko polowe na strychu i mały stolik. Dachówki z jednej strony są ruchome: w każdej chwili może je rozsunąć i uciekać przez dach. Śpi w ubraniu.

Teraz, dzięki temu paszportowi, wysłałam za mną do Polski dwie starsze córki, a sami zostaną w Mostarze z najmniejszą. Dziewczynki będą milczały przez całą drogę, tylko

raz się ożywią: potok słów popłynie na wspomnienie tamtej nocy.

9 maja o świcie obudziły ich krzyki na ulicy.

– Patrzymy: idą ludzie w piżamach, płaczą: „Na lewą stronę nas gonią”. Pięćset, może sześćset osób? Deszcz lał – opowiadała Regina.

Dwóch zastukało: – Gdzie mąż?

– Nie wrócił z pracy, na nocnej zmianie pracuje... Proszę, Polka jestem, troje dzieci...

Jak wyszli, wypła dwie wódki i zapaliła papierosa.

– Coś polskiego się we mnie obudziło...

A jego już nie było. Szukała go, znalazła w rozwalonym domu. Worek jedzenia mu zaniósła.

Sąsiada na jej oczach zabrali na heliodrom. Miał obok kawiarnię, pizzerię, butik.

– Podjechał samochód z napisem „Policja Wojskowa”, ale to byli złodzieje, widziałam, jak kradli. Wszystko wynieśli, potem długo chodzili, ściany opukiwali, szukali pieniędzy. Na koniec polali fosforem i podpalili. Za dwie godziny wszystko było spalone.

Za murem sterczy zwęglony kikut nowego domu. Po ciemku siedzimy w ogródku, obserwując przemykające samochody z otwartymi bagażnikami pełnymi sprzętów. Tej nocy na ich ulicy spłonął dom starego piekarza. Rano ukradkiem robiłam zdjęcia, jak po dymiących zgliszczach chodzili strażacy.

– Jak palili, Chorwaci zamknęli okna. Jeden wyszedł: „Co robicie?”. To go postraszyli karabinem.

Gdyby jednak nie pomoc sąsiadów – Chorwatów, Arif nie mógłby się tak długo ukrywać.

– To wielka Chorwatka, dobra katoliczka – Arif gorliwie przedstawiał mi sąsiadkę, która przyniosła dla dzieci szpinak.

Ale nie zdążyły go zjeść: o świcie matka spakowała im torby i wsadziła do mojego samochodu – postanowili ratować, co najcenniejsze.

– Najlepsze uczennice w klasie... – zaszlochał Arif i odszedł szybko do komórki, żeby nie pokazać łez. Regina opowiadała, jak przez rok wojny woziła dziewczynki autostopem do szkoły muzycznej, o 28 kilometrów od Mostaru.

U innej sąsiadki, też Chorwatki (syn w HVO), ukryli samochód.

– Wszyscy mnie znają i lubią – powtórzył Arif kilkakrotnie, jakby musiał się sam upewniać.

Cały majątek Arifa to dom i warsztat – jest elektrykiem. Teraz szyld zdjęli z frontowej ściany. Regina, choć z dyplomem uniwersytetu toruńskiego w kieszeni, też nauczyła się przewijać silniki. Zdążyła urodzić mu trzy córki, założyć ogródek, dbać

o mały domek, który wynajmowali Polakom, kiedy tu jeszcze przyjeżdżali turyści. Na Boże Narodzenie ubierała choinkę, a na Bajram piekła słodką baklawę. Na wakacje jeździli co roku do Polski i zdawało się, że zawsze już będzie dobrze.

– Frajer jestem, że nie uciekłem rok temu do Polski. Chciałem kupić dom w Zakopanem... – rozmarzył się Arif. Poznali się w Zakopanem na nartach. Teraz wciąż wierzy, że Prezydent RP odpowie na ich prośbę: osiem miesięcy temu napisał o polski paszport.

– Napisałem jak elektryk do elektryka... Czekam. A teraz co? – Arif stara się mówić po polsku. – Człowiek ma wszystko i na końcu nie ma nic. Ręce do góry i won!

Od roku Muzułmanie nie mogą opuszczać miasta bez zezwolenia. Poszłam więc do chorwackiego komendanta Mostaru, wyprosiłam pozwolenie na wyjazd dla Arifa. Ale okazało się, że „wiza” działa w jedną stronę – bez prawa powrotu. Pięćdziesięcioletniemu rzemieślnikowi trudno rozstać się z dorobkiem całego życia. Wie, że nie wywiezie nic, a gdyby zostawił dom, nie będzie miał do czego wrócić, wszystko zabiorą. Wie też, że mogą przyjść po niego któreś nocy i pozostanie mu się modlić do nie wiadomo jakiego Boga, żeby uratować głowę.

– Chyba się ochrzczę... – kręci głową bez przekonania. I zostaje w Mostarze, a razem z nim dużo młodsza żona (dżinsy, koński ogon), którą piętnaście lat temu przywiózł z Zakopanego, o pół dnia drogi samolotem z przesiadką.

Basia dowie się dopiero ode mnie, że jej mąż dobrze sobie radzi po polsku. Podszedł do mnie na ulicy:

– Ciń dobry pani! – słyszę niespodziewanie w środku Mostaru, o 2000 kilometrów od Warszawy. Poznał polską rejestrację. Młody chorwacki żołnierz zawiezie mnie do żony jeszcze tego samego popołudnia. Po drodze z całą naiwnością wyznaje, że nosi odznakę HVO – wojsk Bośni i Hercegowiny, ale kazali im to przypiąć, żeby ONZ się nie czepiała. Tak naprawdę jest teraz najemnikiem w chorwackich jednostkach specjalnych. Nosi czarny beret i panterkę, jak wszyscy.

Karabin dostał jeszcze na początku wojny z Serbami, w „prywatnym” wojsku – opowiada. Kiedy z lasu zaczęli do nich strzelać serbscy czetnicy, to Bośniacy wyciągnęli broń z wersalek. Rafael dostał „serbkę” od bogatego człowieka, właściciela szrotów, który za swoje pieniądze założył armię. Dziś ma pięćdziesięciu żołnierzy i dwadzieścia armat. Wszyscy się go boją. HVO korzysta z jego usług, kiedy trzeba wysłać ludzi na „akcję”. Opłaca mu się to, oczywiście. Przynoszą z „akcji” sprzęt hi-fi, lodówki, samochody... Sprzedaje i wciąż wszystkim trzęsie.

Rafael opowiada, że w Mostarze jest kilku takich dowódców „prywatnych” armii.

– Co to jest „akcja”? – pytam go w drodze na heliodrom.

– No, idzie się wyzwalać teren.

– Znaczy, walczysz na pierwszej linii?

– Nie, po tym, jak już wojsko go zajmie. Dwa dni temu wróciłem z Prozoru. Co widziałem, nie mogę opisać. Tak śmierdziało trupami, że nie mogliśmy przejść.

– Ale co robisz konkretnie? Strzelasz?

– Strzelam.

– Z bliska?

– Z piętnastu metrów.

– Do kogo?

– ...

– Zabijasz?

– ...

Nie widzę jego twarzy, trudno się rozmawia na kamienistej drodze, świeżo wyrąbanej w stromym zboczu. Gdy z naprzeciwka wspina się auto, trzeba stanąć i przepuścić je. Z heliodromu jadą sami mundurowi w osobowych limuzynach, najczęściej bez tablic rejestracyjnych. Rudy kurz oblepia szyby.

– Jakbym nie strzelił, toby oficer strzelił do mnie.

Mieszkają na heliodromie, znaczy na przedmieściach Mostaru w pobliżu kompleksu wojskowego, gdzie w maju, na początku konfliktu, Chorwaci internowali 2000 muzułmańskich cywilów.

– Widziałam na własne oczy, jak ich pędzili – Basia opowiada chętnie, bo cieszy się, że wreszcie może z kimś pogadać po polsku. – Wysiedlili ich z hotelu po drugiej stronie ulicy, tego z napisem „Tito, kochamy cię”. To byli uchodźcy, co wcześniej uciekli tutaj przed Serbami. Najwięcej kobiet i dzieci. Płacz był, krzyk, a oni poganiali i strzelali. „Hitler był lepszy od was!”, krzyczałam na nich, a oni się śmiali.

Basia zaciska pięści, gdy pokazuje, jak krzyczała. Rafael podnosi oczy na żonę, słucha. Milczy.

Oglądam ślubne zdjęcia. Pod chorwacką flagą w biało-czerwoną szachownicę ona – wysoka blondynka z Mielca i on – przystojny, ciemnowłosy, mina poważna (miał wtedy 23 lata, ona 25), dolna szczęka lekko wysunięta do przodu. Siedzi w rozkroku, dłonie oparte na kolanach, albo stoi sprężysto, z rękami do tyłu. Też w rozkroku.

Przy stole znów mówimy o „akcjach”. Basia podaje kawę po turecku i śmieje się:

– Ja to wolę nie wiedzieć.

Ale on nie ma przed nią tajemnic, a może przy mnie nabrał odwagi. Wyraźnie chce jej czymś wreszcie zaimponować.

– Mój kolega to nawet obcina uszy. Naprawdę! – rzuca w stronę śmiejącej się z niedowierzaniem żony. – W tabakierce ma kolekcję.

– Muzułmanie to nie są ludzie, nie czują – tłumaczy. – Dzieci zabijają... Oni chcieli zrobić muzułmańskie państwo w Europie!

Zatyka go, gdy mówię, że poprzednią noc spędziłam po muzułmańskiej stronie. Robi się podejrzliwy. Niechętnie wychodzi z pokoju, kiedy żona, maskując irytację, wysyła go: a to do dziecka, a to po coś do sąsiadki.

Po drodze prosił, żebym nie mówiła żonie, że spotkaliśmy się w centrum miasta. Upatrzyli sobie z kolegą samochód, ale jeszcze nie udało im się go uruchomić. Poradził, żebym została u nich na noc – tu, na przedmieściu, o 100 metrów od frontu, mój samochód będzie pewniejszy. W centrum kradną wszystko. Próbowaliśmy jeszcze rozmawiać, ale dzieci nie chciały zasnąć w kuchni w upalną noc. W dodatku w oknie powiesili koc. W mieszkaniu po Serbach tylko w jednym pokoju stoją skromne meble. Wszystko, co mieli – całe skarby, które rodzina Basi przywiozła z Polski – spłonęło w domu ojca Rafaela (to pierwsza wersja). Później któreś się wygadało, że rozkradli sąsiedzi, Chorwaci, kiedy oni wyjechali do Polski.

– Rodacy jego. – Basia z przekąsem układa buzię w ciup. – I co ja teraz mam?

Rafael zarabiał w Polsce tysiąc marek miesięcznie (raz mówił, że naprawiał samochody, kiedy indziej, że handlował). Ale wolał tu wrócić. Namówił już Basię na powrót – że wojna się skończyła.

Nie może mu tego wybaczyć: z takim trudem uciekła stąd latem zeszłego roku. Kiedy zjawiała się w ambasadzie w Zagrzebiu, myśleli, że była w obozie: ważyła 42 kilo. Zabralo ją polskie małżeństwo samochodem: bardzo byli zadowoleni, bo dzięki temu, że wiozą uchodźców, nikt ich nie kontrolował. Trochę tylko jej było niewygodnie – twardo w plecy od skrzynek spirytusu, którym tamci handlowali.

Basia skarży się, że rodzice nie chcą jej odwiedzić.

– Oni tam ciągle oglądają telewizję i mówią, że strach przyjeżdżać, bo tu wojna. – Śmiejąc się, pokazuje mi, że w kieszeni szlafroka, na wieszaku, na wszelki wypadek ma granat.

Stanisława, teściowa Rafaela, świetnie gotowała, ale on wolał wrócić.

– Już będzie dobrze – błagał Basię, bo nie mógł żyć bez dzieci. Połowę pieniędzy, które przywiózł z Polski, oddał na HVO. Niedawno dostał pierwszą pensję: 500 marek.

– Teraz już niczego ci nie zabraknie. – Wieczorem przyszedł sąsiad: jest lodówka do kupienia. Rafael z powrotem założył panterkę (zdążył już przebrać się w szorty i wykapać dzieci). Zapiął pas, zatknął bagnet i poszedł kupować lodówkę. Basia też za nim pobiegła, a ja zostałam z dziećmi. Czteromiesięczna Rita cichutko wymiotowała mi na ramię, za to starsza, półtoraroczna Lolita przestała płakać, gdy matka wyszła.

Wrócili z niczym – lodówka była zardzewiała.

Nie wiem o nim prawie nic oprócz tego, że lubi ubierać się kolorowo, a w święto wypić. Co prawda było to święto muzułmańskie, ale on od niedawna jest muzułmaninem (tak mówią). Nie na tyle przecież, żeby nie pić.

Wiesław mieszka w Mostarze od piętnastu lat, a jest malarzem z Gdańska. Z dumą

opowiada, że jego żona, Majda, dowodzi muzułmańskimi i chorwackimi pielęgniarkami pod Sarajewem, a synka Esmira udało mu się wysłać gdzieś nad morze. Sam siedzi z teściową w muzułmańskiej, zamkniętej części miasta, ostrzeliwanej przez Chorwatów. Bez wody, bez sklepów, bez papierosów.

Na jego dom spadły ostatnio cztery pociski artyleryjskie. Więc nie ma mowy o wyjeździe, bo musi naprawiać dachówki. Między dawno nieużywanymi sztalugami piętrzą się zakurzone kolorowe trójkąty i kwadraty z wełny, które kiedyś narysował i utkał. Sprzedawał je turystom w samym sercu Mostaru: koło Starego Mostu miał sześciopiętrową wieżę z kamienia. Widać ją na każdej widokówce. Drewniane wnętrza i jego tkaniny poszły z dymem od serbskich pocisków.

Długo szliśmy przez miasto – chciał pokazać mi swoją wieżę. Po drodze stukał do znajomych, żeby podzielić się radością: rodaczka do niego przyjechała! Nieznajomych też zaczepiał na ulicy, życzył wesołego Bajramu. Piekarzy, którzy pokazali nam w piecu skarb – pieczonego barana – poczęstował nawet papierosem. Paczkę marlboro z Polski zatknął za gumkę czerwonych spodenek, czerwonej koszulki nie zapinał i wędrował tak przez miasto w klapkach, denerwując się, gdy mu zwracali uwagę, że tu trzeba biec, bo snajperzy.

– Znam, wszystko znam. Rodaczka do mnie przyjechała!

I pokazywał zburzone minarety, kamienie bogomiłów i rzymskie rzeźby w trawie. W nadpalonym meczecie rozwijał stare perskie dywany, chciał się wspinać do ruin pałacu prawosławnego biskupa, ale mu odradzili, bo snajperzy. Jak tu przyszli Serbowie, to uciekł, ale wrócił po pieniądze – przedarł się z drugiej strony rzeki wpław, z pożyczonym kałasznikowem.

– Kąpielówki zawsze mam, mogę przez rzekę wiać. Ja znam pływać.

Jego wieżę zobaczyliśmy tylko z daleka. Chciał podbiec bliżej, na czworakach, podczołgać się.

– Ja znam, gdzie są snajperzy: w hotelu „Róża”.

Ale tu zrozumiałam, że pomyliły mu się walczące strony.

Muzułmanie won!

Szeptem:

- Mieli przygotowane adresy.
- Strzelali po oknach.
- Wypędzali na ulicę. Prowadzili nas z rękami na karku.
- Czasem zabijali od razu na podwórku.

Muzułmanie czekający w Mostarze na autobus przed domem dziecka opowiadają mi, jak w ich mieście 9 maja o świcie rozpoczęła się wojna chorwacko-muzułmańska.

Teraz na torbach i tobołkach, ze śpiącymi w upale dziećmi czekają: może uda się wdrzeć do jedyne go dziennego pojazdu z napisem: „Autoprevoz Mostar” i potem, pod ostrzałem snajperów, przedostać się na muzulmańską stronę Neretwy. Półgłosem, rozglądając się wokoło, rzucają pojedyncze zdania:

– Pięć tysięcy ludzi przepędzili na tamtą stronę.

Przerywają natychmiast, gdy zbliża się chorwacki policjant.

Mężczyźni w mundurach HVO dawali im kilka minut na spakowanie. Jeśli mieszkali w bloku, ktoś zajmował ich mieszkanie. Jeśli mieli dom, wylatywał w powietrze.

Dziewiątego maja Chorwaci internowali 2000 Muzułmanów na stadionie. Stamtąd przewieźli ich do nieczynnej fabryki, na heliodrom. Po interwencji ONZ 20 maja zlikwidowali obóz, ale większość ludzi przepchnęli na drugą stronę rzeki, dokąd po krwawych walkach wycofało się dowództwo muzulmańskiej Armii BiH. Ci, którzy zostali po chorwackiej stronie, przesпали pierwszą noc na ulicy, stłoczeni wokół ONZ-owskich wozów pancernych. Rozdzieliły się rodziny w rozdartym nagle Mostarze.

Mostar, przed wojną 100 tysięcy ludzi, jedna trzecia Muzułmanów, tyle samo Chorwatów, Serbowie, ludzie, którzy do dowodu wpisywali: „Jugosłowianin”.

Starzec w białej czapce z daszkiem:

– Alija Czampara się nazywam, 82 lata. Żonę mam za rzeką, poszedłbym, tyle lat razem... Syn mój, profesor ekonomii, wyjechał do Szwajcarii, a ja na tę stronę przyjechałem, żeby jego mieszkania doglądać. Chciałem nadać do żony z radiostacji, żeby powiedzieć, że żyję – nie dali. Jem groch i makaron – sam gotuję, trochę sąsiadka pomoże... – odchodzi, pchając rower.

Po kilku godzinach znowu jest na placu. Kiwa ręką i idziemy za róg, żeby nikt nie widział, jak wyciąga z portfela karteczkę: listę kilkudziesięciu osób z jego rodziny, które walczyły w czasie II wojny o wolność Chorwacji.

Komu ma ją pokazać Muzułmanin Czampara, żeby mu pozwolili zadzwonić do żony?

Do kawiarni na rogu, z której dochodzi muzyka, podjeżdża na motorach kilku mężczyzn. Czarne okulary, na głowach hełmy Wehrmachtu, na piersiach żelazne krzyże.

Zatrzymuje się para, trzymając za ręczki niepewnie stąpającego malca.

– Nie wiecie, czy pozwolą wracać z tamtej strony? – pyta kobieta. – Zabrali mi teściów prosto z domu, autobusem dowieźli do mostu i przegonili za rzekę.

Po południu przyjeżdża autobus z tamtej strony. Wysiada kilka osób – tylko Chorwaci – i drzwi szybko się zamykają. Reszta zostaje w środku, osłupiała – przecież powiedzieli, że ma być wymiana.

Ale żołnierze HVO otaczają autobus z karabinami wzniesionymi w górę. Któryś blokuje harmonijkę drzwi, kiedy próbują je szarpać od środka.

Stoją tak kilka godzin, w pełnym słońcu. Powoli do nich dociera, że po tej stronie nie ma już dla Muzułmanów miejsca. Nie pomagają pertraktacje hiszpańskiego oficera z oddziałów ONZ. Chorwaci twierdzą, że pasażerowie to szmuglerzy, którzy przyjechali po papierosy.

Amera ma chłopaka po tamtej stronie. Jej dom HVO-wcy obrzucili granatami – wiedzieli, że mieszkają tu chłopcy z Armii Muzułmańskiej.

– Uciekłam do brata mamy, między Chorwatów. Innych zabrali. 9 i 10 maja do popołudnia spłonęło pięćdziesiąt domów dziesięciopiętrowych. Przyjechali strażacy, ale ich nie dopuszczono. W sztabie na Vranice, gdzie było dowództwo naszych, wielu zginęło, nim piętnastu ostatnich się poddało. Nikt się nie spodziewał ataku.

– Bosjilka się nazywam – wtrąca się niemłoda kobieta, jak większość ludzi tutaj, bez przednich zębów. – Rodzice byli Muzułmanami, ale matka mi dała stare serbskie imię. Trzech synów mam: jeden w HVO, drugi w Armii BiH. – Podnosi gwałtownie rękę do ust, jakby chciała powstrzymać krzyk, bo to znaczy, że jej dzieci strzelają do siebie. – Trzeci pojutrze wyjeżdża do Niemiec, dostał zezwolenie, bo zrzekł się mieszkania na rzecz HVO.

– Jahić Hamdija jestem, brata mi aresztowali. Przerzucają go z więzienia do więzienia. Jego żonę z trojgiem dzieci i osiemdziesięcioletnią babkę wyrzucili z domu.

– Mnie dali piętnaście minut – dorzucą ktoś. – Stare mostarskie rodziny wyrzucają, porządnych ludzi.

– Kradną, zabijają... Człowieka rzucili o drugiej w nocy przy śmietniku...

Ludzie Mostaru są jak jego architektura: mieszanka kultur, ras, religii. Meczet, kościół, cerkiew. Ktoś napisał, że Europa odkrywa swój wielokulturowy skarb, gdy przestaje on istnieć.

Z raportu Mazowieckiego:

„Bierność świata wobec czystek etnicznych prowadzonych przez Serbów w Bośni ośmieliła Chorwatów do stosowania tej samej polityki”.

Muzułmański cmentarz: obok wysadzonego w powietrze meczetu kilku mężczyzn w fartuchach kopało doły. O świcie służby miejskie przywożą nowe ciała. Często jedyną identyfikacją zwłok jest ich fotografia. Stąd rząddek mogił z deseczkami: „N.N. Fotografia nr...”.

W środku osiedla, nieopodal placu, lokal Międzynarodowego Czerwonego Krzyża otoczony workami z piaskiem. Wchodzę w trakcie rozmowy.

– ...proszę, to jest jego numer na waszej liście: 320278. Chorwaci mówili „wszystkich wypuściliśmy”, a on nie wrócił.

– Powiedz mu, że zrobimy wszystko, ale nasze możliwości są ograniczone – młody Szwajcar w eleganckiej marynarce zniecierpliwiony powtarza przez tłumaczkę utartą formułkę.

– Proszę pana – nie traci nadziei starszy jegomość. – Nie mam pretensji, ale niech pan poradzi, co mogę zrobić?

Kiedy wyciągam notes, szwajcarski urzędnik wyprasza mnie. Czeka na tamtego za drzwiami. Jest szczęśliwy, że ktoś chce go wysłuchać.

– Ja jestem Chorwatem. Córka ożeniła się z Muzułmaninem, świetny chłopak, ekonomista. Aresztowali go 11 maja. Wzięli prosto z łóżka. „Na rozmowę bierzemy”. Dziecko, cztery lata, jak teraz widzi mundur, to na ziemię pada. – Siwy pan nie powstrzymuje szloch.

Kobieta w chustce waha się, czy wejść do Czerwonego Krzyża. Na dłoni mała fotografia.

– Nie widziała pani mojego syna? Nazirović Emir, w HVO służył. Tak, Muzułmanin. W górach z Serbami walczył. Mówię przecież, w HVO. Osiemnaście dni, jak go nie ma. HVO mówi: „Aresztowany”. Ale przez kogo?

Wracam na plac. Jest autobus, wypełnia się w okamgnieniu.

– Odejść, bo rzucę granatem! – Brzuchaty zamierza się, więc robię szybko zdjęcie i wchodzę pod jakiś łokieć w tłumie. Ale zauważył mnie. Widzę, jak mówi coś koledze, rozglądają się. Obchodzę autobus dookoła, nie przestaję pstrykać. Nagle jakaś ręka próbuje wyrwać mi aparat. Ale pasek na szyi trzyma dobrze, a ja zaczynam się drzeć:

– *Capitano! Help me!*

Wysuwa się z tłumy hiszpański oficer w błękitnym hełmie, wyciągam akredytację. Razem z Jesusem (tak ma na imię) negocjujemy z chorwackim policjantem, żeby wypuścił z ręki aparat. Kończy się na mojej obietnicy, że więcej zdjęć nie będzie.

Na odjazd autobusu strzał w powietrze. Przed nim rusza biały wóz pancerny ONZ-u. Dociera do mnie, że może to jedyna okazja, żeby przejechać na tamtą stronę. Biegiem do samochodu i na klaksonie, płosząc tych, którzy jeszcze biegną za konwojem, wjeżdżam pełnym gazem na linię frontu.

Kiedy pisałam ten tekst, już w Warszawie, nadeszła depesza, że właśnie na tym moście chorwaccy snajperzy zastrzelili hiszpańskiego oficera o imieniu Jesus. Mam mnóstwo zdjęć Jesusa. Był wszędzie – uwodzący, roześmiany.

– Ja się budzę rano szczęśliwy – mówił.

To on przyprowadził mi starą Chorwatkę, która chciała zabrać z drugiej strony swoje rzeczy, a ja przewiozłam ją cztery razy przez linię frontu, bo angielszczyzna Jesusa nie wystarczyła, żeby wytłumaczyć, gdzie jest jej dom.

To on pokazywał mi niewypały wbite w asfalt, żebym nie zahaczyła kołem. Może

i tym razem pokazywał komuś drogę, zamiast siedzieć w swoim wozie pancernym?

To on poradził mi, żebym tamtego dnia nie wracała przez most z muzułmańskiej strony.

Droga na muzułmańską stronę trwa trzy minuty, ale to są bardzo długie trzy minuty. Pustynia gruzów, wypalone kikuty domów – to był Bulwar Rewolucji, od trzech tygodni linia frontu. W czarnych dziurach po wypalonych drzwiach pojawiają się mężczyźni z karabinami, nie rozumiem: ci czy tamci? Przez ułamek sekundy widzę ich zdumione spojrzenie, pytający ruch ręki, która opuszcza karabin... Po chwili mam ich za plecami, za prawym uchem czy za lewym? – myśli wędrują nagle dziwnie precyzyjnie.

Pada strzał, potem seria, ale to na pewno nie do mnie. Przecież gdyby chcieli trafić, mają mnie jak na dłoni.

Skręt w lewo i już widać most, z żelaznymi niskimi barierkami. Zdają się wymarzoną parawanem w porównaniu z otwartą przestrzenią, którą mam jeszcze przed sobą do przeskoczenia, usłaną gruzem, szkłem, łuskami – poznaję po chrzęście pod kołami. Czy wytrzymają opony fiata? Ryczy silnik, bo gaz mam do dechy, a po wyjściu z zakrętu ciągle jadę na dwójce. Przerzucam na trójkę i zaraz gwałtowne hamowanie: stromo w górę i łomot desek na pontonowym moście. Gwałtowny zjazd z mostu, samochód przysiada, pojękuje i z rykiem pokonuje ostatnią prostą wzdłuż kompletnie pustych domów. Jeszcze w prawo i nagle wjeżdżam w tłum.

Ściągam kamizelkę kuloodporną – pod spodem kompletnie mokra koszula.

Życie w muzułmańskim getcie – jak sami je nazywają – skupia się wzdłuż głównej ulicy. Kilkupiętrowe bloki dają cień i osłonę od strzałów. Prześwity między domami przebiega się chyłkiem, bo po tamtej stronie rzeki siedzą snajperzy. Najważniejsze to patrzeć, jak zachowują się inni. Jak biegną – biegnij, jak przechodzą schyleni – schyl się. Jeśli ulica jest pusta – zaczekaj, czy ktoś będzie przechodził.

Zawsze znajdzie się ktoś, kto pokaże ci na migi: tędy nie idź.

Na murze, wśród resztek szyldów, najświeższy – *Pazi snajpera* (Uważaj na snajpera). Strzałka „przejście”, więc wchodzisz w korytarz i niespodziewanie znajdujesz się w czyimś mieszkaniu – ludzie oglądają telewizję. Dalej strzałka pokazuje wyjście – przez taras, prowizoryczne schodki i z powrotem jesteś na ulicy.

W jednym z takich przejść natykam się na fryzjera: kobieta w fartuszkach strzyże klienta z zapaską na ramionach – żołnierzy za darmo. Przez środek pomieszczenia przechodzi sznurek, na nim plastikowe zawiniątko, w środku kartka z nazwiskiem i dużymi literami „Od matki”. Ktoś dostał paczkę z chorwackiej strony, kilka par czystych gaci, ale nie znaleźli go w mieście. Może któregoś dnia będzie tędy przechodził.

W zamkniętym mieście, na kilku kilometrach kwadratowych, bez wody i zapasów pożywienia żyje 25 tysięcy ludzi, w tym kilka tysięcy uchodźców, bez dachu nad głową.

Dowódca sił zbrojnych na tym terenie Arif Paszalić nie powie, ilu ma ludzi pod bronią, ile bojowego sprzętu.

– Wystarczy na długo – mówi, przeglądając gazetę. Udaję, że nie widzę artykułu o tym, jak ich prezydent Alija Izetbegović ³ błaga w Europie o broń.

Powtarzam mu, co usłyszałam od hiszpańskiego oficera: że wojna to jest ruch, że gdyby prowadzili wojnę, zdobywaliby dom po domu. Że wśród muzułmańskich żołnierzy – sami doktorzy i intelektualiści.

Paszalić, zawodowy oficer, pułkownik byłej armii jugosłowiańskiej, nie daje się sprowokować.

– Amunicji mamy tyle, ile trzeba. Ludzi też. Nie prowadzimy ofensywy, bo to jest nasze miasto.

Arif Paszalić ma żonę po tamtej stronie – osiemnaście dni przetrzymywano ją w areszcie. Właśnie ją wypuścili, ale tam zostanie.

– Nie powinniśmy godzić się na przechodzenie z tamtej strony na naszą. To by było etniczne czyszczenie.

– Na co czekacie?

– Że HVO przestanie strzelać do swoich, zgodzi się na polityczne rozwiązanie. Chorwaci nie są naszymi nieprzyjaciółmi.

– Jest pan Muzułmaninem?

– Tak, ale nie praktykuję.

– Mudzahedin?

Uśmiecha się:

– Jeśli człowiek, który walczy za dom i rodzinę, nazywa się mudzahedin, to niech tak będzie. Może i wy będziecie mudzahedinami za kilka lat.

Trafiłam do Mostaru na muzułmańskie święto Kurban Bajram, więc w „przejściowych mieszkaniach” częstują mnie słodkim plackiem. W jedynym zachowanym meczecie czternastu bosych mężczyzn modli się do Allaha przy śpiewie kapłana.

W starej dzielnicy Donja Mahala odwiedzam hodżę, muzułmańskiego duchownego. Siedzi po turecku i łuska orzechy na bajramową baklawę.

– Mudzahedini? Tutaj? – śmieje się z pogłosek o religijnych fanatykach w szeregach bośniackich Muzułmanów. – To prawda, że walczę za islam, ale przede wszystkim bronię dzieci.

Pytam, gdzie zbierają się wierni na modlitwę.

– W Mostarze było trzydzieści dzamii (meczetów) – opowiadał. – Dziesięć zniszczyli Serbowie w pierwszym roku wojny, pięć Chorwaci przez ostatnie trzy tygodnie. Modlitwy nie odprawiam, bo zbieranie ludzi pod bombami to zbyt

niebezpieczne.

Jedyny akcent islamu, jaki spotkałam w armii muzułmańskiej (o której jej wrogowie nie mówią inaczej niż: mudżahedini), to makatka w kantynie sztabu z cytatem z Koranu. Takie same widziałam w domach polskich Tatarów na Białostocczyźnie. Dostali je od arabskich studentów.

Ale mówi się, że nie makatki dostają Bośniacy od współwyznawców z krajów arabskich, lecz broń.

– Od diabła byśmy wzięli – mówi adwokat Senad, w budynku, gdzie mieści się sztab Armii Bośni i Hercegowiny. – Dlaczego nas wszyscy zabijają? Na nikogo nie napadaliśmy.

– To kompleta bzdura, że chcemy państwa islamskiego – dorzuca wąsaty reżyser. – Chcemy Europy.

Sead Džulić reżyserował sztuki, z którymi mostarski teatr MTM zdobywał nagrody: w Liverpoolu za *Czajkę*, w Trnawie za *Hamleta*. Grali w Paryżu, mieli jechać do Japonii.

Siedzimy nocą w ciasnym studiu radiowym.

– Uwaga, powtarzam komunikat: potrzebna pilnie krew grupy A Rh minus. W szpitalu czeka ranny.

(Nazajutrz poznam rannego: dziesięcioletniemu chłopcu przetoczono osiem butelek krwi. Odłamek pocisku artyleryjskiego trafił go na podwórku. Po operacji śledziony, wątroby, nerek i płuc ma szansę przeżyć. Drugi, którego przywieźli z tego podwórka, zmarł).

Nie do mikrofonu: – W Mostarze najlepsza była restauracja „Paris”: francuskie wina, ośmiornice, skrzypce... Teraz ta dama, która mi do ucha śpiewała, strzela do mnie z tamtej strony.

W tle śmiechów słyhać strzały. Ucho szybko przywyka. Rozmowa tylko na chwilę zatrzymuje się na łoskocie miny artyleryjskiej – gdzie upadła i czy słyhać krzyk rannych.

(Kiedy byłam w szpitalu, akurat przyprowadzili kobietę z rozszarpanymi przez odłamki plecami – nie wydała z siebie ani jednego jęku, kiedy błądy chirurg wydłubywał z rany pincetą kawałki gwintowanego metalu. On też nie powiedział słowa, kiedy kładł mi je po jednym na dłoni).

– Nie uważamy, że cały chorwacki naród to faszyci. Faszystą jest Mate Boban, powiązany z ustaszami na wychodźstwie. Nowy gubernator Mostaru Jadranko Prlić był w komunistycznych władzach Bośni i Hercegowiny, teraz codziennie chodzi do kościoła. Ich dowódca sił zbrojnych Petković był pułkownikiem w jugosłowiańskiej armii. Ale kto do nas dołączy, jest pomawiany o „współpracę”. (Rzeczywiście, w centrum prasowym w Splicie oferuje się dziennikarzom „teczki” muzułmańskich

dowódców).

– Ten faszyzm może trwać – mówi w muzułmańskim sztabie mężczyzna z brzuszkim. – Chcą zniszczyć pamięć, pozbawić naród głowy. Aresztowali najbogatszych i najmądrzejszych ludzi w Mostarze.

– Nasz kandydat na wicegubernatora Zijad Demirowicz siedzi od 9 maja w więzieniu – dorzucą Ivica, prawnik, dziś oficer dyżurny. – Profesora Ahmeta Marićia zabili w jego domu. Na uniwersytecie zrobili areszt.

– Na liście wypuszczonych z heliodromu jest 587 osób. Gdzie reszta? Więzienia w Czaplinie, Ljubuszkach, Białym Brzegu są przepełnione cywilami.

– Przysłali nam z HVO listę zabitych od 9 do 25 maja. Na trzydziestu sześciu tylko sześciu to wojskowi – sami tak piszą. Reszta to cywile. Jak zginęli? Nie podają.

Zginać można byle jak. Widziałam zwłoki mężczyzny na ulicy. Leżał już od dwóch godzin na Bulwarze Rewolucji, w pasie „ziemi niczyjej”. Może żołnierze Armii odmierzali w myślach skoki, jakie trzeba by wykonać w nocy, żeby go ściągnąć? Ale snajperzy mają noktowizory. Zwłoki nie są warte takiego ryzyka. Po dwóch dniach wciąż tam był.

Wojna postawiła Chorwatów i Muzułmanów naprzeciwko siebie, po dwóch stronach Bulwaru. Tyle że na przykład dowódca oddziału Muzułmanów, który ma dziś zmianę, jest Chorwatem. Nad zwłokami leżącymi na jezdni pokazuje mi biały budynek:

– Tu jest mój dom.

Żołnierze grają w karty. Najmłodszy, ostrzyżony na punka, ma w klatce papugę, z takim samym jak on czubem.

– Chorwaci mają Chorwację, Serbowie Serbię, a my gdzie mamy iść? Do Neretwy?
– Z żołnierzami rozmowa jest krótka.

Zwijając skręta, Adis (w cywilu kelner) opowiada, jak zarabiał tu na życie, skacząc ze Starego Mostu do wody: za 200 marek na główkę, za 100 – na nogi. Zabytkowy most z XV wieku ma 20 metrów wysokości.

– Nie było roku, żeby ktoś sobie karku nie skręcił.

On skakał dziesięć lat (zaczął, jak miał dwanaście) i nic.

To był ich świat, ich dzielnica – pokazują na ruiny kawiarni i galerii. Drugi żołnierz był projektantem reklam, trzeci miał bogatego tatę – żyło się.

Ludzie po muzułmańskiej stronie frontu tłumaczą mi, że walczą o Mostar. Plan Vance'a i Owena oddał tę południową część Bośni pod administrację Chorwatów. Mieli podzielić się władzą, proporcjonalnie do składu etnicznego w danym regionie. Ale Chorwaci pojęli to inaczej: Mostar ma być chorwacki.

Muzułmanie powtarzają, że nie chcą podziału miasta.

– Przez pięćset lat mieszkali tu muzułmanie, katolicy, prawosławni, żydzi i ateści. To było zawsze miasto mieszane i tak musi zostać. Inaczej to nie będzie Mostar.

– Chorwackie pociski spadają na chorwackie domy – mężczyzna pokazuje mi zwęglone ściany swojego domu. – A ja dałem 25 tysięcy marek na HVO... Znaczą moje granaty...

Kilkadziesiąt chorwackich rodzin zostało po tej stronie frontu.

– Dlaczego mamy tam iść? Tu jest nasz dom.

Na chorwacką stronę – pomna przestróg Jezusa – wyjeżdżam bocznymi drogami, nie przez most.

– Trzeba nam trzech dni, żeby oczyścić Mostar, ale nie możemy, póki oni trzymają naszych w Konjic – opowiada właściciel pensjonatu dla pielgrzymów w Medjugorie (na ścianie Matka Boska Częstochowska). – Teraz ich karmimy pomocą humanitarną, ale koniec, dość, nie będziemy więcej puszczać!

Przed jego domem, naprzeciw jednostki ONZ, stoją irlandzkie ciężarówki. ONZ stara się o uwolnienie trzech kierowców zatrzymanych przez HVO. Dzień wcześniej na żądanie Chorwatów Irlandczycy oddali im połowę transportu i dopiero wtedy mogli wjechać do muzułmańskiej części Mostaru. Kiedy wrócili, Chorwaci oskarżyli ich o dostawę broni dla Muzułmanów i aresztowali.

W Medjugorie, gdzie przed dwunastu laty ukazała się chorwackim dzieciom Matka Boska, świecą pustkami kawiarnie i pensjonaty, nie idą Matki Boskie z gipsu, z plastiku, drewniane ani w breloczkach. W sklepach z pamiątkami wystawiono, wśród świętych figurek, kasety z chorwacką pieśnią *Nadejdzie czas łagodnego narodu* (tak mówią o sobie Chorwaci – „łagodny naród”). Kasetę wideo *Za wolność, za dom* zdobi fotografia żołnierza ładującego granatnik.

– Nie jeździmy tam, lepiej tu się modlić za pokój – mówi siostrzyczka w błękitnym welonie, kiedy pytam o wojnę w Mostarze. – To jest wojna religijna, ksiądz tak powiedział.

– Muzułmanie chcą oczyścić teren z Chorwatów, chociaż plan Vance’a i Owena dał Mostar Chorwatom – wyjaśnia mi brat Tony, podkreślając, że stara się nie słuchać, co się tam dzieje (– To zbyt przykre). O heliodromie przecież słyszał, ale nie jest pewien, jak to było.

Trzydziestego maja na heliodromie jest już tylko 100 więźniów. Gdy strażnik się odwraca, rzucają mi pojedyncze słowa: – Wczoraj mnie przywieźli... chleb kupowałem... mnie z domu wzięli, zawsze mówiłem, że jestem cywilem... nas z autobusu – wracaliśmy z pracy z zagranicy, wszystko, co zarobiliśmy, zabrali... ja byłem w HVO, nie wiem, za co mnie zamknęli... siedemnaście lat, nikt w domu nie wie... Czerwony Krzyż nic nie wie o nas... tu nie biją...

Ukradkiem włożyli mi do kieszeni kilka zwitków papieru: „Przerzucają nas z obozu do obozu. Wywieźli nas do Ljubuszek, kiedy tu przyjechał generał Morillon. Stamtąd do Neum, gdzie pracowaliśmy w okopach, na linii frontu między Serbami i Chorwatami”.

– To nie jest czyszczenie etniczne – mówi mi ksiądz biskup Ratko Perić w Mostarze, energiczny mężczyzna w średnim wieku.

– A 2000 ludzi na heliodromie?

– To była próba rozwiązania problemu mieszkaniowego.

– ?!

– Tak, a świat się cieszy, że znalazł winnego: Chorwatów! Mówi: „Muzułmanie muszą mieć przestrzeń”. Ja się pytam: czym kosztem? Chorwatów?!

– Przecież tam powstaje getto! – ja też podnoszę głos.

– Getto? Nie sądzę, skoro po tej stronie jest jeszcze tylu Muzułmanów. Zresztą nie możemy tam przejść.

– Rzeczywiście, niełatwo tam przejść. Do mnie strzelali na moście.

– Ach tak? – Biskup podnosi brwi w pożegnalnym uśmiechu. – I co, nie trafili?

„Nie trafili” – pobrzmiwał mi jeszcze śmiech duchownego, gdy pod wieczór zatrzymał mnie chorwacki posterunek. – To ty żyjesz? – zagadnął wesołkowato Chorwat w mundurze HVO.

– To ty jeździsz tym samochodem? – Drugiemu nie było do śmiechu. – Przejeżdżałaś przez most kilka razy?

Przytakuję.

– Przecież mogłem cię zabić. – Jest wyraźnie zbulwersowany. – Mieliśmy rozkaz strzelać do tego samochodu.

Dokładnie to samo powtarza się przy następnej kontroli. Postawiłam więc samochód w ogródku moich nowych znajomych, obwiesiliśmy go kocami i poszłam, już na piechotę, do komendanta miasta.

– Kto kazał do mnie strzelać?

– Ja nie. – Wzruszył ramionami Ante Lasić. – A kto pani powiedział?

– Pana żołnierze.

Dowódca ze złotym sygnetem i złotą bransoletką nie przejmuje się specjalnie, zresztą i ja nie po to przyszłam. Wysłuchawszy jego skarg na Muzułmanów (że po tamtej stronie domy szabrują i mordują Chorwatów, a oni tu nikogo nie przetrzymują), zapytałam, czy każdy Muzułmanin może wyjechać z miasta. A skoro tak, to poproszę o zezwolenie dla mojego znajomego.

Komendant (w cywilu właściciel restauracji), nie pytając o nic, od ręki wypisuje mi przepustkę dla mężczyzny, który uniknął trzech łapanek i od tamtej nocy, 9 maja, ukrywa się na strychu. Potem dopiero okazuje się, że „wiza” ważna jest tylko na wyjazd. Bez prawa powrotu.

Więc posiwiwały Arif został pilnować swego domu, a mnie udało się wywieźć tylko jego dwoje dzieci. Teraz są w Polsce.

Przez tydzień zbierałam się do dalszej drogi, w głąb Bośni, słuchając kolejnych doniesień o zabitych cudzoziemcach, którzy wdarli się na ten teren. Przez tych siedem dni w środkowej Bośni zginęło trzech Włochów, trzech Duńczyków i jeden Belg. Nie udało się ustalić, kto ich zabił. Po tym, co widziałam i słyszałam w Mostarze, wiem, że dziennikarze są niewygodni dla Chorwatów. Więc nie pojechałam dalej.

Kiedy na początku czerwca w Travniku, 50 kilometrów od Mostaru, zaczęła się krwawa walka między HVO a muzułmańską Armią BiH, nie było tam ani jednego dziennikarza. W świat poszły wiadomości o muzułmańskiej rzezi na chorwackiej ludności cywilnej. Ofiary zamieniły się w katów.

Przerażeni Chorwaci znaleźli schronienie u swoich największych dotychczas wrogów – Serbów. I tak świat mógł odetchnąć z ulgą: wszyscy są siebie warci, a nasze sumienia są czyste.

A ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w Bośni jeden naród – muzułmański – jest skazany na zagładę. W tydzień po bitwie w Travniku Chorwaci podali sobie ręce z Serbami – podpisano układ, za którym pójdzie zapewne umowa o podziale Bośni między zwycięzców. W spokojnym miasteczku Metković, przy ujściu Neretwy, widziałam na całej ścianie napis: „Muzułmanie won!”.

Mostar, Herceg-Bośnia, czerwiec 1993 roku

Nie wiem właściwie, dlaczego wybuchła wojna na Bałkanach i rozpadła się Jugosławia, choć byłam tam wiele razy. Kiedy kolejny raz przyjechałam do Mostaru, już z ekipą telewizyjną, i kręciliśmy jakieś rozmowy z mieszkańcami, z dachu naprawianego po ostrzałach domu przyglądał nam się mężczyzna. W końcu zszedł i mówi: – Już kilka lat widzę, jak tu dziennikarze przyjeżdżają popatrzeć. Zawsze elegancy, w opancerzonych samochodach, w kamizelkach i hełmach, okulary Ray-Ban na nosie, pogadają i wyjeżdżają, a my tu zostajemy. Dziwny sposób zarabiania...

Zatytułowałam tak mój następny film. To były rozmowy z kolegami po fachu o korespondentach wojennych (żaden – Jagielski, Gebert ani Miller – się za takiego nie uważał).

Z Kostkiem Gebertem spotkaliśmy się w Zagrzebiu – ja wracałam z obozów w Bośni, a on wybierał się do Sarajewa. Bałam się tam lecieć, więc zaproponowałam mu swoją kamizelkę kuloodporną, której i tak nie nosiłam, bo była cholernie ciężka (jeszcze ołowiana, jedna z pierwszych, jaką udało mi się znaleźć w Warszawie, obszyta białym płótnem, bo nosił ją na eleganckie akcje detektyw Rutkowski).

Niezły obciach musiał robić Kostek w sarajewskim Holidayu, gdzie, jak opowiadał, rano dziennikarze paradowali przed akcją i oglądali swoje stroje bojowe.

– Taki kevlar, śmaki kevlar... Rewia mody! – nabijał się z kolegów, psów wojny. Ale wiadomo, że niejednemu ten strój uratował życie, a niejednemu też nie wystarczył. A kiedy poszedł do roboty i przemykał się między ulicami pod ostrzałem, znalazł się nagle w bramie z kobietą, która niosła w wiadrach wodę – wodociągi były zerwane i w nowoczesnym mieście woda, ciekąca jeszcze z jakiejś rury, była skarbem.

Więc kiedy ostrzał się na chwilę uspokoił, wziął od niej jedno wiadro i rzucili się pędem na drugą stronę ulicy. Gdy dopadli zziębnięci do następnej bramy, kobieta spojrzała na niego z wdzięcznością i nagle zobaczyła, że jej dobroczyńca ma pod płaszczem kamizelkę kuloodporną. Uśmiech jej zastygł, a spojrzenie przeszło przez niego gdzieś w głąb ulicy, jakby go tu nie było.

Kostek mówił, że zawsze czuł się źle wobec swoich sarajewskich przyjaciół, bo oni wiedzieli, że do nich przyjeżdża, ale zawsze z biletem powrotnym w kieszeni.

1. Tadeusz Mazowiecki – ostatni premier prl i pierwszy premier III Rzeczypospolitej (w latach 1989–1991); specjalny wysłannik ONZ w Bośni i Hercegowinie, zrezygnował z tej funkcji w 1995 r. na skutek bezczynności wielkich mocarstw wobec zbrodni wojennych dokonywanych w czasie wojny w Bośni. [\[wróć\]](#)
2. Philippe Morillon – francuski wojskowy, generał armii. Od października 1992 do lipca 1993 dowódca oddziałów UNPROFOR (sił ochronnych ONZ na terenie byłej Jugosławii) na terenie Bośni i Hercegowiny. [\[wróć\]](#)
3. Alija Izetbegović – polityk bośniacki, prawnik i publicysta; prezydent Bośni i Hercegowiny w latach 1990–1996. [\[wróć\]](#)

Pamiętnik z Groznego. Czeczenia

Wtorek, 20 grudnia

Leżę plackiem na ziemi. Nie, przywieram do ciała kogoś, kto upadł pierwszy. Dłonie wsuwam pod cudze ubranie. Głowę próbuję wepchnąć sobie pod pachę. Drżenie – moje? Tego z boku? Czy tego spod spodu?

Przed chwilą spadła pierwsza bomba. Ktoś krzyknął: „Na ziemię!”. Zbiliśmy się w kupkę w załamaniu muru. Znow błysk – nocne niebo robi się czerwone. Raz, dwa, na trzy znow huk, suchy trzask, sypią się szyby i kamienie. To nie koniec, wciąż słychać samoloty.

– Boże, jeszcze – ktoś szepcze, jakby się bał, że nas wytropią. Podnoszę głowę – ciekawość jest większa od strachu. Znowu błysk i detonacja.

Wracamy do naszego hoteliku. Dochodzi dziesiąta. Po całym dniu pracy, po walce o połączenie telefoniczne, po nadaniu materiałów do naszych gazet, wyruszamy na kolację. Ja, Paweł Gosk, Francuzi, Amerykanie – nie wiem, kto jeszcze. W połowie posiłku biegiem z powrotem do hotelu – do telefonów i laptopów. Po drutach lecą suche informacje: „Tuż przed 20 GMT (czasu Greenwich) na centrum Groznego spadły z samolotów trzy bomby”. Nikt nie napisał: „Trzęsąc się z zimna, głodu i strachu, wciskałem się w chodnik jakiegoś obcego miasta i z wściekłością myślałem, po jaką cholere tu jestem”.

Środa, 21 grudnia

Rano, na placu w Grozonym, kiedy mężczyźni wpadali w trans rytualnego tańca, a wojak kręcił na pokaz działkiem przeciwlotniczym (cztery dni później w tym miejscu była krwawa plama), jakieś kobiety podeszły do mnie tanecznym krokiem, uśmieły się na mój widok (baba w kamizelce kuloodpornej!) i pytają:

– Boisz się?

– No, trochę – mówię, żeby nie było, że bagatelizuję ich wojnę i groźby Rosjan, którzy kazali wyjechać dziennikarzom.

– Nie bój się! – śmieją się jeszcze bardziej. – Zobacz, my tu też jesteśmy. A mówili, że wszystkie kobiety wyjechały.

Tego dnia widziałam wiele kobiet: w schronach, w kolejce po chleb, na zgliszczach, jak wygrzebywały rozsypane pierze. Jedną, jak wynosiła z ruin tłustego kota, inną, jak miotełką podmiatała potłuczone szkło ze wszystkich okien 15-piętrowego pałacu

prezydenckiego. Matkę z córką: matka na widok trupów padła na kolana na chodniku, a córka ciągnęła ją za płaszcz, zakłopotana, bo ludzie patrzą.

W pensjonacie Francuski Dom spotkałam Czeszkę, dużą blondynę, chyba z „Lidovych Novin”. Kiedy rano, po pierwszym bombardowaniu, dziennikarze nerwowo zwijali się do wyjazdu, ona powiedziała, że nie wyjedzie i będzie tu siedziała do samego końca.

– Jak wejdą Rosjanie, będę siedziała w jakiejś piwnicy z babuszkami. Najwyżej mnie aresztują – mówiła. Czeszka wytrzymała w Groznych jeszcze kilka strasznych dni.

Czwartek, piątek, 22, 23 grudnia

O fotoreporterkę Cynthię Elbaum też musiałam się otrzeć w hoteliku, gdzie koczowali wszyscy dziennikarze. Ale jej twarzy przyjrzałam się dopiero na zdjęciu, kiedy ktoś nam przyniósł strzęp jej paszportu znaleziony w gruzach. „San Francisco, 1965”.

Na filmie nakręconym przez operatora AP nie było widać twarzy: kumpel, też fotoreporter, klęcząc, zawija w rudy dywan kawałki jej ciała i aparaty. Cofnęłam taśmę. Obejrzałam ten kawałek jeszcze kilka razy. Za każdym razem bałam się, że nagle wypadnie jej głowa, którą urwał odłamek. Ale nie.

Następnego dnia mikrobus przywiózł ciało Cynthii do Chasawjurt do ośrodka sportowego, gdzie mieliśmy nową bazę. Kierowca odplątał drut, którym przymknął tylne drzwiczki samochodu. W środku leżała sklecona z płyt trumna, opatulona materacami, żeby nie latała po samochodzie. Kierowca czekał, aż ją wyjmemy. Ale my staliśmy bezradnie. Mieszkaliśmy w trzech domkach kempingowych, nie wiedzieliśmy, co zrobić z trumną. Zaskoczony Czeczeniec zaplątał z powrotem drutem drzwiczki. Samochód przestał tak całą noc. Było zimno.

Nie pamiętam dokładnie, o co chciałam zapytać kolegę Cynthii. W końcu wykrztusiłam tylko, czy pojedzie z powrotem do Groznego.

– Jasne – odpowiedział. – Jakbyśmy teraz nie jeździli, to jaki sens miałby ten zawód?

Sobota (Wigilia)

Jedziemy znowu do Groznego. Denerwuje mnie Paweł, gdy głośno się zastanawia, gdzie trzeba upaść, gdy nadlecą samoloty.

– Padaj tu, gdzie stoisz – mówi. – Nie trać czasu na szukanie miejsca, najlepiej skocz do leja po bombie, schowaj głowę, zatkać uszy, otwórz usta, skul palce, żeby nie urwało.

Drażni mnie to, co mówi, ale słuchałam uważnie. Raz i ja nie wytrzymałam: zapytałam w samochodzie, kto ma jaką grupę krwi. Moi koledzy zmrozili mnie spojrzeniami.

– Przestań.

Taki obyczaj: nie wywołuj wilka z lasu.

Niedziela, poniedziałek, 25, 26 grudnia

Na świątecznym stole, zastawionym szampanem, stały w plastikowym wiadrze czerwone goździki – zostały z wieczoru wspominkowego o Cynthii. Przyjrzałam się twarzom ludzi, którzy zostali w Chasawjurt (większość na święta wyjechała). Oprócz nas było dwóch Litwinów, dwóch Azerów, Ormianin (kiedy przepiliśmy do siebie przez stół, uśmiechnęliśmy się do siebie i życzyliśmy, by ucichła wojna w Karabachu), Rosjanin, Lezgin z Dagestanu, Peruwiańczyk, fotoreporter z AFP, który zapowiedział już swojej redakcji, że nie pojedzie więcej do Groznego, i kilka innych osób, które wołały, albo musiały, pracować na miejscu, czyli o 70 kilometrów od bombardowanego miasta.

Wtorek, 27 grudnia

Codziennie rano to samo wahanie – jechać czy nie. Nie jeździliśmy codziennie.

Najgorsza jest szosa. W mieście zawsze zdaje ci się, że jest gdzie się schować: do piwnicy, klatki, za mur. Na szosie jesteś dla pilota ruchomym celem, przypadkową ofiarą przejeżdżającą akurat przez most albo koło słupa.

Na skraju drogi, we wsi przy wyjeździe z Groznego, zatrzymują nas zdenerwowani Czeccy. Właśnie wrócił jadący przed nami niebieski żiguli. Ma urwany bagażnik. Pasażerów z tyłu okrecili bandażami, przełożyli do naszej wołgi i nią odjechali. Niespodziewanie znaleźliśmy się na pierwszej linii frontu. Na odgłos samolotu biegnę do najbliższego podwórka.

– Tu! – Pokazuje mi ręką piwnicę babuleńka o wielkich oczach. Sama nie schodzi po stromej drabinie. Patrzy w milczeniu, jak żołnierze biegiem wynoszą z jej kuchni skrzynie z amunicją. Chować się tutaj to jakby wejść do beczki z prochem.

Samoloty spuściły dwie rakiety. Odleciały.

Wraca nasza wołga. Ktoś prosi, żebyśmy odjechali jak najprędzej, bo niebezpiecznie. Tymczasem wokół nas gromadzi się coraz więcej żołnierzy, którzy przynoszą gorącą herbatę, słodkie suchary, wpychają mi do kieszeni cukierki – im głośniejszy wali artyleria, tym ich więcej. Pod osłoną białych prześcieradeł (spadł śnieg) kryją jakieś panterki, kufajki, czasem szynel jak z drugiej wojny. Większość jest z tej wsi.

Wskakujemy do auta, ale na zakrwawionym siedzeniu znajdujemy jakiś paszport. Jedziemy z powrotem do Groznego, do szpitala. Ostrożnie omijamy czarny lej. Dalej, po bokach szosy, świeże, wielkie, czarne plamy na śniegu – tu spadło kilka rakiet. Mieliśmy cholerne szczęście, jechaliśmy przecież tędy kilkanaście minut temu.

Szpital: właśnie wnoszą mężczyznę i kobietę, którzy szli szosą do bazy maszyn rolniczych, w którą celowali rosyjscy lotnicy. Mężczyzna ma rozerwane udo i kość. Niesamowite, ile mięsa i krwi może być w jednej ludzkiej nodze. A jaka śmiesznie cienka przy tym skóra, we frędzlach.

Kobieta nie ma już chyba oka. Jedna strona jej twarzy jest zmiażdżona. Nagle wstaje i chce wyjść, jakby jej się coś ważnego przypomniało.

Zawsze myślałam, że się będę bała trupów. Całe życie się bałam, że zobaczę trupa. Teraz już wiem, co znaczy spokój żółtosinego nieboszczyka, ten spokój, o którym tyle słyszałam. Choćby on leżał pośrodku ulicy, rozkraczony, sponiewierany. Z zakrzepłą strużką krwi.

Naprawdę straszny jest strzép żyjącego człowieka.

Pod szpital podjeżdża karetka. W środku, na krześle, siedzi zgarbiona postać. Na głowę ktoś zarzucił jej chabrowy sweter. Gdy nieśli ją na tym krześle do izby przyjęć, nie było widać twarzy. Dopiero gdy ją kładli, okazało się, że pod swetrem schowali zmasakrowaną twarz staruszki. Przyjechała z nią sąsiadka, nie przestawała trajkotać, jak razem z krzesłem wyciągała babcię spod stołu, gdzie wrzucił ją podmuch bomby.

W tym czasie staruszka leżała samiuteńka na gołej kozetce. Nikt się nią nie zajmował, bo lekarze operowali, a pielęgniarki przyjmowały innych ciężiej rannych. Pochyliłam się nad nią. Nie otwierała oczu, powieki zalewała jej krew. Zbierałam do chusteczki ciepłą czerwoną strużkę spływającą jej koło ucha.

– Zimno – wyszeptwała.

Zdjęłam kurtkę – przykryła ją prawie całą.

– Zimno – szepnęła znowu.

Jakiś dziennikarz, rozglądający się bezradnie za personelem, schował do kieszeni notes i okrył swoim kożuskiem nogi kobiety. Nie spojrzałam na niego, ale chyba pomyśleliśmy to samo: wreszcie to, że tu jesteśmy, ma naprawdę jakiś sens. Już nie bałam się na nią patrzeć. Grzałam swoją ręką jej lepka od krwi dłoń.

Piątek, 30 grudnia

Dziś byłam w Groznych po raz ostatni. Nie chciało mi się podbiec do Dudajewa, bo już nie wiedziałam, o co go pytać. W śmierdzącym schronie wywołałam niechcący kłótnię między żołnierzami a niezadowoloną z prezydenta staruszką czytającą książkę. Obrońcy parlamentu pożyczyli sobie moje radio, a mojemu koledze ukradli kałasznikowa kupionego za sprzęt wideo i dwie kawy. Na ulicy leżał jeden trup – człowiek najwyraźniej zastrzelony przez rodaków w mieście.

Krótko mówiąc – gówniany materiał i niesympatyczni Czeczeńcy. W dodatku ostatnią drogę wyjazdową z miasta Rosjanie zbombardowali na dwie godziny przed naszym wyjazdem, samoloty wciąż latały gdzieś w pobliżu, w samochodzie otwierały

się tylko jedne drzwi, więc w razie czego i tak byśmy nie zdążyli z niego wyskoczyć. Wyglądało, że tak już będzie zawsze. Postanowiłam wyjechać.

W drodze do Moskwy dowiedziałam się, że Rosjanie przypuścili szturm na Grozny.

Niedziela, 1 stycznia

W Moskwie zalew kłamstwa i bezsilności. Telewizja mówi, że rosyjska armia opanowała Grozny, rozbija bandyckie ugrupowania Czeczeńców i już się szykuje do wydawania mieszkańcom gorącej zupy. Deputowani rosyjscy, którzy stamtąd wrócili, opowiadają (też w telewizji), że rosyjscy żołnierze w niewoli u Czeczeńców zjedli po raz pierwszy od wielu dni gorący posiłek. Że mają wszy i nie wiedzą, gdzie i z kim walczą. W Nowy Rok prezydent Jelcyn wznosi szampana w kryształowym kieliszku za zdrowie swoich żołnierzy. CNN, którą odbierają moskwiczenie, pokazuje zwały rosyjskich trupów i spalone czołgi. Ginie dziennikarz, zasłużony piewca armii.

W centrum Moskwy zbiera się na znak protestu garstka intelektualistów, w tym ci, którzy w roku 1968 wyszli na plac Czerwony, żeby zaprotestować przeciwko inwazji na Czechosłowację. Na jednym z transparentów ktoś napisał: „Dziękujemy niezależnej prasie”.

Na bankiecie na cześć powracającego z emigracji poety pani doktor rzadkiej specjalności przekonuje mnie, że Czeczeńcy to naród złodziei, a Rosja jest niepodzielna. Historyk sztuki podejrzewa, że propaganda proczeczeńska też jest kłamliwa, a on sam na mityngi nie będzie chodził, bo buduje dację na wsi.

Telewizja podaje, że 70 procent obywateli Rosji potępia akcję wojska rosyjskiego w Czeczenii, a władze zapowiadają kolejny atak na Grozny.

Środa, 4 stycznia

Jutro jadę z powrotem do Groznego. Poprosiłam, żeby z Warszawy przysłali mi hełm. To idiotyczne, bo nie wiem, czy będę miała odwagę jeszcze raz tam wjechać.

Do redaktora WK

Potraktuj te zapiski jako egzaltowany list z podróży. Nieśmieszny. Bebechowaty. Nie wiem nawet, czy chciałabym to zapomnieć, czy zapamiętać. Boję się nawet je przeczytać i poprawić, bo jak zacznę, to wyrzucę do kosza.

ps Tu, w Moskwie, zwłaszcza w nocy, w każdym domu dokuczają karaluchy. A w Czeczenii ich nie widziałam. Znów ta propaganda!

Moskwa, styczeń 1995 roku

Azer Farid, który na stypie przepijał do Ormianina, po Nowym Roku dostanie od miejscowych kulkę – za kamerę, bo nie chciał oddać.

Ta Czeszka, gruba blondyna, to Petra Procházková, która spędzi w Czeczenii

całą wojnę, pierwszą i drugą, założy sierociniec w piwnicach Groznego, poślubi Ingusza, który zginie gdzieś w górach, a jak w końcu tak zalezie Rosjanom za skórę, że ją stamtąd wyrzucą i zabronią powrotu, pojedzie do Czech organizować pomoc humanitarną dla Czeczenii i Afganistanu. W końcu urodzi syna afgańskiemu fotografowi.

Z Pawłem Goskiem, operatorem, który wtedy w Czeczenii debiutował, pojedziemy tam jeszcze nie raz, a potem przez całą Wielką Powódź w Polsce przepłyniemy. Zostanie telewizyjnym satyrykiem.

Musimy celować w piechotę

– *Marysiu, byłaś na wielu wojnach, najpierw jako reporterka radiowa, później dziennikarka „Gazety”, ostatnio – w Czeczenii – jako korespondentka „Wiadomości”. Głównie dzięki tobie Polska wie, co dzieje się w Groznych. Tym bardziej że dotarłaś tam wtedy, gdy po nakazie Rosjan inni dziennikarze wyjechali. Ludzie pytają, kim jest ta kobieta.*

– Nie jestem bohaterką. Ja może byłam najbardziej widoczna, bo pracowałam dla telewizji. Przy całym ryzyku, jakie ponosi się na wojnie, dziennikarz jest w luksusowej sytuacji. Bo jak masz kamizelkę kuloodporną i hełm, a widzisz ludzi, którzy mają stare tenisówki, to się czujesz byle jak. Stać cię na samochód, codziennie wyjeżdżasz z miasta i śpisz w spokoju. Jesteś w strasznym koszmarnym filmie, ale wieczorem wychodzisz z kina.

– *Kiedy jesteś w kinie, możesz dostać kulę w łeb.*

– Chociaż wydawało mi się to nieprzyzwoite, pytałam o szczegóły śmierci Cynthii, amerykańskiej fotoreporterki. Miała 30 lat. Chłopak, który z nią był, też fotograf, stał bardzo blisko, ale zdążył się schować za załomek muru. Dzielił ich kawałek ściany. On żyje, jej urwało głowę.

– *Fotoreporter zawijał w dywan kawałki jej ciała i aparaty. Nakręcił to jakiś operator. Napisałaś w „Gazecie”, że tę scenę oglądałaś kilkakrotnie. Cofałaś taśmę, patrzyłaś, i znowu.*

– Domyślcie się, że sama nie wiem dlaczego.

– *Nie wiadomo, co bardziej poraża: śmierć Cynthii czy twoje cofanie taśmy.*

– ...

– *Czekałaś, aż z tego dywanu wypadnie głowa.*

– Może się chciałam przestraszyć.

– *Chciałaś się rozkleić i uciec?*

– Tak, chyba coś takiego. Wiem na zdrowy rozum, że moje wyjazdy nie są słuszne. Więc cały czas szukałam czegoś, co mnie zmusi do ucieczki. Bo wszyscy mi mówili, a zwłaszcza mój ośmioletni syn, że nie powinnam się narażać. Niby to wiem, a chciałam znaleźć w sobie taką ścianę, do której dojdę. I dalej już nie. Chciałam poznać granicę swoich możliwości, wytrzymałości, strachu.

– *Poznałaś?*

– Nie.

– *Wracasz do Groznego?*

– Jak mi powiedzą, że za tydzień mam jechać, to pojedę. Za tydzień znowu mam wolne, bo dziecko wyjeżdża. W ogóle nie powinnam była stamtąd wracać, bo wiem, że czegoś nie skończyłam. Najgorsze w Czeczenii jeszcze się ciągle nie stało. Rosjanie będą wypychać z miasta czeczeńskich bojowników, którzy uciekną w góry. Wtedy się okaże, że piwnice Groznego są pełne ludzi. Wyobrażam sobie, że wejdzie tam rosyjska piechota i do każdego piwnicznego okna wrzuci granat. Wojsko może nie wie, że tam siedzą stare babcie, często Rosjanki. Pewnie żołnierze sądzą, że tam kryją się terroryści, którzy czyhają na ich życie. Na pewno trafi się jakiś samobójca, który będzie strzelał z okna. Albo dziecko, które schowało butelkę z benzyną. Zacznie się eksterminacja. Jeśli jednak ludziom pozwoli się przeżyć, i to jest drugi obraz, który widzę, to wyjdą z piwnic jak szczury, odzwyczajeni od światła, i będą całować rosyjskich żołnierzy. Tak jak to bywało, pierwszy dzień wolności, wiecie. I to jest moment, w którym prasa powinna tam stać z aparatami wycelowanymi w piechotę. Powstrzymać ją przed wysadzaniem piwnic. Nie może być tak, że wszyscy puciekają jak ja. Byłam zmęczona.

– *Naprawdę wierzysz, że dziennikarze mogą powstrzymać wojny, armie, odwracać dziejowe momenty?*

– Wierzę. Poza tym, to może banalne, ale warto przypomnieć, dziennikarze są nie po to, by stać nad umierającym i mówić: naprawdę, jak bardzo smutno się umiera! Tak sobie może pisać pisarz. My przyjeżdżamy szybko, kiedy to się dzieje, albo nawet chwilę wcześniej, żeby demona zaczarować.

– *Zaczarowałaś obozy w Bośni?*

– Ja tam byłam po fakcie. Ale kiedy dziewczyna z malutkiej amerykańskiej telewizji odkryła obozy, zaraz potem zamknięto najcięższy w Omarskiej. Tak samo potrzebują nas ludzie w Bośni, w Rwandzie i w Czeczenii. Może dlatego tak otwarcie przyjmuje się dziennikarzy w Groznym.

W grudniu niechcący trafiliśmy na pierwszą linię frontu. Zatrzymano nasz samochód, dalej jechać nie wolno. Na wojnie to stałe uczucie: nie wiadomo, co robić. Jest ostrzał artyleryjski. Nagle ze wszystkich stron wyciągają się ręce, ktoś mi ciastka wciska, o tak, całą garścią. Inny herbatę ma. Więc biorę do drugiej ręki herbatę. Ktoś trzeci wyciąga cukierki, też garść. Nie mam już trzeciej ręki, więc mi je wpycha do kieszeni. Słysząc, że nadlatują samoloty. Ktoś nas pogania: odejdźcie, bo wokół was zbierają się ludzie. Uciekajcie stąd. Ta wojna różni się od wszystkich, które poznałam, skalą mojego osobistego zagrożenia. Są samoloty, żadna syrena cię przed nimi nie ostrzega, żadne radio. W kompletnej ciszy, przy zachmurzonym niebie, ni stąd ni zowąd coś bzczy. Na początku nie kojarzysz tego bzczenia ze śmiercią. Idziesz normalną ulicą, która ma chodnik, jezdnię, domy. Ty jesteś normalnie ubrany. I nagle takie: dup!

I wiesz, że musisz natychmiast paść na ziemię. Za pierwszym razem myślę sobie: kurwa, dlaczego? Przecież ja się zabrudzę!

Innym razem wchodzisz do jakiegoś domu. A tam pierwszy pokój, drugi pokój: wszędzie łóżka, materace. Kilkudziesięciu uchodźców. Zjechali się z innych dzielnic, mieszkają tu jeszcze rodziny z wojny sprzed dwóch lat między Inguszami i Osetyńcami. Więc łóżko to główny mebel, czasem stół. Wojna, wiadomo, że brakuje żarcia, i nagle ten stół zastawiony wszystkim. Jeszcze mają co jeść, bo nie jest to oblężone Sarajewo. Wielu ma działkę z kurami, krową i dziadkiem, który tego dogląda. Ale wkrótce jedzenie się skończy.

Konwoje humanitarne do Czeczenii, które się tu i tam przygotowuje, są potrzebne. Zaraz za granicami jest pełno uchodźców. Widziałam na przykład w Nazranii pociąg na bocznicę. Miał ze dwadzieścia wagonów, w których mieszkają ludzie. Do samego Groznego nikt teraz nie wjedzie. Rosjanie nie wpuszczają. Poza tym toczą się tam walki o każdą ulicę. To by było samobójstwo.

– *Syn cię oglądał w „Wiadomościach”?*

– Nie, był w Moskwie u taty. Jego tata jest Rosjaninem. Mam nadzieję, że nikt tam Szury Czeczenią nie karmił. Przez pierwsze lata moich wyjazdów na wojny przywoziłam mu naboje. Ma ich całą kolekcję. Chyba się przed nim przechwalam, chcę mu pokazać, jakim jestem fajnym chłopcem.

– *Chłopcem?*

– Ale teraz mu naboi nie przywożę. Jest starszy, dla niego wojna to nie tylko film rysunkowy. On się o mnie boi. Miałam jechać do Bośni, do Bihacia. Szura na to: „Nie, proszę cię, nie”. I w płacz. Więc nie pojechałam. Z Czeczenią było inaczej, wybraliśmy się razem do Moskwy, on tam został. Wprowadziłam szum informacyjny. A kiedy drugi raz jechałam do Czeczenii, bo byłam przez chwilę w Moskwie, on już coś wiedział. Obiecałam mu, że nie pójdę na linię frontu.

– *Chcesz sobie coś udowodnić?*

– Nie róbcie mi tu psychoanalizy na kozetce.

– *Też byś o to zapytała.*

– Wiem, że coś takiego mam, takie kłopoty z wrażliwością. Próbuję się do niej dogrzebać, bo wydaje mi się, że jestem człowiekiem z betonu. Ale gdy oglądam z synem „Króla Lwa” i płaczę, to znaczy, że nie jest ze mną najgorzej.

– *Marysiu, czy tobie się wojna podoba?*

– Nie, na pewno nie. Ale jak inne babcie opowiadają o Czerwonym Kapturku i straszą wilkiem, tak moja babcia opowiadała mi o wojnie w Warszawie. Babcia mnie wychowywała. Jej męża rozstrzelali nad dołem, ją brali kilka razy na Gestapo, moją mamę też, bo wyglądała jak Żydówka. Plus te wszystkie filmy, którymi byliśmy karmieni. Ja mam do tego tęsknotę. Ciekawość wojny. Więc jeżdżę. Pewnie chodzi mi

też o przygodę. Zdarzało mi się wsiąść na rower, przejechać ćwierć Francji, znaleźć wieżę, w której spała Joanna d'Arc. To było miłe, ale najbardziej podobało mi się, że mogłam tam wtargnąć, chociaż facet nie chciał mnie wpuścić. A po drugie, że były tam szczury i pajęczyny. W wieży spałam samotnie. Lubię przygodę, ale musi to być przygoda z ryzykiem. Ja mam fizjologiczną potrzebę ryzyka. Im bliżej celu, tym bardziej mnie kręci. Ale w ogóle nie jestem gotowa umierać. Myślę, że jak postanowię nie umrzeć, to coś tu ode mnie zależy. Czeczenia to mały kawałek ziemi ze stolicą pośrodku. Do zachodniej granicy jest 90 kilometrów, do wschodniej 70. Mieszkało tam półtora miliona ludzi, z tego połowa w Groznm. W ciągu ostatnich kilku lat ci ludzie rozkręcili największy bazar na Kaukazie, który zaopatrywał połowę Rosji. Przez Czeczenie przechodził import i eksport z południa. Kilka razy w tygodniu latały stamtąd czartery do Arabii Saudyjskiej i Emiratów Arabskich. Handel bez cła. Na bazarach można było kupić tanie samochody z Niemiec, owoce z Dagestanu i Azerbejdżanu, ciuchy jeszcze skądś. Cały naród coś motał. Tam nie było zbierania haraczu, co jest plagą Moskwy. Zresztą w Moskwie często robią to właśnie Czeczeńcy. Ale nie u siebie.

– *W Rosji, przy dużym udziale państwowych mediów, stworzono obraz Czeczeńca bandyty. Co o tym sądzisz?*

– W mafii, czyli jak tam się mówi: w biznesie, nie ma podziałów narodowych. Widziałam takich bandytów, ale z różnych względów o tym nie mówiłam. Spotkałam ich na samym początku. Do Groznego jechaliśmy od zachodu, od Osetii i Inguszetii, autostopem. Na końcu czarnym bmw z czarnymi szybami. Za kierownicą siedział facet, cały w świeżych bliznach. Jasny, znaczy Rosjanin. Mówił, że wiezie koledze samochód, bo jest mu winny. Samochód za pół ceny, kradziony w Polsce. A jeśli nie w Polsce, to przez Polaków w Niemczech, bo od Polaków kupiony. I dlatego taki tani. Rosjanin jechał do Czeczeńca. Na przedmieściach Groznego podjechaliśmy przed bogaty dom za ciężkimi wrotami. Zamiast bandytów zobaczyłam rodzinę. Ojciec przeżył zesłanie do Kazachstanu. Teraz będzie bronił swojego kawałka ziemi, pokazuje pistolet za paskiem. I wydawało mi się: o, taki fajny wątek patriotyczny. Przyszedł syn, odebrał bmw. Opowiadał, że pracuje w Moskwie i Petersburgu. Jest ochroniarzem, ma trzydziestu ludzi, którzy działają na wezwanie. Chyba robią mokrą robotę.

– *Taki rodzaj bojówki?*

– Tak. I wiecie czyżej? Czyją bojówką zamierzali być? Żyrinowskiego! Bo Żyrinowski to jest fajny facet, on im obiecał legitymacje partyjne. Taka legitymacja miała dawać prawo pobytu w Moskwie „czarnym”, czyli ludziom Kaukazu nękanym często przez milicję.

– *To kim oni są: bojówką rosyjskich nacjonalistów czy bojownikami o wolną Czeczenie?*

– Zostawili biznesy w Rosji, wrócili do Czeczenii, żeby bronić domów. Już miesiąc

temu mieli bazę w górach, gdzie szykowali się do akcji partyzanckich i terrorystycznych. Kiedy już Rosjanie zajmą Grozny, będą nękać okupanta.

– *Kim jest Rosjanin w Czeczenii?*

– Znamy to z Afganistanu, z krajów bałtyckich, z Polski, właściwie zewsząd. Rosjanin jest uosobieniem imperializmu i okupacji. Ale kiedy pytałam w Groznych, czy boicie się Rosjan, Czeczeńcy nie rozumieli. Bo Rosjanin to sąsiad, a nie wróg. Nacierająca armia to „Jelcyn” albo „Graczow”. „O, Jelcyn nam przysłał pomoc humanitarną”, mówią i pokazują odłamek. Część Rosjan wyjechała z Groznego w obawie przed czeczeńskim nacjonalizmem. Inni zostali, bo nie wierzyli, że może tutaj dojść do czegoś złego. Teraz rodacy rozwalili im pół dzielnicy, sąsiadkę odwieziono do szpitala, latają samoloty najprawdziwsze na świecie, a ci Rosjanie wychodzą z piwnicy i mówią: „Nie wiemy, kto strzela, a czy my z dołu widzimy, jakie to samoloty?”.

– *Czy wiedzą, że w Rosji są protesty przeciwko tej wojnie?*

– Pojechałam do Moskwy, kiedy wiadomo już było, jaki tam w Groznych krwawy gnój. Poszłam na demonstrację antywojenną. Niedaleko miejsca, gdzie stał pomnik Dzierżyńskiego, zebrał się wianuszek pięćdziesięciu osób, a w środku tego kółka stał wianuszek korespondentów. Każdy miał swoją grupkę, którą kręcił. Jakby się ruszył w prawo albo w lewo, wszedłby mu w kadr inny dziennikarz. Reporterów było tam tylu, ilu demonstrantów. A widz pomyślał, że protestuje tam pół Moskwy. Kamera można oszukać.

– *Może widzimy Rosję taką, jaką chcemy widzieć: skłonną do demokracji, podzieloną...*

– Ona jest podzielona, ale bardzo nierówno. W Moskwie na towarzyskim spotkaniu intelektualistów i artystów niektórzy mnie przekonywali, że wszyscy Czeczeńcy to bandyci. Że Rosja jest jedna, wielka i niepodzielna. A w Groznych, w piwnicy, powiedziała mi jedna matka, że syn akurat jest w wojsku, może tu przyjść i do niej strzelać. Ta sama matka pyta: „Dlaczego mieliśmy stąd wyjeżdżać, przecież tu jest Rosja”.

Rozmawiali: Lidia Ostałowska, Wojciech Tochman, Warszawa, styczeń 1995 roku

Spis źródeł

- Ormianie* – „Gazeta Wyborcza”, nr 376, 08.09.1990
- Wilno* – korespondencje dla Radia Zet, styczeń 1991
- Gruzja grudzień 91 / styczeń 92* – „Tygodnik Powszechny”, nr 4/1992
- Podróże z Radiem Zet* – lato 1992
- Nie ma dnia bez pogrzebu* – „Gazeta Wyborcza”, nr 144, 20.06.1992
- Allah tak chce?* – „Gazeta Wyborcza”, nr 133, 09.06.1993
- Pucz* – korespondencje dla Radia Zet, sierpień 1991
- Dwa szaga na prawo, dwa szaga na lewo* – „Tygodnik Powszechny”, nr 9/1992
- Powstań, kraju ogromny* – słuchowisko radiowe, Radio Zet, luty 1992
- Czy to ma sens, że tu umieramy?* – „Gazeta Wyborcza”, nr 584, 18.05.1991
- 35 zabitych dziennie* – „Magazyn” nr 32, dodatek do „Gazety Wyborczej”, nr 236, 08.10.1993
- Kurdowie na uwięzi* – „Gazeta Wyborcza”, nr 260, 06.11.1993
- Drogą przez front* – „Magazyn” nr 2, dodatek do „Gazety Wyborczej”, nr 60, 12.03.1993
- W rozstrzelanym kościele* – „Gazeta Wyborcza”, nr 866, 21.04.1992
- To już trzeba umierać. Zasłyszane w mesie polskiego batalionu onz w Krajinie* – „Gazeta Wyborcza”, nr 46, 24.02.1993
- Raport z obozu* – „Gazeta Wyborcza”, nr 199, 25.08.1992, „Tygodnik Powszechny”, nr 37/92, 13. 09. 1992
- Dlaczego oni są ranni?* – „Gazeta Wyborcza”, nr 204, 31.08.1992
- Droga przez piekło* – „Gazeta Wyborcza”, nr 206, 02.09.1992
- Widziałam Krajinę wojny* – „Gazeta Wyborcza”, nr 43, 20.02.1993
- Pokój po chorwacku* – „Gazeta Wyborcza”, nr 126, 01.06.1993
- Listy na murach* – „Gazeta Wyborcza”, nr 130, 05.06.1993
- Chciałem kupić dom w Zakopanem* – „Tygodnik Powszechny”, nr 28/1993
- Muzułmanie won!* – „Gazeta Wyborcza”, nr 141, 19.06.1993
- Pamiętnik z Groznego* – „Gazeta Świąteczna” dodatek do „Gazety Wyborczej”, nr 6, 07.01.1995

Musimy celować w piechotę – „Gazeta Wyborcza” nr 15, 18.01.1995